

**BLISKI WSCHÓD STRAŻ GRANICZNA:
SPIRALA ODWETU CO JA TU ROBIĘ**

**PIOTRA GLIŃSKIEGO
KULTURA OSOBISTA**

**KOMU ŚWIECI
CZARNA MATERIA**

Kraków 18–24 października 2023 nr 43 (3876)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

Polska mówi

DOŚĆ

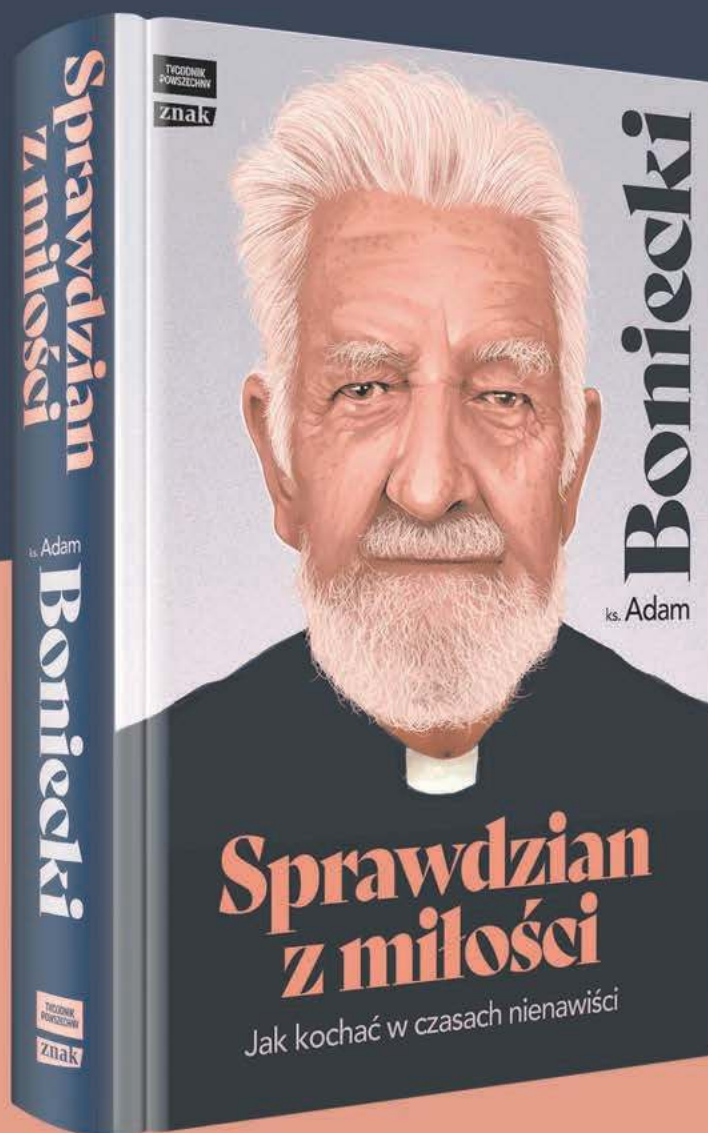
**23 STRONY
EKSTRA
MAGAZYN
CONRAD
GOŚCIE
I WYDARZENIA
FESTIWALU**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



Głos rozsądku

w wariackich czasach



Nowa książka ks. Adama Bonieckiego

KS. ADAM

Boniecki: Nie lękaj się sumienia

CZYTAM ZAMIESZCZONY W TYM NUMERZE ARTYKUŁ o. Dariusza Piórkowskiego SJ „Zlekceważone sumienie” jako spowiednik i jako penitent. Bardziej jednak jako spowiednik. Oczywiście jest tak, że „zostaliśmy wychowani w modelu całkowitego rozdarcia: z jednej strony sumienie, niepewne, podatne na błąd, a z drugiej autorytet kościelny”. Nie wiem jednak, czy chodzi o (moje) sumienie niepewne z jednej strony, a autorytet kościelny z drugiej, czy raczej o podejrzliwość wobec obiektywności własnego osądu.



Mówię o sobie. Ale to samo mogę powiedzieć o ludziach klękających przy moim konfesjonale. Może nie zawsze, ale mogę. W moim odczuciu styl spowiedzi generalnie (bo oczywiście nie w każdym przypadku) bardzo się zmienił od czasów, gdy pierwszy raz siadałem do konfesjonatu w roku 1960. Po pierwsze, jest ich mniej. Przed Wielkanocą zdarzało mi się wtedy spowiadać do późna w nocy, teraz już nie. Zanikł tłum tych, którzy „raz w rok, około Wielkanocy”. Cóż, może to kwestia tego, gdzie stoi konfesjonał: bo miasto, bo wieś, bo jeden region bardziej religijny, inny mniej. Tego nie wiem, wiem jednak, że tak się w moim życiu ten konfesjonał przesunął, iż teraz penitentów jest mniej, a ich spowiedź jest inna.

Oczywiście, wciąż są ludzie starym trybem recytujący grzechy, które często grzechami nie są, i co więcej, oni sami o tym wiedzą (np. spowiadając się z opuszczonych w czasie choroby mszy św.). Z innych grzechów (według katechizmu Kościoła) wcale się nie spowiadają, bo jakoś sobie wyjaśnili, że to nie grzech, albo, jeśli nawet je wymieniają, to nie mają żadnej woli zmiany. Ale coraz częściej sakrament pokuty wygląda inaczej. Coraz częściej jest to refleksja nad własnym życiem. Niekoniecznie długa czy zaplątana w szczegóły. Powiedziałbym: „spowiedź według zaleceń ojca Piórkowskiego”.

W moim odbiorze ten trend jest właściwy. Coraz wyraźniej spowiedź, nawet ta wielkanocna, przestaje być wypełnieniem przepisu, a staje się aktem pokuty, to jest nawrócenia. Nawrócenie zaś (niekiedy) wymaga czasu.

Zmiany w naszej religijności – czasem trudne do zauważenia – postępują. Oczywiście, odziedziczone i wpojone nam obyczaje długo jeszcze będą straszyć w konfesjonale, lecz przyznam, że zdumiewa mnie łatwość, a nawet ochota, z jaką się od nich odstępuje. Czas zgorznienia klerem, czas odchodzenia od Kościoła, czas odwracania się od praktyk jest oceniany jako szczególnie trudny. Odmiana w traktowaniu pojęcia grzechu, odmiana w dostrzeganiu dobra niekoniecznie firmowanego Kościołem, odmiana

w sposobie patrzenia na życie to przecież normalne elementy dojrzewania wiary. Więcej – cały budowany przez stulecia system został dziś postawiony pod znakiem zapytania.

Jakie będą konkluzje? Nie wiem i nie wierzę tym, którzy twierdzą, że wiedzą, lub że oni sami o tym zdecydują. Z pewnością nie wszystko jest do wyrzucenia, ale i nie wszystko przetrwa próbę czasu, nawet jeśli dziś jest traktowane jako czcigodne, święte i nienaruszalne. Zmiany w nauczaniu Kościoła były zawsze obecne, dziś zdają się przybierać na sile. Ale patrzmy na nie spokojnie, bo tu – jak sądzę – trzęsienia ziemi nie będzie.

A co będzie? Będzie zmiana pokoleń, będzie coraz lepsze odczytanie danych z przeszłości, które może niepotrzebnie odczytywaliśmy dosłownie, i będzie miejsce na działanie Pana Boga, który zawsze znajduje sposób, by swoje dziedzictwo ocalić. Tym sposobem są zwykle ludzie święci, którzy wiedzą, co jest w wierze istotne, co zaś jest tylko naszym ludzkim kombinowaniem, nie na wiele w życiu wiarą się zdającym.

Nie lękajcie się więc i nie martwcie na zapas. W Bożej perspektywie nasze sprawy wyglądają lepiej, niż po ludzku to wygląda. Papież jest przekonany, że nadszedł czas wysłuchania wszystkich. Słucha więc – nie wszystkich, oczywiście, lecz tych, którzy uważają, że mają coś ważnego do powiedzenia. Nie irytujemy się przed czasem. Słuchajmy i my. Że coś – że wiele – trzeba skorygować, nie ulega wątpliwości. A efekt finalny? Efekt finalny będzie u kresu czasu, nie wcześniej. Amen. ©

Spotkajmy się na Targach Książki w Krakowie

Zapraszamy na stoisko Tygodnika Powszechnego na krakowskie Targi Książki w dniach **26–29 października**.

Poza wyjątkowymi promocjami i atrakcyjnymi cenami naszych publikacji także **spotkania z dziennikarkami i dziennikarzami**: Ewelina Burdą, Anną Goc, Michałem Kuźmińskim, Łukaszem Kwiatkiem, Moniką Ochędowską, Michałem Okońskim, Piotrem Sikorą, Jackiem Taranem i Przemysławem Wilczyńskim.

Do zobaczenia!



20 Instrukcja wyrzucania ludzi MAREK RABIJ

Możliwe, że Straż Graniczna zblądziła – przyznają strażnicy. Ale też nikomu nie zależało, żeby z wywołanego przez Białoruś kryzysu służba wyszła z honorem.



34 Gentleman na synodzie EDWARD AUGUSTYN

Sprawił, że ludzie o odmiennych wizjach Kościoła usiedli zgodnie do stołu. I tak o. Timothy Radcliffe wpłynął na losy synodu.

46 Izrael-Palestyńczycy: wojna o pokój ŁUKASZ TOMASZ SROKA

Podstawowy problem na tym małym kawałku ziemi polega na tym, że słowa „szalom” i „salam” każdy rozumie tu na swój sposób, a towarzysząc temu sprzeczne aspiracje.



88 Najciemniej pod gwiazdą WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Kosmolodzy mają nową zagwozdkę: czy obiekty wypatrzone przez Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba są prastarymi galaktykami, czy może hipotetycznymi gwiazdami zbudowanymi z ciemnej materii?



92 Kultura osobista PIOTR KOSIEWSKI

Największe sukcesy polskich twórców i twórczyń, od Oscara po Nobla, nie mają nic wspólnego z polityką Ministerstwa Kultury pod obecnymi rządami. Przeciwnie.



106 Misja wykonana MICHAŁ SOWIŃSKI

W dziennikach i opisach dokonań kapitana Cooka zaczytywać się będą kolejne pokolenia chłopców, którzy potem sami będą budować potęgę Brytanii. I wszyscy ci, którym śni się ocean.

OBRAZ TYGODNIA

6-9 Wybory

10-11 Wydarzenia

12-13 Komentarze

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Instrukcja wyrzucania ludzi
MAREK RABIJ

24 Widmo młodości
KLAUS BACHMANN: *Młodzi mają
dobre powody do sceptycyzmu
wobec demokracji*

28 Polska: dom niespokojnej
starości
ROZMOWA Z PROF. PAWŁEM
KUBICKIM o tym, co nowy rząd musi
zrobić dla przyszłych emerytów

WIARA

34 Gentleman na synodzie
EDWARD AUGUSTYN

38 Zlekceważone sumienie
DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ:
Zostaliśmy wychowani w lęku

41 Piekło na Zielonej Wyspie
MACIEJ MÜLLER: *Przypadek
Irlandii pokazuje, czym potrafi
stać się Kościół, kiedy otrzyma
nieograniczoną władzę*

ŚWIAT

46 Izrael-Palestynczycy:
wojna o pokój
ŁUKASZ TOMASZ SROKA

51 Czekają nas długa wojna
ROZMOWA Z AVIM ISSACHAROFFEM,
IZRAELSKIM DZIENNIKARZEM:
*Nie wierzyłem, że Hamas będzie
zdolny do takiego okrucieństwa*

TEMAT TYGODNIKA



14 My, naród

TOMASZ STAWISZYŃSKI:

Doświadczenie tych wyborów
powinno być dla nas przełomowe.
Widac to w badaniach: Polaków przejmują
rzeczywiste problemy, a nie wzmacniające
polaryzację fantazje polityczno-biznesowej
machiny, za które płaciliśmy wszyscy.

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

DODATEK

63 MAGAZYN CONRAD

FELIETONY

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK 61 ELIZA KĄCKA
104 OLGA DRENDĄ 105 PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK K. ZALEJSKI

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

53 Wodór zamiast ropy
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Unijne
embargo na rosyjski surowiec
podzieliło niemieckie miasto*

HISTORIA

56 Najbogatszy lud na świecie
BARTOSZ HLEBOWICZ
*o Osedzach, którym honor próbuje
oddać Hollywood*

60 Pułapki publicystyki
historycznej
JAN ŚRODOK:
Ciąg dalszy debaty o Markowej

NAUKA

88 Najciemniej pod gwiazdą
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

91 Nierówności są w cenie
ANNA ZACHOROWSKA-
MAZURKIEWICZ o Claudii Goldin,
laureatce ekonomicznego Nobla

KULTURA

92 Kultura osobista
PIOTR KOSIEWSKI

96 Z innej Europy
MAGDALENA PYTLAK
o pisarzu Georgim Gospodinowie

98 Jagna w deszczu
ROZMOWA Z DK WELCHMAN,
REŻYSERKĄ: *Uzmysłowiłam
sobie, że zespół składający się
głównie z kobiet malował obrazy
inspirowane dziełami mężczyzn*

102 Ludzka bomba
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Adamant” Nicolasa
Philiberta*

103 Córcia i matka
LEKTOR o książce „Przybyszewska
/ Pająkówna. Głuchy krzyk” Anny
Kaszuby-Dębskiej

ZMYŚŁY

106 Misja wykonana
MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Liberia: wygrana po dogrywce [Strona świata]

Odkąd w Liberii skończyła się wojna, żadnemu przywódcy nie udało się
tam wygrać w pierwszej turze. Nawet popularnemu piłkarzowi
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Co obejrzeć w weekend

Wreszcie w polskim kinie dokumentalnym ktoś podjął
tabuizowane tematy – pisze **ANITA PIOTROWSKA** polecając
najlepsze filmy na VoD | TygodnikPowszechny.pl/weekend

Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY • t /TYGODNIK • i /TYGODNIK • y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

A photograph of Jarosław Kaczyński, leader of the Polish Law and Justice (PiS) party, smiling and raising his right hand in a victory sign (three fingers up). He is wearing a white long-sleeved shirt. The background is a large, stylized Polish flag with a red and white diagonal stripe.

OBRAZ
TYGODNIA

TAK WYGRAŁA OPOZYCJA

W wyborach wzięło udział rekordowe 74 proc.
Polek i Polaków, którzy zdecydowali o końcu
ośmioletnich, pełnych kontrowersji rządów PiS.
Czy Jarosław Kaczyński uzna porażkę?

MAREK KĘSKRAWIEC

ZBADANIA LATE POLL PRZEPROWADZONEGO przez pracownię Ipsos wynika, że w niedzielnych wyborach parlamentarnych PiS uzyskał 36,1 proc. głosów, natomiast zjednoczona opozycja 53,6 proc. (Koalicja Obywatelska – 31 proc., Trzecia Droga – 14 proc., Lewica – 8,6 proc.). Na Konfederację zagłosowało niespodziewanie mało wyborców – 6,8 proc. Wstępny podział mandatów daje więc PiS 196 miejsc w Sejmie, a partiom skupionym w pakcie senackim 249 (KO – 158, TD – 61, Lewica – 30). Konfederacja będzie miała 15 posłów. „Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy z drugiego miejsca – mówił do wiwatującego w sztabie tłum Donald Tusk. – Wygraliśmy wolność”. A pod adresem przywódców Trzeciej Drogi i Lewicy dodawał: „Zrobiliśmy razem wielką rzecz”.

Prawo i Sprawiedliwość – używając precedensowych w historii demokratycznej Polski transferów pieniężnych i wykorzystując w kampanii publiczne media – udało utrzymać poparcie 8 mln Polaków. Jednak niechęć do partii władzy zmobilizowała tylu nowych wyborców, że ostatecznie PiS uzyskał wynik o ponad 6 punktów procentowych gorszy niż w 2019 r. Rozmiar porażki jest tym większy, że także wynik referendum nie jest łaskawy dla partii Kaczyńskiego. Wzięło w nim udział nieco ponad 40 proc. wyborców, a to oznacza, że odpowiedzi na pytania o pakt migracyjny, barierę na granicy, prywatyzację czy wiek emerytalny są niewiążące.

W SZTABIE PIS tuż po ogłoszeniu wyników próbowano zaklinać rzeczywistość. Prezes mówił o kolejnym z rzędu zwycięstwie, choć pierwsze miejsce nie daje jego partii szans na utrzymanie władzy: „Niezależnie od tego, czy będziemy u władzy, czy w opozycji, to ten projekt będziemy realizować. I nie pozwolimy na to, by Polskę zdradzano, by utraciła to, co jest najcenniejsze, to znaczy niepodległość”. Później zaś dodał: „Uczynimy wszystko, co jest możliwe, by nasz program mimo tej koalicji, która jest przeciwko nam, był dalej realizowany. To nie jest droga zamknięta, pamiętajcie o tym. Przed nami dni walki, dni napięć (...) Niezależnie od tego, jak ostatecznie będzie i jaki będzie rozkład głosów, to uczynimy wszystko i – powtarzam to, co państwo chętnie powtarzacie – zwyciężymy!”.

Mimo tych podniosłych słów w siedzibie PiS nie było atmosfery tryumfu, a niecały

kwadrans po zejściu ze sceny lidera politycznej partii po prostu się rozjechali. Próbowali jeszcze podgrzewać atmosferę w internecie nagłaśnianiem naruszeń podczas głosowania referendalnego, ale okazały się one zbyt słabym orężem. Potem pojawiły się sugestie, że PiS, mimo braku zdolności koalicyjnej, podejmie próbę zbudowania rządu, wyciągając z paktu senackiego PSL. Pomysł ten szybko spotkał się jednak z odpowiedzią ludowców, którzy przypomnieli oszczerstwa i mowę nienawiści, kierowaną do samego końca kampanii wobec opozycji. Ich rzecznik, Miłosz Motyka, zamiast gotowości do sojuszu zapowiedział rozliczenia PiS.

TO SYMBOL problemów partii (jeszcze) władzy. Zapomniała, że bezwzględna większość w Sejmie raczej się zdarza, niż jest regułą, więc warto myśleć strategicznie i szanować konkurencję. Oskarżając wszystkich naokoło o zdradę narodowych interesów, PiS zagonił sam siebie do narożnika. Jest w Sejmie, zarazem, najsilniejszy i najsłabszy. Środowisko Kaczyńskiego będzie jednak walczyć, bo utrata władzy to nie tylko pożegnanie ze stanowiskami w rządzie, ministerstwach, urzędach centralnych, spółkach Skarbu Państwa czy pączkujących latami funduszach i agencjach – to także początek, przynajmniej dla niektórych polityków, procesu dochodzenia ich odpowiedzialności za niekonstytucyjne zmiany w sądownictwie czy próby zorganizowania „wyborów kopertowych” w 2020 r.

ZANIM POWSTANIE nowy i stabilny gabinet, czekają nas gorące tygodnie. Zgodnie z konstytucją pierwszy ruch należy do prezydenta, który powinien desygnować na premiera osobę mającą największe szanse na stworzenie rządu. Nie jest to jednak wyraźnie zapisane, więc mimo apeli Donalda Tuska i Szymona Hołowni o odpowiedzialność i rozsądek, Andrzej Duda może wskazać kandydata z ugrupowania, które zajęło pierwsze miejsce, czyli Mateusza Morawieckiego albo np. Elżbietę Witek czy wręcz Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli prezydent się na to zdecyduje, będzie to raczej smutny spektakl upokorzenia dla PiS – potrzeba zbyt wielu szabel, by ktokolwiek z opozycji zaryzykował pojedyncze odejście, a marzenia o sojuszu z PSL to już zupełne fantasmagorie.

Poza tym czasu na taką operację nie będzie wiele. Pierwsze posiedzenie Sejmu i Senatu musi się odbyć w ciągu 30 dni od wyborów. Jeśli przyjdziemy, że parlament zbierze się we wtorek 14 listopada, to pre-

zydent ma czas na ogłoszenie swej nominacji do 28 listopada. Przez kolejne dwa tygodnie nowy gabinet musi zyskać akceptację bezwzględnej większości w Sejmie (głosów „za” musi być więcej niż zsumowanych głosów przeciw i wstrzymujących się). Jeśli to się nie uda, co jest niemal pewne, inicjatywa przejdzie w ręce posłów, którzy mają kolejne 14 dni na znalezienie większości zdolnej do powołania rządu. W razie jej uzyskania, a na to wskazuje wynik wyborczy opozycji, prezydent oficjalnie zatwierdzi gabinet – zapewne pod wodzą Donalda Tuska, gdzieś na przełomie roku.

TO NIE MUSI być łatwy proces; ustalenia między przyszłymi koalicjantami są na razie ramowe i nie ma jeszcze decyzji co do podziału stanowisk w rządzie czy w parlamencie. Można sobie wyobrazić napięcia na linii Tusk–Hołownia (w związku z nadspodziewanie dobrym wynikiem Trzeciej Drogi), ale też Trzeciej Drogi (choć głównie PSL) z Lewicą: w kwestiach aborcji, LGBT+ albo niskich podatków dla przedsiębiorców. Nie będą to jednak fundamentalne różnice. Na pewno są łatwiejsze do przezwyciężenia niż czekający nowy rząd opór prezydenta dysponującego wetem, Trybunału Konstytucyjnego czy NBP.

Do urn poszła rekordowa liczba prawie 74 proc. uprawnionych do głosowania Polek i Polaków, co jest dowodem na niezwykle znaczenie niedzielnych wyborów. Do niektórych lokali trzeba było dowozić rezerwowe karty, a w kolejnych głosowanie skończyło się w środku nocy – umożliwiono wzięcie udziału wszystkim, którzy pojawili się w kolejce do godz. 21. Dotychczas rekord frekwencji padł dwukrotnie w innych turach wyborów prezydenckich w 1995 i 2020 r. (wynosiła wtedy ponad 68 proc.), ale wybory głowy państwa są prostsze i zawsze napędzają frekwencję.

CZTERY LATA TEMU w wyborach parlamentarnych do urn poszło 61,74 proc. uprawnionych osób i był to najlepszy wynik od 1989 r. (62,7 proc.). Zdarzały się jednak i takie głosowania do parlamentu, podczas których w domach zostawała ponad połowa z nas. Tak było choćby w wyborach, które rozpoczęły obecną erę polityczną spod znaku Kaczyńskiego i Tuska – w 2005 r. głosowało tylko 40,57 proc. wyborców. Na tym tle ostatnia niedziela, z rekordową liczbą 608 tys. Polaków, którzy zarejestrowali się w wyborach za granicą, była prawdziwym świętem demokracji. ©

Tekst ukończono 16 października o godzinie 15.

Donald Tusk w sztabie wyborczym KO w Muzeum Etnograficznym w Warszawie, 15 października 2023 r.



Czy populizm przegra?

KAROLINA WIGURA

PIS WYGRAŁ WYBORY, ALE WYGLĄDA NA TO, ŻE RZĄD Zjednoczonej Prawicy zostanie odsunięty od władzy. Jest to jeden z wielu cudów wyborczych, jakich byliśmy świadkami w ostatnich godzinach. Kolejnym jest rekordowa frekwencja. Jeszcze innym fakt, że wbrew dotychczasowej polityce TVP wyemitowała przemówienie Donalda Tuska tuż po ogłoszeniu wyników.

Poza tymi cudami niedzielne wybory to jednak początek dalszej walki. I to nie tylko polsko-polskiej, nawet jeśli lider Koalicji Obywatelskiej obiecywał swoim wyborcom, że zakończy ją w dniu głosowania. Nasz kraj był do tej pory sceną konfliktu wewnętrznego, teraz natomiast stanie się areną zupełnie innej rozgrywki – tej między kierunkiem populistyczno-autorytarnym a możliwością odbudowania liberalnej demokracji. Jako taki, przegląda się w najnowszej historii innych państw, w których w ostatnich latach demokraci wygrywali w wyborach z populistami, m.in. Stanów Zjednoczonych, Izraela czy Wenezueli. Wszędzie tam, na co warto zwrócić uwagę, bilans rozgrywki był co najmniej

ambiwalentny: wszędzie, po krótszym lub dłuższym etapie rządów liberalnych demokratów, populizm wracał do władzy albo istniejące silne ryzyko, że tak się zdarzy.

Doświadczenia innych krajów mogą niepokoić, ale mogą też służyć za istotne punkty odniesienia i źródło doświadczeń. A jest z nimi związane pytanie o to, co dalej stanie się z PiS-em – szczególnie jeśli straci władzę. Pierwsza możliwość jest taka, że partia ta ulegnie dezintegracji. Może się tak zdarzyć szczególnie, jeśli dojdzie do wycofania się Jarosława Kaczyńskiego z czynnej polityki. Druga możliwość to jej pozostanie jako trwałego elementu polskiego życia politycznego. Wbrew zasadzie ukutej niegdyś przez Karla Poppera, że w demokracji nie może być tolerancji dla wrogów demokracji, oznaczałoby to, że trwała część polskiego życia politycznego stanie się ugrupowanie o skłonnościach populistycznych i autorytarnych.

Jak będzie to wyglądało? To pytanie otwarte. Nie ma jednak wątpliwości, że w Polsce pisany jest właśnie ważny rozdział historii populizmu i demokracji. ©

Wieczór wyborczy w sztabie PiS. Warszawa, 15 października 2023 r.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER



RÓŻA RZEPLIŃSKA,
DZIAŁACZKA NGO:

*Polki wybrały.
Jak i dlaczego
głosowały
kobiety*

KRZYSZTOF STORY: Wiosną 47 proc. młodych Polek nie chciało iść na wybory. Jednak jesienią frekwencja wśród kobiet była wyższa niż wśród mężczyzn i pobiła rekordy: 73,7 proc. Co się zmieniło?

RÓŻA RZEPLIŃSKA: W *exit poll* pytano o tematy istotne przy podejmowaniu decyzji. Na drugim miejscu, *ex aequo* z bezpieczeństwem państwa, były prawa kobiet i aborcja. Mobilizację zawdzięczamy także pracy organizacji społecznych. Mieliśmy serię kilku-nastu kampanii profrekwencyjnych skierowanych do kobiet. Miliony kobiet 15 października pomyślało: „to jest ten moment”.

Gdyby głosowały tylko kobiety, Konfederacja nie weszłaby do Sejmu. Straciłby PiS, a najwięcej zyskałaby Lewica i KO.

PiS chciał wyciszać temat aborcji, sprowadzać go do hysterii kobiet z wielkich miast. Ta opowieść się jednak rozspalała, bo przypadki śmierci kobiet w szpitalach nie wydarzyły się w Warszawie i Wrocławiu, tylko w Pszczynie i Nowym Targu. Odczuwalna opresja zmobilizowała dziewczyny do głosowania na opozycję. Przekazy KO i Lewicy mocno się różniły i uzupełniały. Lewica skoncentrowała się na aborcji, wprost definiowała prawa kobiet. Koalicja skupiała się mocniej na codziennych, bytowych kwestiach.

PiS też mówił do kobiet. Choćby przez 800 plus, wyprawki szkolne itd. Dlaczego to się nie przełożyło na głosy?

Czy kobiety dostały od PiS-u to, czego chciały? Nie. Dostały do ręki pieniądze i degradujące się usługi publiczne. Kiepską szkołę i fatalną służbę zdrowia dla swoich dzieci. PiS, ustami Elżbiety Witek, chciał je przekonać, że mogą wszystko, nawet „pilotować duże samoloty”, ale warunkiem jest bezpieczeństwo, zagrożone przez migrantów, które obronić zdoła tylko PiS. Jednocześnie partia nie zdołała rozbroić lęków, które sama stworzyła. Próbowала jedynie przesunąć strach z porodówek na rzekomo dokonywane przez migrantów gwałty. To się nie powiodło.

Na listach do Sejmu było aż 43,8 proc. kobiet. A prawie co czwarta „jedynka” przypadła paniom. W poprzedniej kadencji Sejmu było 29 proc. posełek. Ile będzie w następnej, jeszcze nie wiemy. ©P

RÓŻA RZEPLIŃSKA jest szefową serwisu [MamPrawoWiedziec.pl](https://mamprawowiedziec.pl)

PiS grał znaczonymi kartami – i przegrał

JESZCZE POLITYCY OBOZU WŁADZY PRÓBUJĄ W WYWIADACH maskować rozczarowanie tradycyjnymi apelami, żeby poczekać na ostateczne wyniki. Jeszcze z niektórych środowisk PiS-u płyną zapowiedzi łowów na koalicjantów. Ale bez ryzyka można już założyć, że nie będzie ani rządzącej koalicji PiS-u z którymś z ugrupowań w Sejmie, ani zaskoczenia ostatecznymi wynikami tych wyborów. Prawo i Sprawiedliwość wygrało je optycznie, zdobywając najwięcej głosów. Przegrywa je za to politycznie, bo nie ma z kim stworzyć trwałego sojuszu, a do samodzielnych rządów nie dostało od swoich wyborców dostatecznie mocnego mandatu.

Znamienne, że wyniki tych wyborów niemal pokryły się ze wskazaniami sondaży sprzed roku. Po ośmiu latach rządów tak wysokie poparcie dla PiS-u jest sporym osiągnięciem, ale politycy obozu władzy muszą też zdawać sobie sprawę, że od roku grali z opozycją znaczonymi kartami.

Lista zastosowanych tricków jest długa – od zaangażowania instytucji publicznych i spółek Skarbu Państwa w kampanię na rzecz PiS-u, aż po jej finansowanie z budżetu (pikniki, rzekomo reklamujące program 800 plus) i zlekceważenie postulatów PKW, która domagała się dopasowania liczby mandatów w okręgach do zmian w strukturze demograficznej kraju (zmian działających na niekorzyść rządzących). Z takim zapleczem i przy tak wielkiej dysproporcji w dostępie do pieniędzy publicznych oraz do czasu antenowego w TVP, utrzymanie poparcia na poziomie sprzed roku można nazwać już tylko w jeden sposób. To fiasco pomysłu na te wybory, w których PiS postawił jednoznacznie na polaryzację.



Zresztą przecieki ze sztabu partii rządzącej już kilka tygodni temu sugerowały, że Prawo i Sprawiedliwość zrozumiało, iż stało się zakładnikiem tej strategii, bo poza straszeniem Tuskiem swojego żelaznego elektoratu nic innego po prostu nie działa. Podwyższenie świadczenia 500 plus przeszło bez większego echa. Wyborcy najwyraźniej nie uwierzyli też PiS-owi, że jako jedyna partia ma receptę na kwestie bezpieczeństwa i inflacji. Nie pomogło nawet wyznaczenie daty wyborów w tzw. dniu papieskim; w kampanii temat Jana Pawła II po prostu nie zaistniał i PiS nie miał czego bronić.

Obozowi władzy pozostał jeszcze prezydent. Politycy PiS otwarcie deklarują, że oczekują, iż Andrzej Duda misję utworzenia rządu powierzy ugrupowaniu, które zdobyło najwięcej głosów, a nie koalicji dysponującej sejmową większością. W polskim porządku prawnym prezydent rzeczywiście może zdecydować się na takie rozdanie. Ale w ten sposób jedynie wydłuży agonię rządów PiS-u, bo pierwsze posiedzenie nowego Sejmu zakończy się odrzuceniem wniosku o wotum zaufania dla nowego gabinetu i wrócimy do punktu wyjścia. W bieżącej konstelacji politycznej i po ośmiu latach demonizowania opozycji PiS nie ma po prostu zdolności koalicyjnej. Było to zresztą do przewidzenia, bo wybory nie przyniosły głębokiego przetasowania sceny politycznej i do parlamentu weszło pięć formacji, które były w nim obecne już w poprzedniej kadencji.

Zaskoczeniem tych wyborów z pewnością była za to frekwencja. Warto jednak podkreślić, że największy wzrost odsetka głosujących zaobserwowano nie w dużych miastach, będących matecznikami opozycji, lecz na wsi, gdzie karty rozdaje PiS. ©

GRAŻYNA MAKARA



Referendum? Jakie referendum?

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

PO ZAKOŃCZENIU WIECZORÓW wyborczych referendum zorganizowane razem z głosowaniem do parlamentu nagle wyparowało. W finalnym wystąpieniu szefa partii, która je wymyśliła i zawzięcie promowała, nawet o nim nie wspomniano. Pozostało kolejnym – jednym z wielu – przykładem orwellowskiego udawanego prawa i zdeformowanych instytucji.

Referendum wymyślono jako przykrywkę do prowadzenia beczelnej agitacji wyborczej jeszcze w czasie głosowania oraz wydawania pieniędzy na kampanię wyborczą jednej partii. Z uwagi na treść pytań i sposób jego przeprowadzenia było akcją propagandową i jako takie poległo razem z partią, która je propagowała. Według danych *exit poll* liczba osób, która wzięła udział w referendum

(nieco ponad 40 proc.), jest zbyt mała, żeby miało jakiekolwiek znaczenie prawne. Ale przy okazji skompromitowano samą instytucję referendum i „wykarmiono” zaprzyjaźnione fundacje i stowarzyszenia. W drastyczny sposób złamano również tajemnicę głosowania, zobowiązując obywateli do ujawniania swoich preferencji wyborczych – przez konieczność głośnego składania w lo-

kalu wyborczym deklaracji o braku udziału w referendum.

Referendum obnażyło także nieudolność, a może wręcz złą wolę PKW, która nie zrobiła nic, by zapobiec tym nadużyciom, głosząc przy okazji banialuki o tym, że przetarganie karty referendalnej czy jej wyniesienie z lokalu wyborczego jest przestępstwem. Dobrze się stało, że tak wielu spośród nas potrafiło zrozumieć tę całą masakerę i odesłało referendalne kartki tam, gdzie od początku było ich miejsce – między zużyte kubeczki, smętne baloniki i pomięte plakaty w sztabach wyborczych. ©



MAHMUD HAMS / AFP / EAST NEWS

Palestyńczycy poszukują ocalałych pod gruzami budynków zniszczonych w ostrzale izraelskiej. Strefa Gazy, 16 października 2023 r.

Izrael–Gaza: o jeden rozkaz za daleko

BLISKI WSCHÓD ■ Joe Biden robi wiele, by zapracować na wdzięczność Izraelczyków: prezydent USA próbuje ocalić Izrael, jego rząd i armię, od szaleństwa. I przy okazji od rozmieniania na drobne kapitału moralnego, jaki Izrael posiada (przynajmniej w części świata, głównie zachodniej) przez pamięć o tym, co 80 lat temu III Rzesza zrobiła europejskim Żydom.

Szaleństwem jest zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej wobec całej ludności Strefy Gazy (2,3 mln ludzi) za zamordowa-

nie 7 października przez Hamas 1300 Izraelczyków. Czyli: przymusowe, pod groźbą śmierci, wygnanie ich z domów. Właściwie nie wiadomo, dokąd finalnie. Wydany przez armię rozkaz „ewakuacji” (mocny eufemizm) dotyczy (na razie?) północnej części Gazy: milion ludzi ma „udać się” do części południowej. Północ będzie pewnie celem ofensywy lądowej.

Zważywszy, że Gaza jest wielkości Krakowa, upchnięcie dwóch milionów ludzi na połowie tej powierzchni, przy równoczesnym odcięciu ich od żywności, prądu i w ogóle wszystkiego (w niedzielę Izrael zgodził się przywrócić dostawy wody dla części Strefy), to skazanie ich na cierpienie, część może na śmierć. Przepis na zbrodnię

wojenną w skali, która na dekady określi kontekst funkcjonowania Izraela w jego arabskim otoczeniu (dodajmy na marginesie dylemat, przed którym staną kraje Zachodu wspierające dotąd Izrael).

Prezydent USA – jedyny człowiek, który może mieć wpływ na to, co robi premier Netanjahu – postępuje dwutorowo. Z jednej strony praktykuje solidarność z Izraelem, przyznaje mu prawo do obrony i zniszczenia Hamasu (gdymowa o 7 października, warto uświadomić sobie, że od 1945 r. nigdy tylu Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci, nie zginęło jednego dnia), udostępnia broń (głównie pewnie bomby lotnicze po tym, jak kilka tysięcy spadło już na Gazę, zabijając też kilkaset dzieci) i wysłała lotniskowce w ten region (sygnał dla Iranu i jego sojuszników, zwłaszcza libańskiego Hezbollahu, który rozważa zapewne dołączenie do wojny). Zarazem Biden naciska – publicznie (Izrael musi działać „według reguł wojny”) i pewnie zakulisowo – by atakując Hamas, oszczędzano cywilów. Dodajmy: na ile to możliwe przy strategii Hamasu, który rodaków traktuje jak żywe tarcze, budując swoje bunkry pod blokami i szkołami.

Izrael oczekuje, aby po 7 października świat (tj. ten, na którym mu zależy) dał mu wolną rękę. Biden pokazuje, że na to nie ma zgody. Kiedyś Izraelczycy mu za to podziękują. Chyba że go jednak nie posłuchają. W niedzielę kolejny izraelski generał powtórzył ów rozkaz, a w poniedziałek rano rzecznik armii podał, że 600 tys. Palestyńczyków „udało się” już na południe Gazy.

© © WOJCIECH PIĘCIAK

Konflikt bliskowschodni na ulicach Francji

NAPIĘCIE W EUROPIE ■ Na ten poniedziałek we francuskich szkołach zaplanowano uroczystości: miano wspominać Samuela Paty’ego, historyka z podparyskiego liceum, który 16 października 2020 r. został zamordowany przez młodego Czeczena, islamskiego radykała. Krąg wspominanych trzeba było jednak rozszerzyć po tym, jak 13 października młody Ingusz, też islamski radykał, śmiertelnie ranił nożem nauczyciela języka francuskiego z Arras. Dominique Bernard zginął ratując swoich uczniów – gdy

sprawca zaatakował na szkolnym podwórku, chwycił krzesło i osłaniał uczniów, dopóki nie schronili się w szkole. Sam zginął. (Na zdjęciu: w poniedziałek 16 października w szkole w Arras ogłoszono alarm bombowy, uczniów ewakuowano).

Francuskie władze wiążą ten atak z eskalacją na Bliskim Wschodzie. Kilka godzin wcześniej funkcjonariusze tajnych służb zatrzymali na krótko Ingusza i stwierdzili, że jechał autem w towarzystwie dwóch Białorusinów (stąd badany jest „trop rosyjski”; media spekulują, czy takie akcje może inspirować Rosja). Ingusz, imigrant z Czeczenii, nie dostał azylu i był już wcześniej obserwowany, służby wiedziały o jego radykalizacji. Miał być deportowany, ale uniemożliwili to aktywiści i działacze partii komunistycznej.

Nerwowość panuje w tych dniach w całej Francji. W wielu miastach odbywają się manifestacje solidarności z Palestyńczykami.

W weekend zamknięto Luwr i Wersal po tym, jak pojawiły się anonimowe groźby, że muzea są celem ataków bombowych. Ewakuowano 15 tys. turystów; niektórzy uciekali w panice. Bomb nie znaleziono.

We Francji obowiązuje najwyższy poziom zagrożenia terrorystycznego. Władze zmobilizowały 7 tys. rezerwistów, którzy zasila patroli na ulicach. Pod ochroną są instytucje żydowskie.

© © WP / DPA, NZZ



MICHEL SPINGLER / AP / EAST NEWS

Oskarżona Arundhati Roy

INDIE ■ Trzynastcie lat temu w publicznym wystąpieniu miała użyć słów, w których prokurator dopatrywał się wicherzycielstwa. Oficjalne zarzuty tej treści 61-letnia Arundhati Roy, laureatka prestiżowej Nagrody Bookera za głośną książkę „Bóg rzeczy małych”, usłyszała jednak dopiero w minionym tygodniu. Prokuratura tłumaczy, że wreszcie zdobyła w tej sprawie dostatecznie mocne dowody, by skierować sprawę do sądu. Indyjska opozycja twierdzi z kolei, że to ordynarna próba uciszenia znanej intelektualistki, która od lat krytykuje rząd, a jej mocny głos słychać za granicą.

W „Bogu rzeczy małych” i późniejszej powieści „Ministerstwo niechrześcijańskiego szczęścia” Arundhati Roy wykorzystuje literacko odpady indyjskiej polityki. Analizuje bierzący kolonializm, dziedzictwo systemu kastowego, który formalnie znikł z indyjskiego społeczeństwa, ale w praktyce nadal ma się doskonale, zwłaszcza na terenach wiejskich. Równie ważna co aktywność literacka jest dla niej publicystyka, w której upust daje zwłaszcza niechęć do sił politycznych grających na polaryzację indyjskiego społeczeństwa. W przeszłości pozywano ją już za nawoływanie do buntu, a za obrazę sądu trafiła nawet na 24 godziny do Tihar, największego więzienia w Azji.

Tym razem znów zarzucono jej nawoływanie do buntu. W 2010 r., podczas konferencji poświęconej Kaszmirowi – regionowi, o który Indie od lat prowadzą ostry spór z sąsiednim Pakistanem – Roy miała sugerować, że nigdy nie był on integralną częścią Indii. W tytule konferencji jej organizatorzy użyli terminu „azadi”, który w języku urdu oznacza „wolność”.

„Nie jestem dokumentalistką, mimo że opisuję rzeczywistość, która niestety istnieje – mówiła Arundhati Roy w wywiadzie, który przeprowadziłem z nią w 2018 r., przy okazji jej wizyty na Festiwalu Conrada. – Moje książki mają wymiar publicystyczny, a może i polityczny, ale nie zgadzam się na degradowanie ich wyłącznie do głosu w sporze politycznym. Literatura jest zbyt piękna, by być tylko narzędziem”.

© MAREK RABIJ



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd”

Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM.

Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00.

Zapraszamy!

97,4 FM Katowice | 95,8 FM Wrocław | 97,7 FM Poznań

97,4 FM Łódź | 95,2 FM Gdynia | 96,9 FM Opole

– www.tokfm.pl

Niemcy: zmiana nastawienia do migracji

WYBORY W LANDACH ■ Rząd Olafa Scholza zapowiedział zaostreżenie kursu wobec migrantów i uchodźców, którzy masowo przybywają do Niemiec. Wcześniej politycy podkreślali znaczenie praw człowieka i potrzebę niesienia pomocy. Obecnie liczy się interes, przede wszystkim ten partyjny.

W wyborach landowych w Hesji i Bawarii, które odbyły się 8 października, zdecydowanie wygrała chadecja (CDU i CSU), która na szczęblu federalnym jest główną siłą opozycyjną. Bardzo dobry wynik zanotowała Alternatywa dla Niemiec (AfD). Natomiast partie tworzące koalicję w Berlinie, głównie kanclerska SPD oraz liberalna FDP, wypadły bardzo źle. To efekt niezadowolonych z kursu Scholza, także, a może przede wszystkim, z polityki migracyjnej.

Podejście do niej zmieniło się w Niemczech zasadniczo. Krytykowanie masowej imigracji nie jest już tylko domeną AfD. Również szef CDU Friedrich Merz regularnie krytykuje rzekomą „turystykę socjalną” ukraińskich uchodźców lub konfabuluje, że Niemcy nie mogą dostać się do dentyści, bo wolne terminy zajmują uchodźcy. Zarazem 84 proc. Niemców uważa, że do ich kraju przybywa za dużo ludzi, którzy chcą ubiegać się o azyl. Zdecydowana większość jest niezadowolona z integracji przybyszów, zarówno w wymiarze społecznym, jak i na rynku pracy. Te oceny mogą jeszcze się zaostriżyć w wyniku przenoszenia się na

niemieckie ulice emocji związanych z wojną między Izraelem a Hamasem. W ostatnich dniach, mimo zakazów, Palestyńczycy i osoby pochodzenia arabskiego demonstrowali w Berlinie, Frankfurtu czy Monachium. Nie tylko sprzeciwiali się zabijaniu cywilów w Gazie, ale też wyrażali poparcie dla Hamasu i nienawiść do Żydów oraz państwa izraelskiego.

W tym roku w Niemczech wniosek o azyl złożyło już ponad ćwierć miliona ludzi. Gminy i urzędy alarmują, że są na granicy swoich możliwości. W ośrodkach dla azylantów na małej powierzchni muszą pomieścić się setki, a nawet tysiące osób. Ich utrzymanie kosztuje ogromne pieniądze, których zaczyna brakować w innych obszarach. A integracja to zadanie na dekady.

Reakcje Scholza, choć sygnalizują chęć zmiany podejścia, wydają się jednak niewspółmierne do skali problemu. Kanclerz zapowiedział przyspieszenie procesu wydalania z kraju tych, którzy nie kwalifikują się do azylu. Na granicy z Polską i Czechami stacjonarne już kontrole policyjne mają wypatrywać pojazdów szmuglujących migrantów.

Przez ostatnie lata w zbiorowej wyobraźni ludzi w różnych zakątkach globu umocnił się obraz Niemiec jako kraju, którzy przyjmie każdego i zapewni mu byt. Tak skromnymi działaniami politycy nic w tej kwestii nie zmieniają.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Hanoweru



Kontrola policyjna na granicy polsko-niemieckiej. Linken, 28 września 2023 r.



Na marginesie

EDWARD AUGUSTYN

ZOSTAŁ ZAPROSZONY PRZEZ PAPIEŻA. SWÓJ stosunek do Kościoła określa jako skomplikowany – uważa się za osobę wierzącą, ale niekonfesyjną. To Luca Casarini – twarz włoskich antyglobalistycznych i antyklerykalnych protestów, współzałożyciel lewicowej partii Sinistra Italiana. W 2001 r. stanął przed sądem za udział w zamieszkach na szczycie G8 w Genui (zakończonych brutalną akcją policji i wielogodzinnymi przesłuchaniami protestujących, którzy potem oskarżali funkcjonariuszy o tortury). Po ośmiu latach procesu Casariniego prawomocnie uniewinniono.

W 2019 r. dowodzony przez niego statek „Mar IONIO” podjął z morza 45 migrantów i po ponad miesięcznym oczekiwaniu wszedł, bez zgody władz, do portu w Lampedusie. Casariniego oskarżono o pomoc w nielegalnej imigracji – postępowanie wciąż trwa. Casarini tłumaczy: „Wśród uratowanych była dziewczyna pięciokrotnie zgwałcona przez libijskich strażników. Pomogłem im i jestem z tego dumny. Jeśli złamałem prawo, aresztujcie mnie”.

Pytany o obecność na synodzie odpowiada w swoim stylu: „Wszędzie czuję się nie na miejscu i poza kontekstem. Ale jeśli Kościół próbuje wyjść na margines, by spojrzeć na świat z innej perspektywy, to ja jestem tym marginesem. Jezus siedł do celników i prostytutek, nie do tych, którzy byli w porządku”.

Zaproszeniem był zaskoczony, czuje się uprzywilejowany. Choć nie tylko tym: „W świecie, w którym trwa wyścig o zabicie jak największej liczby ludzi, ratowanie życia na środku morza jest nieskończonym darem – mówi”.

Na synodzie widzi odmieniające działanie Ducha Świętego – używa właśnie takich słów. Aktywista i polityk, słynący z radykalnych zachowań i wypowiedzi, mówi, że zrozumiał, jak wiele dają: milczenie, słuchanie drugiego człowieka i modlitwa.

Jesteśmy w połowie synodu. Nie cichną pytania o zmianę w Kościele, dziennikarze piszą o wycieku poufnych materiałów z obrad. Zaproszenie Casariniego na spotkanie z dziennikarzami nie było przypadkowe. Ale chodziło nie tylko o odwrócenie uwagi od kontrowersyjnych spraw i przywrócenie właściwych proporcji synodalnej tematyce. Także o pokazanie, że ma to być synod nie tyle oczekiwanych zmian, co niespodziewanych przemian i nawrócenia. Miejmy nadzieję, że nie tylko lewicowych antyglobalistów. ©



Manewry Błaszczaka

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PO ZŁOŻENIU REZYGNACJI PRZEZ dwóch z trzech najważniejszych w Polsce dowódców minister obrony grzmiał, że „nie ma zgody na włączenie wojska w kampanię wyborczą”. Ale właśnie on robił to systematycznie, i to od dawna.

Bezpieczeństwo musiało znaleźć się w centrum politycznej debaty, bo za naszą wschodnią granicą trwa wojna. Jednak czym innym jest prezentowanie programu czy chwalenie się sukcesami, a czym innym polityczna agitacja na oficjalnych kontaktach społecznościowych MON, traktowanie żołnierzy jak scenografii dla partyjnych występów czy odtańnianie sojusznicznych planów na czas wojny w celach propagandowych. O realizowaniu potrzeb politycznych, a nie operacyjnych, świadczy też m.in. sztandarowy projekt ministra Błaszczaka „zbudowania najsilniejszej armii w Europie” – choć wiele jednostek przed wprowadzeniem go w życie miało tzw. poziom ukończenia na poziomie 70, a w niektórych przypadkach nawet 50 proc. – a także wielomiliardowe, chaotyczne zakupy sprzętu.

„Gwarancje bezpieczeństwa, które może dać Polakom tylko PiS”, ostro rozminęły się z rzeczywistością, gdy w grudniu przez pół

kraju przeleciał pocisk zdolny do przenoszenia ładunku jądowego – dowiedzieliśmy się o tym dopiero na wiosnę, gdy znalazła go przypadkowa osoba, a mimo gorszącej awantury, jaka się wtedy rozegrała na linii wojskowi–minister–pałac prezydencki, na najważniejsze pytania w tej sprawie wciąż nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Wreszcie w sierpniu w polską przestrzeń powietrzną wleciały i przez nikogo nie niepokojone wyleciały białoruskie śmigłowce.

Czy w tej sytuacji jako gest polityczny należy odczytywać rezygnację szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Rajmunda Andrzejczaka i dowódcy operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Tomasza Piotrowskiego? Jak dotąd nie wypowiedzieli się o swoich motywacjach i możemy tylko spekulować. Tajemnicą poliszynela jest, że byli skonfliktowani z ministrem, bo systematycznie pozbawiał ich kompetencji, przejmując ręczne sterowanie nad armią.

Kampania na szczęście już się skończyła. Niesmak po tym, co wyprawiano w tym czasie z armią – pozostał. Co jednak ważniejsze, zostały problemy, z których najpoważniejszym wcale nie jest przejście dwóch generałów do cywila. ©

Generałowie Rajmund Andrzejczak i Tomasz Piotrowski. Warszawa, maj 2023 r.



NA PUNKTY

REMIS

„Koniec. Niestety, koniec” – powiedział komentator TVP Mateusz Borek. Słowa padły po ostatnim gwizdku meczu Polska–Mołdawia, zakończonym remisem, który oznacza, że piłkarze naszej reprezentacji mają coraz mniejsze szanse awansu na przyszłoroczne Euro. Większość urn wyborczych zamknięto kilkadziesiąt minut wcześniej (w paru miejscach kolejki były tak duże, że głosowano nawet po północy).

PORAŻKA

À propos TVP, dialog z serwisu X (dawniej Twitter): „Przed chwilą w Warszawie nie otrzymałam karty referendalnej, musiałam się o nią upomnieć!” – poskarżyła się pracująca w tej stacji Magdalena Ogórek, na co jeden z czytelników odpowiedział: „To jeszcze nic... ja przez ostatnie 8 lat nie otrzymałem jednej prawdziwej informacji z TVP, musiałem sam w internecie szukać”.

ZWYCIĘSTWO

Inna pracownica TVP, prezenterka „Wiadomości” Danuta Holecka, w powyborczym programie mówiła do swoich gości „kochani” i przerywała reprezentantce PiS, by oddać głos opozycji. Chwilę później Marek Sawicki z PSL zanucił Joannie Lichockiej z PiS – przekonującej, że to jej partia wygrała wybory i będzie tworzyć rząd – tango „To ostatnia niedziela”. ©P



Ten straszny drapieżnik

ŁUKASZ KWIATEK

RYK LWA WYWOŁUJE NA SAWANNIE popłoch nawet u słoni. Okazuje się jednak, że jest bardziej przerażający dla żyjących tu zwierząt dźwięk – ludzkiej rozmowy.

Liana Y. Zanette z Uniwersytetu Zachodniego Ontario i współpracownicy przeprowadzili w Parku Narodowym Krugera w RPA eksperyment, w którym przychodzącym do wodopojojów zwierzętom odtwarzano cztery rodzaje dźwięków. Były to: odgłosy lwa, nagranie rozmowy w lokalnym języku, dźwięki imitujące polowanie (szczekanie psów, wystrzały z broni palnej), a także ptasie śpiewy. Badacze sprawdzali, jak w każdym z tych warunków eksperymentu zareagują przedstawiciele 19 różnych roślinożernych i drapieżnych gatunków – m.in. słoni, hipopotamów, nosorożców, żyraf, hien, zebra, lampartów i antylop.



Eksperyment przeprowadzono na terenie, na którym występuje jedna z największych populacji lwów. Najczęściej polują one na ofiary przy źródłach wody, zresztą podobnie jak lokalni mieszkańcy. Z zebranych danych wynika, że niemal w każdym gatunku najbardziej gwałtowną reakcją ucieczki wywoływało nagranie zwykłej rozmowy. Co ciekawe, rozmowa powodowała dwukrotnie szybszą ucieczkę nie tylko niż ryk lwa, ale także niż odgłosy współczesnego polowania. To sugeruje, że zwierzęcy strach przed ludźmi może być ewolucyjną adaptacją, wywołaną setkami tysięcy lat polowań naszych przodków na sawannie.

Wygląda zatem na to, że każda nasza obecność w pobliżu zamieszkujących sawannę zwierząt jest dla nich potężnym źródłem strachu – nawet jeśli zamiast strzelb w rękach trzymamy kamery czy smartfony. ©P

MALCOLM SCHUYL / BE&W



„Ministerstwo” dla samotnych

MONIKA OCHĘDOWSKA

POTWIERDZIŁ TO OSTATNI spis powszechny: w największych miastach ponad 30 proc. z nas mieszka w pojedynkę. Ta liczba, wedle prognoz GUS, będzie rosła jeszcze co najmniej przez dekadę. Najwięcej gospodarstw jednoosobowych znajduje się w wydłużającej się wciąż Łodzi (rocznie ubywa jej średnio 6 tys. mieszkańców) oraz Warszawie. Ale „wyspą samotności” są także Katowice wraz z sąsiadującymi Bytomiem i Świętochłowicami. Całe

aglomeracji górnośląskiej w ciągu dekady ubyło ponad 170 tys. mieszkańców.

W odpowiedzi na rosnącą liczbę osób, które czują się samotnione, oraz rosnącą wiek tych, którzy zostają na Śląsku, Fundacja Wolne Miejsce przy wsparciu władz Katowic otworzyła Społeczne Ministerstwo ds. Samotności. Na dwóch piętrach kamienicy przy ul. Mikołowskiej 44 mieszczą się bistro socjalne, sala do ćwiczeń, przestrzeń przeznaczona do spotkań i warsztatów oraz pokoje

gościnne. Odwiedzający będą mogli nie tylko zjeść razem posiłek, ale też skorzystać z pomocy psychologicznej, terapeutycznej i prawnej. A przede wszystkim – dobrze się bawić, poznając sąsiadów. W miniony weekend odbyła się w Ministerstwie pierwsza potańcówka. Chętnych było tak wielu, że na następną obowiązując będą zapisy.

Pomysł stworzenia miejsca wspierającego i łączącego osoby samotne katowiczanie podpatrzyli za granicą. Pięć lat

temu premier Wielkiej Brytanii Theresa May powołała ministram ds. samotności. Podobnie – w czasie pandemii – uczyniła Japonia. Unia Europejska poświęca naszemu poczuciu osamotnienia wiele badań, z których wynika, że świadomość braku bliskich może nie tylko powodować smutek czy prowadzić do depresji, ale sprzyjać występowaniu innych chorób, np. zwiększać ryzyko zawału serca. Słowem: im więcej mamy przyjaciół, tym mniej prawdopodobne, że zachorujemy, bo nasz układ odpornościowy jest bardziej zmobilizowany do działania. To wydaje się oczywiste: czujemy się lepiej, gdy mamy pewność, że jesteśmy ważni dla innych. ©P

MY, NARÓD

Doświadczenie tych wyborów powinno być dla nas przełomowe. Widać to w badaniach: Polaków przejmują rzeczywiste problemy, a nie wzmacniające polaryzację fantazje polityczno-biznesowej machiny, za które płacimy wszyscy.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

PO WYBORACH I PO JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ BRUTALNYCH kampanii wyborczych przyszedł moment, w którym można się zastanowić nad przyczynami polskich podziałów. Przyglądając się w ostatnich tygodniach coraz bardziej zajadłym dyskusjom w mediach społecznościowych, programach publicystycznych i prywatnych rozmowach, można było przecież odnieść wrażenie, że polityczna wojna przesłoniła nam wszystko inne. Łącznie, a może w pierwszej kolejności – z nami samymi. I że przynależność do tego czy tamtego obozu stała się w Polsce wyznacznikiem przyzwoitości, a nawet człowieczeństwa. Co zresztą typowe dla stanu polaryzacji i zupełnie nietypowe dla demokracji, którą cechuje zdolność do różnicowania przekonań i światopoglądów, a wręcz pozytywna ocena takiego różnicowania. Słowem – zdolność do wyrażania odmienności i do konfliktu, który może być wprawdzie wojną idei, ale nigdy nie zamienia się w wojnę domową.

Dlatego właśnie najskuteczniejszym testem na ovladnięcie polaryzacyjnymi fantazjami są dzisiaj w Polsce pytania: czy uważasz, że można być dobrym, przyzwoitym, inteligentnym obywatelem i głosować na PiS?



Czy uważasz, że można być dobrym, przyzwoitym, inteligentnym obywatelem i głosować na Koalicję Obywatelską? A na Lewicę? Trzecią Drogę? Konfederację?

Przez ostatnie miesiące wielokrotnie zadawałem te pytania różnym osobom i zaręczam, że wiele miało problem z odpowiedzią. Dlatego sam odpowiadam: oczywiście, że można. Znam takich dobrych, przyzwoitych i inteligentnych obywateli mnóstwo. Każdy z nas zna ich mnóstwo, tylko, być może, nie zdaje sobie z tego sprawy albo nie chce dopuścić tego do świadomości. Tymczasem to proste mentalne ćwiczenie może być pierwszym krokiem pozwalającym wyjść poza świat, w którym zamiast żywych ludzi widać monstrualne karykatury. Oto więc pytania uzupełniające. Czy naprawdę uważasz, że twoja głosująca na PiS matka jest bezduszną zwolenniczką totalitaryzmu pragnącą zniszczenia polskiego systemu sądownictwa i cierpienia ludzi na granicy? Czy faktycznie wierzysz, że twój głosujący na Koalicję Obywatelską wuj jest zdrajcą Polski? Czy autentycznie zakładasz, że twoja głosująca na Lewicę córka pragnie zniszczenia fundamentów zachodniej cywilizacji? Czy serio przyjmujesz, że twój głosujący na Konfederację bratanek jest faszystą?

A może raczej zapamiętałeś się w swoich emocjach i frustracjach tak dalece, że przestałeś dostrzegać ludzi, których znasz, na których ci zależy, i którzy, jak ty, mają swoje pragnienia i obawy? I którzy – dokładnie jak ty – dają się czasami nabierać, ponosić emocjom, gubią się w rachubach i robią rzeczy, których – jak sądzisz – ty byś nigdy nie zrobił, choć przecież nieraz je robiłeś? Czy zatem nie jest ci w głębi duszy szkoda, że oni także przypisują ci poglądy, których wcale nie masz, oraz intencje, których nigdy nie żywiłeś? Bo przecież chciałbyś, żeby wasze spotkania i relacje wyglądały całkiem inaczej, prawda?

Podobnie jak w wielu innych sprawach, tak i tu potrzebny jest akt dobrej woli. Wykroczenie poza własne fantazje, uznanie, że nie jest się nieomylnym. A także dostrzeżenie potężnej biznesowo-politycznej maszyny, która polaryzację wzmacnia i nam ją podsuwa – ponieważ sama się nią karmi. Tyle że odbywa się to naszym kosztem.

Jakie są jednak głębsze źródła tego wszystkiego?

Metoda Balthazara

Balthazar, jeden z bohaterów „Kwartetu aleksandryjskiego” Lawrence’a Durrella, utrzymywał, że zna niezawodną metodę na wyswatanie każdej losowo dobranej pary obcych ludzi. Wbrew teoriom zakładającym, że sekrety miłości są ekstremalnie skomplikowane, wystarczy mianowicie każdemu z osobna powiedzieć, że ten drugi od dawna pała doń sympatią i że o niczym tak nie marzy, jak o tym, żeby móc obiekt swej sympatii bliżej poznać. Jeśli dochowa się tych prostych reguł – twierdził ów charyzmatyczny kabalista z Aleksandrii – pozytywna emocja pomiędzy nieznajomymi niechybnie się wydarzy, a być może nawet wybuchnie.

Cały ten pomysł opierał się na głębokiej psychologicznej intuicji, wedle której w kształtowaniu się naszych relacji z innymi i – szerzej – w kształtowaniu naszego obrazu świata niezwykle istotną rolę odgrywa wyobraźnia. To zatem, jakie mamy na czyjś temat wyobrażenie, przekłada się na realia naszej z nim interakcji. Po prostu – obraz innego, który nosimy w sobie, w ogromnym stopniu determinuje nasze myślenie, odczuwanie i zachowanie. Tyle tylko, że – no właśnie – to, co (lub kogo) wydaje się nam, że widzimy i czujemy, niekiedy zasadniczo odbiega od tego, co (lub kto) faktycznie znajduje się naprzeciwko. Krótko mówiąc – a poświadcza to zarówno historia ludzkości, jak historia filozofii i nauk nie tylko społecznych – umysł nieustannie nas zwodzi, wybiera ścieżki na skróty, utyka w uprzedzeniach, lękach i stereotypach. I w ten sposób stale oddala się od rzeczywistości, zamiast nas do niej przybliżać.

Jest to prawda tyleż oczywista, co wciąż daleka od powszechnego uznania. Najczęściej zakładamy bowiem, że we wszystkim mamy rację, a jeśli ktokolwiek się myli, to wyłącznie inni – jak to zgrabnie wyraża tytuł

→



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

*Kolejka do lokalu wyborczego w Pałacu Kultury i Nauki.
Warszawa, 15 października 2023 r.*

→ książki Carol Tavis i Elliota Aronsona „Błądzą wszyscy (ale nie ja)”. Odnosi się to również do polityki. Wbrew obiegowym przekonaniom, „polityka” nie jest przecież jakąś osobną dziedziną odseparowaną od życia. Nic bardziej mylnego – polityka wpływa na życie czy raczej: jest jego wydatną, czasami najwydatniejszą składową. W 2023 r., w Polsce, kraju skrajnie spolaryzowanym nawet na tle rozległych dziś na Zachodzie podziałów i wojen tożsamościowych, widać to wyjątkowo wyraźnie.

W odróżnieniu jednak od Balthazara, którego zamiary były konstruktywne i wiązały się z łączeniem tego, co od siebie wyjściowo dalekie, architekci polskiego życia publicznego stosują regułę odwrotną. Wciąż mianowicie przekonują, że „ten drugi”, „inny”, „tamten”, choć nas wcale nie zna, żywi pod naszym adresem uczucia jak najgorsze. Że dla nas – mnie, ciebie, społeczeństwa, kraju – pragnie rozwiązań jedynie głupich albo niszczycielskich. A do tego jest człowiekiem cynicznym, wyrachowanym i pozbawionym zasad moralnych. Mądrzy i porządni ludzie są tu, gdzie my, w naszej grupie w mediach społecznościowych, na naszym marszu, wśród zwolenników naszego ugrupowania – po tamtej ciemnej stronie natomiast znajduje się cała reszta.

Luka percepcyjna

Przy czym tych „architektów” należy, oczywiście, rozumieć metaforycznie. Nie chcę powiedzieć, że stoi za tym jakaś grupa trzymająca władzę. Nic z tych rzeczy, przeciwnie – narracje spiskowe, które w polskiej sferze publicznej bezprecedensowo się rozprzestrzeniły (m.in. za sprawą opiniotwórczych gazet i portali, które kiedyś same przed nimi przestrzegały), stanowią jeden z kluczowych elementów problemu, o którym mowa. Nie zamierzam więc konstruować tutaj żadnej kolejnej. Architektami jesteśmy my sami, owszem, ze szczególnym wskazaniem na polityków, a także media, czyli na tych, którzy ze wzmacniania polaryzacji i konfliktu czerpią symboliczny i dosłowny kapitał. Ostatecznie, stan radykalnej politycznej wojny zwalnia zaangażowane w nią strony z konieczności poważnego merytorycznego wysiłku – konstruowania programu, docierania z przekazem do wyborców. Zamiast tego podsuwa emfaticzną, ale doraźnie skuteczną apokaliptykę: jeśli na nas nie zagłosujesz, doprowadzisz do lokalnej, a może i globalnej katastrofy!

Czy jest to jednak architektura budowana w sposób wyrachowany? Czasami zapewne tak, na co wskazuje choćby Matt Taibbi w książce „Nienawiść sp. z o.o.”, która opowiada o celowym prowokowaniu polaryzacji w świecie amerykańskich mediów (co zresztą finalnie, wbrew intencjom części prowokujących, skończyło się prezydenturą Donalda Trumpa). Bywa, że się to wszystko robi dla realizacji konkretnych interesów. I polski przypadek z pewnością ma i takie oblicze.

Z drugiej jednak strony, jak wiadomo, wyobrażenia nie jest sferą podlegającą pełnej kontroli świadomego umysłu. Głębką intuicję Balthazara potwierdzają współcześnie choćby psychologowie Mina Cikara z Harvardu i Jeffrey Lees z Princeton, którzy w badaniach koncentrują się na ukrytych, nieświadomych przyczynach polaryzacji. I dowo-

dzą, że jednym z mechanizmów wydatnie przyczyniających się do jej rozwoju jest tzw. luka percepcyjna. A to znaczy po prostu fałszywe wyobrażenia i przekonania na temat politycznego czy światopoglądowego oponenta. W tekście opublikowanym przed dwoma laty na łamach „Philosophical Transactions of The Royal Society”, najstarszego na świecie anglojęzycznego pisma naukowego, Cikara i Lees przyglądają się wzajemnym percepcjom w obrębie skonfliktowanych społeczeństw i dzieli je na dwie zasadnicze odmiany. Pierwsza obejmuje to, co myślimy o cudzych przekonaniach i zachowaniach, druga natomiast to, co myślimy, że inni myślą o nas.

Nikogo zapewne nie zdziwi okoliczność, że im bardziej się w ocenie innych myślimy – na obu poziomach – tym bardziej intensyfikuje się polaryzacja. Mechanizm ten przybiera postać swoistego *perpetuum mobile*. Ponieważ jesteśmy przekonani, że polityczni przeciwnicy życzą nam jak najgorzej, a ich poglądy są ekstremalne i groźne, na dzień dobry zachowujemy się wobec nich tak, jakby byli naszymi wrogami. Oni zaś, dostrzegając tę wrogość, reagują oczywiście kontr ofensywą. To zaś tylko umacnia nas w przekonaniu, że nasze wyjściowe obawy były zasadne i zachęca do wzmocnienia wcześniej powziętych strategii. Co z kolei sprawia, że w adekwatności swojej oceny upewniają się nasi ideowi przeciwnicy. I tak dalej, w nieskończoność czy raczej do momentu, w którym konflikt staje się tak radykalny, że doprowadza do tragicznych skutków.

A wszystko zaczyna się od czegoś tak ulotnego, jak osobliwe fantazje na temat tych, którzy pod takim czy innym względem się od nas różnią.

Herezja „symetryzmu”

Tak, wiem, co zaraz usłyszę w odpowiedzi. Słyszałem to już dziesiątki razy – zwłaszcza kiedy zdarzało mi się powiedzieć albo napisać coś przeciwko pogłębiającej się w Polsce polaryzacji. Nieodmiennie pojawiał się wówczas jeden argument: nazywanie tego „polaryzacją” i poszukiwanie odpowiedzialności za ten stan po obu stronach politycznego konfliktu trąci relatywizmem. A nawet grozi osunięciem się w herezję „symetryzmu”, czyli przekonania, że „wszyscy są siebie warci”, a racja rozłożona jest równo po obu stronach. Przecież – słyszę – nie jest i nie może być rozłożona po równo. Bo to „oni” łamią wszystkie zasady i naprawdę chcą zniszczyć Polskę – my natomiast dla Polski chcemy jak najlepiej.

Oczywiście, „oni” oznaczają w takich przypadkach raz tych, raz tamtych – zależy po której stronie osi odbywa się akurat dyskusja. Nawiasem mówiąc, kariera, jaką zrobiło w ostatnim czasie pojęcie „symetryzmu” – te nienawistne komentarze w mediach społecznościowych, te wszystkie teksty, a nawet jedna książka, w której się karkołomnie dowodzi, że posiadanie własnego zdania (wydawałoby się, fundament demokracji) to „sprzyjanie autorytarnej władzy” – jest doprawdy specyficznie polskim fenomenem.

W każdym razie „symetryzm” jest zbiorem pustym, nikt bowiem nie twierdzi, że „racja rozkłada się równo po obu stronach”. Ktokolwiek natomiast świadomie używa tego hasła jako epitetu, ten zazwyczaj sam korzysta na po-

laryzacji, retorycznym sposobem piętnując każdego, kto ośmiela się krytykować *modus operandi* swojego obozu. Co skądinąd – ta krytyczność wobec swojego obozu – jest, paradoksalnie, jednym z najbardziej skutecznych narzędzi mających potencjał osłabiania polaryzacji. W książce „The Way Out. How to Overcome Toxic Polarization” pisze o tym sporo amerykański psycholog społeczny Peter T. Coleman. Szkoda, że zapalczywi polscy „łowcy symetrików” nie chcą sięgnąć po tę lekturę. A może właśnie doskonale ją znają? Tak czy inaczej, nie dziwi, że środowiska zradykalizowane po jednej lub drugiej stronie z taką zapalczywością deprecjonują sceptyków we własnych szeregach.

Prymat idei

Wróćmy jednak do Balthazara i jego teorii. Otóż niezależnie od tego, gdzie będziemy szukać odpowiedzi na pytanie o sposoby przewyciężenia polaryzacji i radykalnego społecznego konfliktu – czy to będą cytowane tu przeze mnie prace psychologów społecznych, czy antropologiczno-filozoficzne rozważania spod znaku René Girarda, Hannah Arendt czy Barbary Ehrenreich, czy wielkie dzieła literackie – podstawowa diagnoza wszędzie jest podobna. Oto ona: paliwem masywnych społecznych konfliktów i polaryzacji jest prymat idei nad empirią, prymat wyobraźni nad doświadczeniem, prymat instynktów nad myśleniem, subiektywności nad tym, co obiektywne i niezależne od indywidualnych pragnień, lęków i poruszeń.

Brzmi to może zbyt prosto, ale w istocie do tego sprowadza się ta zagadka. Wszędzie, gdzie zamiast innego człowieka – z jego skomplikowaną życiową historią, z jego emocjami, pragnieniami, cierpieniami, trudnościami, lękami, marzeniami, błędami, uwikłaniami i wadami – widzę jednowymiarową wiązkę własnych fantazji, lęków i mitów, tam podlegam uwodzicielskiej i niszczącej sile polaryzacji. Tak samo jak on, patrzę na mnie w podobny sposób.

O tym przecież traktuje słynna książka „Obcy we własnym kraju” autorstwa Arlie Hochschild, amerykańskiej socjolożki z Berkeley, która wybrała się do Luizjany, żeby spotkać tam wyborców i wyborczynie antysystemowej, populistycznej Tea Party oraz Donalda Trumpa – i, jak to sama nazwała, „przekroczyć mur empatii”. Mur wyrosły pomiędzy świetnie wykształconymi, liberalnymi przedstawicielami klasy średniej a biednymi, konserwatywnymi mieszkańcami stanów pogrążonych w wielopoziomowych kryzysach. Naprawdę – mówi Hochschild – nie było w tym żadnej tajemnicy, żadnej przemysłowej strategii, żadnej wyrafinowanej filozofii. Było za to proste, ale odświeżające – a być może także uzdrawiające – doświadczenie zetknięcia się z realnym człowiekiem, który okazywał się istotą znacznie bardziej złożoną niż wszystkie powzięte uprzednio na jego temat wyobrażenia. Przy czym – co ważne – ani Hochschild nie zmieniła poglądów, ani też nie przekonała do takiej zmiany

Wszędzie, gdzie zamiast
innego człowieka
widzę wiązkę własnych
fantazji, lęków i mitów,
tam podlegam
uwodzicielskiej
i niszczącej sile polaryzacji.

swoich rozmówców. Każdy pozostał na swojej pozycji, przy swoich politycznych afiliacjach. Zmienił się tylko sposób, w jaki zaczęli na siebie patrzeć czy raczej w jaki zaczęli siebie na nowo rozumieć.

Oczywiście to prawda, że istnieją ludzie fundamentalnie niezainteresowani takim spotkaniem, niezainteresowani rozmową, pełni złej woli, cyniczni, niebezpieczni. Przekonani, że cel uświęca środki – o ile tylko, rzecz jasna, jest to cel, do którego sami zmierzają. To prawda, że takich ludzi w polityce jest mnóstwo, i że w związku z tym nie da się, a nawet nie powinno się roz-

mawiać z każdym. Nikt tego nie neguje, są to sprawy jasne. Mniej jasne jest pytanie, czy przypadkiem moje własne zachowanie nie sprawia, że ktoś inny może w ten sposób postrzegać... mnie? I czy ci, których z kolei ja tak postrzegam, faktycznie zasługują na taką ocenę? Czy do moich ideowych, politycznych przeciwników nie przykładam zupełnie innych kryteriów niż do moich ideowych i politycznych pobratymców?

Tego rodzaju podwójność – zarówno jeśli chodzi o rozmaite zachowania, jak i stosowanie brutalnego języka w debacie publicznej, deprecjonowanie przeciwników, wyszydzanie, wyśmiewanie i poniżanie – jest charakterystyczna dla polaryzacji. Jedną zaś z najbardziej bodaj dotkliwych konsekwencji takiego stanu rzeczy – o czym pisał sporo wspomniany już Peter Coleman – jest pogłębiająca się izolacja i samotność związana z destrukcyjnym wpływem polaryzacji na przyjaźnie i życie rodzinne.

Wybór rzeczywistości

Czy doświadczenie tych wyborów okaże się dla nas pod tym względem przełomowe? Wydaje się, że coś powoli zaczyna się tutaj zmieniać. Opublikowana w poprzednim numerze „Tygodnika” rozmowa z Edwinem Bendykem pokazuje, że znaczna część z nas nie tylko nie odnajduje się w nakręcaniej przez media i polityków polaryzacji, ale także, że zainteresowana jest głównie kwestiami ściśle praktycznymi. Utrzymanie rodziny, bezpieczeństwo kraju, umiejętność oddzielania politycznej propagandy od faktów – np. w kwestii przyczyn inflacji – to tylko niektóre sygnały, że stopniowo zaczynamy zwracać się w kierunku rzeczywistości, a nie fantazji wciąż suflowanych naszym skłonny do zakrzywień poznawczych umysłem.

Jest to mimo wszystko – niezależnie od wyniku wyborów, którym od początku towarzyszyła apokaliptyczna retoryka i apokaliptyczne emocje – optymistyczna prognoza na przyszłość. Zwłaszcza że świat dookoła pełen jest niebezpieczeństw i problemów, do których rozwiązania niezbędna jest umiejętność adekwatnej oceny zagrożenia, nie zaś bujanie w obłokach teorii spiskowych albo myślenie w karykaturalnych, czarno-białych kategoriach.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

MAŁGORZATA

Kordowicz: Córki Adama



TYDZIEŃ TEMU ZACZĘLIŚMY SIĘ PRZYGLĄDĄĆ dość zaskakującemu jak na Biblię początkowi szóstego rozdziału Księgi Rodzaju. Przeczytaliśmy tam m.in.: „ujrawszy synowie Boscy [hebr. *benej ha-elohim* / *ha-Elohim*] córki ludzkie [*benot ha-adam* /

ha-Adam], iż piękne były, pojęli sobie żony ze wszystkich, które sobie upodobał” (Rdz 6, 2; Cylkow). W hebrajskim nie ma wielkich i małych liter, ale jako pierwsze narzuca się tłumaczenie „synowie Boga” oraz „córki człowiecze”, ewentualnie „córki [tego] Adama”. Czyżby doszło do pomieszania światów boskiego i ludzkiego? Odpowiedź daje nam kolejny wers, w którym Najwyższy jasno stwierdza, że lata życia człowieka są liczbą skończoną (maksymalnie 120). Ościenne ludy, drodzy starożytni Izraelici, mają swoje – znane wam – fantastyczne opowieści, ale wy wiecie, że istota ludzka nie może stać się nieśmiertelna. Bóg jest zasadniczo inny od ludzi – a nie, jak w mitologiach, stworzony na ich obraz i podobieństwo. Oto naczelne przesłanie biblijnego monoteizmu.

Główny nurt judaizmu radzi sobie z „synami Boga” inaczej. Mianowicie – zauważa, że słowo „*elohim*” oznacza również sędziów, ewentualnie możliwych. Rabin Szymon syn Jochaja stwierdza, że *benej elohim* to „synowie szlachetnie urodzonych”. Rabin Judan twórczo rozwija tę sugestię i – wprawdzie nie tymi słowy, ale ewidentnie ów haniebny proceder ma na myśli – sprowadza opisaną sytuację do realizacji prawa pierwszej nocy. Wydawałoby się, proszę wybaczyć slang: pozamiatane. Ale rabin Szymon dodaje: „przeklęty ten, kto nazywa ich aniołami”.

Kogo ma starożytny rabin na myśli? Wokół nie brakuje różnych żydowskich sekt, w pismach których znajdziemy rozwinięcie naszego biblijnego wątku. Po pierwsze: Księga Henocha (współcześnie kanoniczna tylko w Kościele koptyjskim), według której aniołowie chcieli współżyć z kobietami i z tych związków urodzili się olbrzymi, którzy objęli ludzi, a w końcu zaczęli zjadać siebie nawzajem. Skoro pochodzili od aniołów, ich duch był niezniszczalny, ale do nieba wrócić nie mógł. Pozostawał więc na ziemi jako zły duch, który sieje zamęt i jest źródłem wszelkiego zła. W Księdze Jubileuszów (kanonicznej w Etiopii) to aniołowie zostali uwiedzeni przez kobiety – konkretnie: córki Kaina, który z kolei był synem nie Adama, lecz Ewy i dosiadającego węża przywódcy aniołów Samaela. Wypada wymienić jeszcze Apokalipsę Barucha, obecną do dziś w syryjskim kanonie biblijnym, oraz późny midrasz tradycyjnie przypisywany rabinowi Eliezerowi synowi Hurkanosa. Skąd popularność tych pism? Niewątpliwie motyw upadłych aniołów rozpałał i nadal rozpała ludzką wyobraźnię, a zaproponowana geneza obecności zła na świecie wiele upraszcza. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Warto żyć



WARTO ŻYĆ, NAWET JEŚLI „BOGA NIE MA”, to przecież istnieją powody, aby istnieć. Znamy ludzi, którzy żyją nie tylko po to, żeby zachłannie konsumować rzeczywistość, ale ją tworzyć, nawet czy również za cenę własnego życia, a nie cudzego. Ukraińcy, jak też ochotnicy innych narodowości, idący na front i tracący życie, walczą nie dla idei, ale mówiąc mszalnym językiem, swoim ciałem i krwią osłaniają tych, od których otrzymali i którym dali życie. Umierając, cierpiąc niewolę, okaleczenie fizyczne i psychiczne, odsłaniają trudną prawdę, o której nie chcemy pamiętać, że im dłużej żyjemy, tym mocniej się zadłużamy u ludzi i w ostatecznym rozrachunku, nawet o tym nie wiedząc, u Boga. Tego długu, zaciągniętego u naszych wierzących, nie jesteśmy im w stanie bezpośrednio spłacić. To, co możemy, to pamiętając o nich, o cenie, jaką oni zapłacili za to, że żyjemy, nie zamykać oczu na świat – na to, co dzieje się w nas i wokół nas.

Reporterka CNN Christiane Amanpour mówi: „W Bośni narodziła się moja mantra »prawda, nie bezstronność«. Tam zrozumiałam, że poznanie prawdy zobowiązuje cię do pokazania jej na zewnątrz – i stałego przypominania o niej. W Bośni nauczyłam się odróżniać ofiarę od agresora, to, co moralne, od tego, co niemoralne. Uważam, że dla dziennikarza ogromnym niebezpieczeństwem jest próba stworzenia »neutralności« tam, gdzie jej nie ma. Prowadzi to do tworzenia fałszywych odpowiedników rzeczywistości i przysłaniania prawdy”. To zagrożenie czyha nie tylko na dziennikarzy, ale na każdego i dotyczy niekończących się wojen i wojenek rodzinnych, sąsiedzkich, partyjnych, kościelnych, światopoglądowych i nie wiem jakich jeszcze. Dla agresorów każda dziedzina życia jest do wykorzystania. Zaczyna się od mamienia ludzi obietnicami bez pokrycia, których realizację gwarantują, powołując się na własną lub boską wszechmoc. Zapewne niejedną z tych, których sumienie obciąża śmierć milionów ludzi, bez skrupułów umieściłby na swoich pieczęciach i pałacach napis z monety, którą pokazano Jezusowi: „Tyberiusz Cezar, syn boskiego Augusta”, oczywiście w miejsce Tyberiusza wstawiając swoje imię. Podobnie „piastujący władzę” w Kościele też próbowali i próbują bywać Cezarami, co papież Franciszek nazywa światowością i klerikalizmem.

„Wiecie o tym, że rządzący uciskają ludzi, a wielcy dają im odczuć swoją władzę. Nie tak ma być między wami. Jeśli ktoś z was chce być wielki, niech będzie waszym sługą. A jeśli ktoś z was chce być pierwszy między wami, niech się stanie waszym niewolnikiem. Tak jak Syn Człowieczy, który nie przyszedł po to, aby Mu służyło, lecz aby służyć i oddać swoje życie jako okup za wielu” – mówi Chrystus. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Wspólny sąd

*Człowiek doskonały
jest imieniem Boga.*

SIMONE WEIL



*Jeśli ktoś śpi,
obudzenie go może być
dlań dobre albo złe.
To zależy od poziomu
rozwoju tego, który budzi.*

RUMI



SŁOWO Z PROROKA Joela (Jl 4, 12-21), proklamowane nad nami niedawno przez liturgię, ma wszelkie prawo nami wstrząsnąć. Najpierw dlatego, że zwołuje nas na sąd. Stawia nas przed Sędzią, który – z sierpem w ręce – chce dokonać zniwa i ucieszyć się plonem. Ale, co więcej, wedle proroctwa Joela mamy stawić się na tym sądzie nie pojedynczo, ale każdy we wspólnocie swojego „narodu”: „Niech ockną się i przybędą narody, (...) tłumy, tłumy w Dolinie Wyroku”.

W pierwszym odruchu chcę zaprotestować, albo przynajmniej wykrzyzczyć kilka pytań: Rozumiem, że będę osądzony – ja, Grzegorz Ryś – za każdy z moich czynów, słów i zaniechań. Za to, co osobiście zrobiłem lub nie. Ale jakże mogę być sądzony jako członek wielkiej społeczności? Czy to objawienie „zbiorowej odpowiedzialności”? Czy „winy narodu” są moimi osobistymi? Czy mam odpowiadać za to, za co nie jestem odpowiedzialny? Na co nie mam wpływu? Jakim prawem?

Słucham tych swoich wykrzykiwanych pytań (albo czytam je po raz czwarty i piąty) – i robi mi się wstyd. Jak łatwo jest się zamknąć w radykalnie indywidualistycznym rozumieniu odpowiedzialności – w takóŜ pojętych wzorcach doskonałości i rachunkach sumienia.

Nie podoba mi się wiele rzeczy wokół w naszym polskim domu: poziom

agresji, niewyobraŜalna polaryzacja; nie podoba mi się przemoc w języku i przemoc fizyczna, sposób, w jaki mówi się u nas o migrantach i uchodźcach, poniewierając ich ludzką godność i prawa, i wciskając w kliszę: „terroryści, zabójcy, gwałciciele kobiet”. Wymieniam tylko te „nie podoba mi się”, które w pierwszej chwili przychodzą mi na myśl. Nie chodzi jednak o to, by sporządzić tutaj kompletny katalog. WaŜniejsze jest, by postawić sobie pytanie: czy naprawdę za to nie odpowiadam? I czy mogę uciec od osądu wspólnoty, do której naleŜę? A moŜe Pan Bóg chce nam powiedzieć przez Joela: nie odpowiadasz tylko za siebie! Stworzyłem cię do życia wspólnego – do relacji, do więzi – które tworzysz i które współtworzą ciebie.

Z drugiej strony ten tekst mówi także o ostatecznym zbawieniu. I znów opisane (czytaj: obiecane) jest ono nie w kategoriach indywidualistycznych, lecz wspólnotowych: „Pan jest ucieczką swego ludu i ostoją synów Izraela. Ziemia Judy na wieki będzie zamieszкана, a Jerozalem z pokolenia na pokolenie”.

Będę zbawiony wewnątrz ludu Boga. Ludu, do którego tak łatwo jest mi się zdystansować: „bo już nie potrafię znieść wszystkiego, co się tu dzieje!”. Przypomina się tekst soborowy (KK 9): „Spodobało się Bogu zbawiać ludzi nie pojedynczo”, lecz tworząc z nich lud.

Nie chcę stawiać dzisiaj puenty, chcę raczej pozwolić do końca wybrzmieć pytaniom, które stawia tekst Joela. Najpierw we mnie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 X)

29. niedziela zwykła: Iz 45, 1. 4-6; Środa: Rz 6, 12-18; Ps 124; Łk 12, 39-48;
Ps 96; 1 Tes 1, 1-5b; Mt 22, 15-21; Czwartek: Rz 6, 19-23; Ps 1; Łk 12, 49-53;
Poniedziałek: Rz 4, 20-25; Piątek: Rz 7, 18-25a; Ps 119; Łk 12, 54-59;
Ps: Łk 1, 69-75; Łk 12, 13-21; Sobota: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Wtorek: Rz 5, 12. 15b. 17-19. 20b-21; 30. niedziela zwykła: Wj 22, 20-26;
Ps 40; Łk 12, 35-38; Ps 18; 1 Tes 1, 5c-10; Mt 22, 34-40.

KRAJ

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

INSTRUKCJA WYRZUCANIA LUDZI

Możliwe, że Straż Graniczna zblądziła – przyznają strażnicy.
Ale też nikomu nie zależało, żeby z wywołanego
przez Białoruś kryzysu służba wyszła z honorem.

MAREK RABIJ



Straż graniczna pilnuje uchodźców na granicy polsko-białoruskiej w Usnarzu Górnym, sierpień 2021 r.

sób mogliby dojść już do mnie, bo każda placówka Straży ma pod nadzorem tylko jeden. Jakby co, nigdy nie rozmawialiśmy.

Michał do dziś nie wie, po co kręcił telefonem interwencje Straży Granicznej w apogeum kryzysu migracyjnego na białoruskiej granicy. Żeby mieć dowód? Tylko dla kogo? A może po to, żeby odreagować? Oddzielić od siebie, jak mówi, wspomnienie tego, w czym brał udział? Prawie wszystkie chłopaki w jego oddziale wtedy nagrywali, więc chyba coś w tym jest.

Na filmie z telefonu słońce już schoowało się za ścianą lasu po polskiej stronie, rzuca jeszcze nieśmiałe blaski na niebie ponad drzewami. Tuż za słupkiem granicznym widać kilku uzbrojonych mundurowych. Przed nimi, na pieńkach ściętych drzew siedzi pięć osób.

– Nie byli agresywni – zaznacza Michał. – Siedzieli na tych pieńkach prawie jak dzieci w szkole i tylko co jakiś czas któryś wołał do nas, żeby im pozwolić przejść. Po angielsku: „please, safe passage”. W pewnym momencie zobaczyłem obok białoruskiego pogranicznika, z którym się znałem z pracy na przejściu. Pytam go, co tu się odpiera..., a on od razu, żeby ciszej, bo w głębi lasu stoi jakiś Ruski i to on tam dowodzi.

Michał sprawdza datę nagrania.

– 21 sierpnia 2021 roku. Wtedy to się dla mnie zaczęło – kiwa głową. – Po południu przyszło zawiadomienie, że po białoruskiej stronie gromadzą się ludzie i po kilka osób przekraczają granicę. W biały dzień, tuż za wsią, jakby chcieli się tym pochwalić. Jak przyjechalismy na miejsce, tamta grupa właśnie podeszła do granicy. Na nasz widok Białorusini ich usadzili i kazali prosić o zgodę na jej przekroczenie. Po diabła? Nie wiem do dziś. Przecież wiedzieli, że się nie zgodzimy. Może mieli tam kamery?

Na granicy prawa

Wtedy, we wrześniu, Michałowi stuknęło szesnasty rok w Straży Granicznej. W pierwszej poważnej pracy po maturze. Gdyby koniecznie miał przypisywać wyższe pobudki decyzji o wstąpieniu w szeregi Straży, nie wskazałby na pociąg do

munduru czy miłość do ojczyzny. Jeśli już, to do tej malej.

– My dużo z żoną podróżujemy, ostatnio też po krajach muzułmańskich, bo i Egipt, i Tunezja – wylicza. – Polskę też całą zjeździłem, ale najlepiej czuję się tutaj, na Podlasiu. Jak jest po horyzont płasko i pachnie lasem. To moje miejsce na ziemi i chcę, żeby tu tak zostało. Do muzułmańskiej religii nic nie mam, u nas wiele rodzin dwuwyznaniowych, bo żona katoliczka, a mąż prawosławny. Albo w drugą stronę. Ale islam to już inna kultura. Wiem, bo na własne oczy widziałem w Afryce. Potem na granicy też się napatrzyłem. Więc jak się wtedy w sierpniu zaczął ten najazd, nie miałem wątpliwości, po czyjej stronie jest racja. Bo jak można komuś do domu w nocy włożyć przez płot? Jakbym do Egiptu próbował się dostać w nocy przez pustynię i by mnie przegнали, to co? Łamaliby moje prawa człowieka?

Siedzimy w kawiarni. Dochodzi osiemnasta i do środka zagląda coraz więcej osób. Na brzmienie słowa „pushback” Michał kurczy się jak od ciosu w brzuch, a potem spogląda na boki. Nie chodzi o to, zaznacza, że ma się czego wstydzić. Ma się czego bać. Szefostwo Straży Granicznej tępi przecieki do mediów. Kandydatów do służby podobno sprawdzają teraz nawet wariografem.

– Pushbacki były na porządku dziennym. Teren na każdej zmianie patrolowały dwa zespoły po dwie osoby. Dopiero potem zrobili patrole trzyosobowe. Mieściliśmy pod nadzorem ze 30 kilometrów linii granicznej, zdarzały się więc noce, że nikogo nie znajdowaliśmy. Ale zwykle jechaliśmy na pewniaka, za wysłaną pinezką. Na początku głównie myśliwi dawali cynk, gdzie ktoś nocą łązi po lesie. Potem także mieszkańcy. Jak się już znalazło grupę nielegalnych, łączyliśmy się z dyżurnym, opisywaliśmy sytuację i on decydował, co dalej. Odpowiedź była zwykle ta sama, czyli przegnać na Białoruś. Nasz komendant to karierowicz. Wie, że centrala chce jak najmniejszej liczby osób, które wskazują do ewidencji zatrzymanych, bo to potwierdzenie, że osoba przekroczyła polską granicę i może ubiegać się o azyl. No to gnaliśmy. Część grzecznie zawracała, ale niektórzy się stawiali albo błagali na klęczkach, żeby ich puścić. Czasem trzeba było szarpnąć albo nawet pałą przylać, żeby posłuchali.

→

OBRAZ PODSKAKUJE W RYTMIE ŚPIESZNYCH kroków, w tle słychać zdyszany oddech i głosy z oddali. Aparat łapie ostrość dopiero na fasadzie starego drewnianego domu z oknami w charakterystycznej białej oprawie, jaką na Podlasiu ma wiele starszych budynków. Frontowe wychodzą na Polskę. Z tych po drugiej stronie widać tylko Białoruś, która zaczyna się może piętnaście metrów od tylnej ściany domu. Na filmie da się odczytać nawet numer słupka granicznego.

– Tylko o nim nie pisz – ostrzega Michał. – Jak podasz numer, to po nim zidentyfikują odcinek granicy, a w ten spo-

→ Bestialskich zachowań wobec migrantów Michał na granicy jednak nie widział. Nie zetknął się choćby z przetrzucaniem ludzi przez druty, o czym rozpisywały się media cytujące relacje obecnych na granicy aktywistów. Przeciwnie. Jeśli w wypychanej grupie była na przykład starsza kobieta, strażnicy z oddziału Michała zmuszali młodszych, żeby jej pomogli przejść na białoruską stronę. – Potem, jak już postawili ten docelowy płot na granicy, było łatwiej, bo co jakiś czas jest w nim bramka zamykana na dwie kłódki. My to nazywamy „oknem życia” i tam wtedy tamci wracali na Białoruś.

Możliwe jednak – przyznaje po chwili Michał – że komuś nerwy puszczały. Wojskowym puszczały na przykład nagminnie. Szarpali uchodźców, leciały wyzwiska. On się jednak tym chłopakom nie dziwi. Nie znali terenu, a w nocy las wygląda groźnie. Poza tym wielu z nich, jak mówi, tygodniami tkwiło na granicy, nie raz setki kilometrów od domu. Jeden dennerwował się stanem zdrowia dziecka. Innemu żona suszyła łeb, że taką robotę wybrał. Jeszcze inny miał podejrzenia, że narzeczona świetnie się bawi pod jego nieobecność.

– Raz, z tego, co wiem, żołnierze włąli komuś naprawdę solidnie. Przemysłowcy. Gość się nie zatrzymał na punkcie kontrolnym, staranował jedno auto i ranił kilka osób. Matka by go potem w szpitalu nie poznała. Oficjalnie odniósł rany w wypadku – uśmiecha się strażnik.

Na granicy wytrzymałości

Na drugim nagraniu więcej słyszeć niż widać. W świetle latarki czołowej biegną głównie obłoczki wydychanej pary. Kiedy światło pada na ziemię, widać przez moment, że pogrążony w ciemności las dosłownie ocieka deszczem, choć opadu nie słyszeć. Zagłuszają go z oddali wrzaski, z których na pierwszy plan przebijają się jedno skandowane hasło: „Fuck you Poland! Fuck you Poland!”.

Światło latarki wyławia w końcu z ciemności graniczne ogrodzenie. Zza concertiny grupa kilkunastu osób rzuca już nie tylko obelgi. Na polską stronę lecą także kamienie i patyki.

Film nakręcił Rafał. Jak mówi enigmatycznie, na wszelki wypadek.

– Od maja jestem na emeryturze i staram się nie wracać myślami do służby.

Straż Graniczna jest dziś służbą zdegenerowaną.

Najpierw zapadła się
pod ciężarem
własnej niewydolności,
a potem dobili ją politycy.

Bo z jednej strony wydaje mi się, że spełniliśmy nasz służbowy i obywatelski obowiązek. Broniliśmy kraju. A z drugiej – bierze wdech – mam wątpliwości, czy temu kryzysowi nie można było zapobiec inaczej. Tak, żeby z ludzi nie wyszło najgorsze.

Rafał pauzuje film w swoim telefonie. O, tutaj – wskazuje palcem rozmazaną twarz – widać za ogrodzeniem chłopaka, który jakieś dwie godziny wcześniej, jeszcze po polskiej stronie, błagał go płynną angielszczyzną o przepuszczenie: – Mówił, że w Berlinie ma już nagraną pracę, że musi tam się dostać, żeby zapewnić leczenie młodszej siostrze, którą chce potem ściągnąć do Niemiec. Jak tylko go wypchnęliśmy z powrotem za granicę, zdygotał się i pokazał mi gołą dupę.

Michał: – Zatrzymujemy czterech czarnoskórych. Wszyscy mówią, że uciekają z Etiopii przed wojną i proszą o azyl w Polsce. Przetrzepujemy im plecaki. Jeden okazuje się Kubańczykiem.

Rafała to nie dziwi i nie oburza. Ludzie na granicy wytrzymałości psychicznej i fizycznej mają prawo, jak mówi, bluzgać, kłamać i manipulować, nawet rzucać kamieniami. Szkopuł w tym, że zrozumienia dla skrajnych emocji odmówiono – jego zdaniem – samym strażnikom granicznym i ludziom zamieszkującym pas nadgraniczny, w którym wprowadzono stan wyjątkowy. Nakręcana przez polityków opinia publiczna zaczęła mieć wobec nich jedynie oczekiwania. Ci, którzy krzyczeli, żeby nie wpuszczać do Polski nikogo, nie pytali, co czuje człowiek, który na polecenie zwierzchników przepędza przez granicę płaczącą kobietę – i to ze świadomością, że tamci za jakiś czas znów przegonią ją do Polski. Z kolei antyrządowej stronie politycznej szachownicy empatii wystarczało jedynie dla uchodźców.

Przysiółek strachu

– Środek nocy, przy samej strefie z zakazem wjazdu – wspomina Rafał. – Jedzie matiz. Zatrzymujemy go z policją, a w środku aktorka, pani Ostaszewska. I zaczyna się rozmowa. Ona z pretensjami, że zamiast ratować ludzi, przeszkadzamy tym, którzy to robią. I że trzeba nie mieć sumienia, żeby nie ulitować się nad ludźmi, którzy w taki ziąb ukrywają się w lesie – wspomina Rafał. – Gdybym tam był sam, tobym ją spytał, czy na litość nie zasługują też ludzie ze wsi trzy kilometry dalej za tym lasem. Przysiółek, z pięćdziesiąt osób może tam mieszka, sami starszaki, bo młodzi uciekli do miasta. Odkąd Łukaszenka zwozi uchodźców, boją się po zmroku wyjść z chałupy.

W tamtych dniach w domu Michała telewizor był wyłączony. TVN-u nie dało się oglądać, bo gadali, że strażnicy niszczą migrantom gniazdko ładowania w telefonach, żeby nie mogli wezwać na pomoc aktywistów po polskiej stronie. – A my to robiliśmy nie ze złośliwości, ale po to, żeby ci, których wywalimy na Białoruś, przed kolejną próbą nie mogli naładować aparatów i skontaktować się z przemysłowcami, którzy czekali parę kilometrów za granicą – twierdzi Michał.

TVP, ta, co „murem za polskim mundurem”, nie była lepsza. Michała do dzisiaj bawi wspomnienie jednego wydania „Teleexpressu”, w którym puścili materiał o brutalnych białoruskich służbach mundurowych przepędzających siłą migrantów na polską stronę. – Oglądałem i widzę nagle moich kumpli z jednostki, jak wyciągają za fraki z więziarki uchodźców, a w tle leci komentarz, że to Białorusini. Polskie dystynkcje widać normalnie. Okazało się, że raz chłopaki zwieźli do strażnicy kilku gości złapanych w lesie. Tamci byli przerażeni, nie chcieli wyjść z auta, więc nasi musieli ich wywlec siłą. Nie wiem, jak to trafiło do telewizji, może jacyś aktywiści nagrali, może któryś z naszych niepotrzebnie wrzucił to do internetu.

Pytam Rafała o to, czy po akcjach w lesie strażnicy mogli liczyć na jakieś wsparcie psychologiczne. Zamiast odpowiedzi, posyła mi zdumione spojrzenie kogoś, kto nie spodziewał się usłyszeć czegoś tak absurdu.

– Jak się zrobiło głośno o tym, co się tu wyrabia – odzywa się w końcu – z całej Polski zaczęły przychodzić paczki dla



STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Rozpoczęcie budowy ogrodzenia na granicy polsko-białoruskiej, wieś Tolcze w gminie Kuźnica,, styczeń 2022 r.

nas i dla wojska. Słodczyce, ale też bielizna sportowa, porządne buty w teren, ciepłe kurtki. Może to było zaplanowane przez rząd, może spontaniczne, ale bardzo miłe. Jednego dnia przywieźli te dary do naszej placówki. Byliśmy akurat na patrolu. Jak wróciliśmy, okazało się, że zostały jakieś stare szmaty. Najlepsze fanty, po kilka sztuk, wzięli sobie dowódcy.

Na granicy rozsądku

Marek żadnych filmów z migrantami nie ma. Odszedł ze służby 10 lat temu, po 22 latach pracy, w której dosłużył się stopnia pułkownika. Utrzymuje jednak kontakt z kolegami, którzy nadal tam pracują.

– Faceci, z którymi pan rozmawiał – mówi – widzą drzewa, ale nie widzą lasu. Nazwijmy rzecz po imieniu. Straż Graniczna jest dziś służbą zdegenerowaną i należy sformować ją od nowa. Najpierw zapadła się sama, pod ciężarem własnej niewydolności, a potem dobili ją politycy, którzy z sytuacji na granicy zrobili konflikt światopoglądowy.

Kryzys na granicy białoruskiej nie był zdaniem Marka wydarzeniem, które musiało Straż przerosnąć. Można było się na niego przygotować, zwłaszcza obserwując to, co działo się od kilku lat na południu Europy. A już w apogeum popełniono mnóstwo błędów.

– Uwaga rządzących i opinii publicznej skoncentrowała się na tych, którzy utknęli na granicy, ale nigdy się nie do-

wiemy, ilu ją cichaczem przekroczyło i poszło dalej w Europę. Nieoficjalne rządowe szacunki mówią o dwudziestu, a nawet trzydziestu tysiącach. Każdy z tych ludzi wysłał potem wiadomość do znajomych i bliskich, która była także sygnałem, że droga przez Białoruś, choć kosztowna, jest w sumie bezpieczna i w miarę prosta. Lot do Mińska, kilka dni w strefie przygranicznej i po kilku godzinach w busie jesteś w Berlinie. A gdyby polskie służby od początku kryzysu przestrzegały prawa i zamiast wypychać migrantów na Białoruś zatrzymywały ich na terenie Rzeczypospolitej, a potem deportowały tych, którzy nie spełniają kryteriów do otrzymania azylu, to do Afryki i na Bliski Wschód poszedłby sygnał, że ta gra nie jest warta świeczki – uważa emerytowany pułkownik.

Do przyjęcia takiej liczby migrantów należałoby się wcześniej rzecz jasna przygotować. Ale to też było do przewidzenia. Można było, mówi Marek, wcześniej zwiększyć liczbę ośrodków dla osób oczekujących na azyl i przyspieszyć procedurę, żeby jak najszybciej deportować tych, którzy nie potrzebują azylu. – Nie musieliśmy wtedy tracić czasu na bzdurne rozważania, co czuł strażnik graniczny, kiedy wypychał migrantów za granicę.

– Bzdurne – pytam?

– Tak. Oni wszyscy łamali prawo i powinni za to odpowiedzieć. To, że przy

okazji połamano strażnikom kręgosłupy moralne, to kwestia drugorzędna. Szefem podlaskiego oddziału Straży w apogeum kryzysu był facet, który parę lat wcześniej wszczynął postępowanie dyscyplinarne tylko za to, że strażnik na ukraińskiej granicy odezwał się do kogoś podczas kontroli nie per „pan”.

Ojcu bym tego nie zrobił

Michał: – Pytasz, co czułem przepędzając ludzi przez granicę? Normalnie się czułem. Wkur... mnie tylko młodzi, którzy ciągnęli za sobą schorowanych rodziców i jeszcze mieli pretensje, że im nie pozwalamy przejść dalej. Trzeba być debilem, żeby tak narażać starsze osoby. Ja bym swojemu ojcu tego nie zrobił.

– Wszyscy twierdzili też, że uciekają przed prześladowaniami albo wojną, ale jak spytałeś o kraj, to udawali, że nie rozumieją – ciągnie Michał. – Dokumenty niszczyli albo chowali, żeby nie wyszło, że wcale nie uciekają przed wojną, tylko po niemieckim zasiłek. Dlatego z czasem my, strażnicy, sami zaczęliśmy segregować ich na podstawie tego, co udało nam się o nich dowiedzieć. Ja raz puściłem wolno w lesie parę jezudów, bo ich mordowali w Państwie Islamskim. Kolega z innej placówki dwójkę samotnych zagubionych dzieci osobiście odstawił na strażnicę, a potem do domu dziecka. Komendant się wściekł, ale powiedział mu, że dzieci to niech se sam wywozi na Białoruś. Nie wszyscy mieli tyle odwagi. Wiele razy ścieraliśmy się w naszym gronie o to, co powinniśmy zrobić. Kiedy odmówić wykonania rozkazu. Pretensje kierowaliśmy głównie do naszego komendanta.

Rafał: – Mnie się wygotowało, kiedy zaczęły się pojawiać w telewizji informacje o ciałach znajdowanych w lesie. Na naszym odcinku coś takiego się nie wydarzyło, ale z czasem przed każdym patrolem zacząłem się denerwować, że może właśnie dziś znajdziemy trupa. Potem doszły problemy ze snem. Budził mnie koszmar, że wieziemy z lasu gnijące zwłoki, potem wracam do domu i orientuję się, że mam buty umazane w trupiej mazi... Dobrze, że mogłem już odejść na emeryturę.

W 2021 r., jak podaje biuro prasowe Straży Granicznej, ze służby odeszło 418 jej funkcjonariuszy. Rok później już 589. W tym roku liczba odejść do grudnia przekroczyć może 1,1 tysiąca.

© MAREK RABII

Widmo młodości

KLAUS BACHMANN

Młodzi mają dobre powody do sceptycyzmu wobec demokracji. Jeśli ich nie włączymy w proces decydowania o współczesnym świecie, zrobią nam niemiły prezent na starość.

SZUKAJĄ SILNEGO PRZYWÓDCY I UWAZAJĄ, że istnieją lepsze formy rządów niż demokracja. Czasami są skrajnie pravicowi, czasami cyniczni, społecznie darwinistyczni i ksenofobiczni. To nie jest (tylko) charakterystyka wyborców Konfederacji, jaka wynika z badań na ten temat w Polsce. To już międzynarodowe zjawisko, które wyłania się z wielu analiz, a zwłaszcza z ostatniego raportu Open Society Foundations, zrealizowanego na podstawie badań prowadzonych w 30 państwach. Poziom sceptycyzmu wobec demokracji różni się w zależności od kraju, ale jeden element prawie wszystkie je łączy: pośród młodych (w wieku 18-35 lat) poparcie dla rządów wojskowych i odrzucenie demokracji jest większe, niż w starszych kohortach. Dotyczy to tak samo Niemiec, jak i Polski, ale również Indii czy Ukrainy.

Widmo to krąży po Europie, i nie tylko po niej. Widmo jest młode, nigdy nie miało żadnych doświadczeń ani z Trzecią Rzeszą, ani z komunizmem. Nie interesuje się historią i ma tylko bardzo rudymenarne wyobrażenia o tym, jak działa polityka – ale nie podoba mu się to, co widzi. Uważa, że musi pojawić się ktoś, kto zakończy partyjne kłótnie i huknie w stół. Jest też przekonane, że każdy powinien dbać o siebie. Nie można tego widma nazwać neonazistowskim, ponieważ pod względem antysemityzmu i różnych przejawów ksenofobii nie różni się zbyt wiele od mentalności przeciętnego obywatela swojego kraju – również w Niemczech. Widmo po prostu uważa, że demokracja jest niezrozumiała, pełna rozkrzyczanych, egoistycznych postaci, i stanowi stratę czasu. Nie mamy dokładnych danych, dlaczego młodzież tak uważa, ponieważ w sondażach respondenci mogą wybierać odpowiedzi tylko spośród kilku z góry podanych, nie mogą też ankietę-

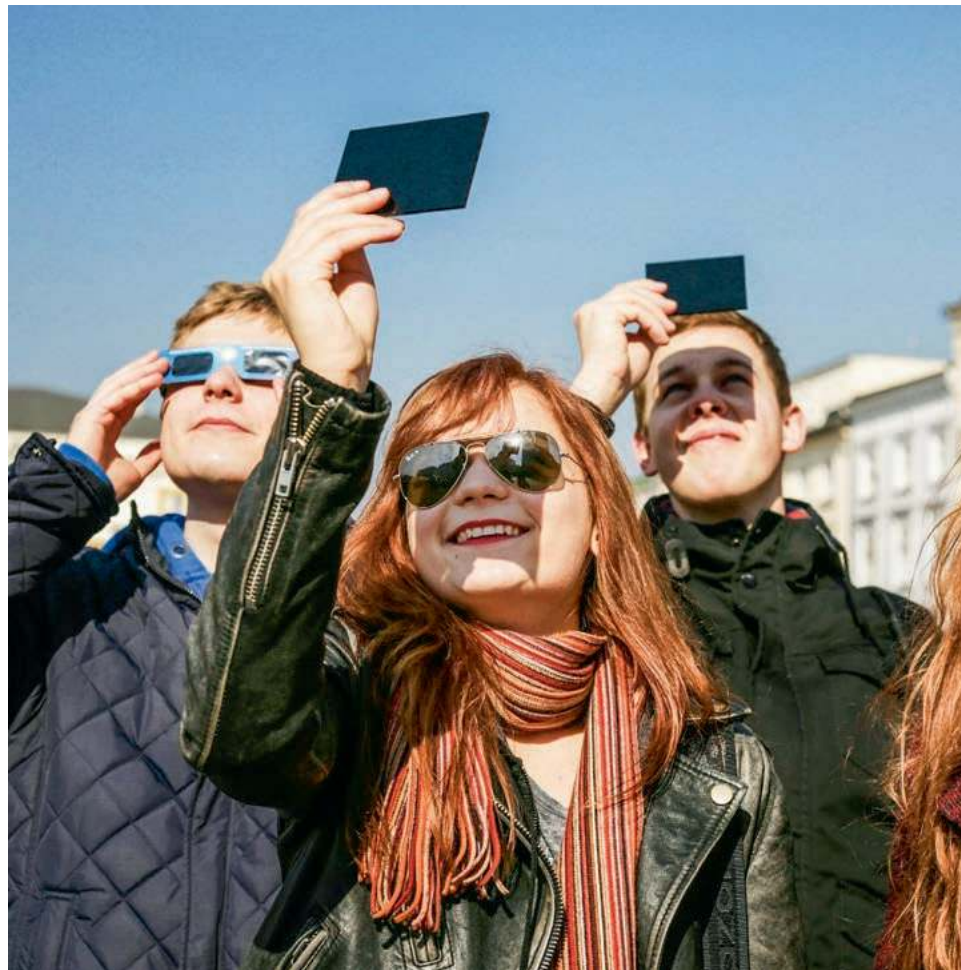
rom dyktować długich esejów. Z drugiej strony, czy młodzi byliby w stanie sprawnie przekazać swój światopogląd? Ich wrogość wobec demokracji jest mglista, emocjonalna, logicznie sprzeczna albo, jak powiedzieliby naukowcy analizujący ankiety: niezdolna do dyskursu.

Przy analizie tego zjawiska musimy porzucić najpopularniejsze tłumaczenia z lat 90. XX wieku, kiedy wysokie bezrobocie i lęk przed utratą pracy napędzały wy-

borców skrajnym partiom. Dziś młodzi wchodzący na rynek mogą sobie o wiele swobodniej wybrać pracodawcę (choć oczywiście problemem jest masa profesji kiepsko płatnych), zwłaszcza jeśli mają dobre wykształcenie, mogą również – inaczej niż w PRL – swobodnie podróżować i emigrować. I choć wielu z nich prawdopodobnie nie byłoby w stanie przekonująco zaprezentować powodów swojej postawy, to mają dobre powody do sceptycyzmu wobec demokracji.

Młodzi na rzecz starych

Jeden z truizmów o starzejących się społeczeństwach z repartycyjnym systemem emerytalnym (bieżące składki pokrywają aktualne emerytury) głosi, że coraz więcej emerytów musi być utrzymywanych przez malejącą liczbę płatników składek emerytalnych. Kiedy w latach 60. ubiegłego wieku rodził się wyżej demograficzny, w Niemczech na jednego emeryta przypadało sześciu płatników. Obecnie na



jednego emeryta zarówno w Polsce, jak i w Niemczech przypada tylko 1,8 płatnika składek, pomimo niemal zupełnego braku bezrobocia w obu krajach – zatrudnienie po prostu rośnie wolniej niż liczba seniorów. Ale już od końca lat 90. składki przestały pokrywać bieżące wypłaty emerytur, a niemiecki rząd wprowadził „dotację federalną” do ubezpieczenia emerytalnego. Obecnie w Niemczech istnieje nawet dopłata do tej dopłaty, bo ona sama nie pokryłaby deficytu.

Podobne dopłaty mamy też w Polsce, choć w 1999 r. przeprowadzono u nas reformę emerytalną. Wprowadzono wtedy trzy filary wsparte przez zasilany dochodami z prywatyzacji Fundusz Rezerwy Demograficznej, który miał w założeniach stabilizować w przyszłości budżet ZUS. W międzyczasie z systemu wykruszył się jeden z filarów w wyniku przymusowego przeniesienia pieniędzy z OFE do ZUS, rezerwowi fundusz zaś politycy PiS zmienili w rodzaj salda debetowego dla

budżetu, z którego wypływają miliardy. Skutek? Jak obliczyła niedawno „Rzeczpospolita”, pieniędzy w kasie FRD wystarczyłoby na wypłaty emerytur zaledwie przez trzy miesiące. Szwecja w swoim funduszu ma środki na dwa lata.

Nasz system emerytalny jest dziś dalekim odbiciem założeń stojących za jego powstaniem. Niby zarabiamy na własne emerytury, a nawet na indywidualnym koncie w ZUS możemy oglądać symulacje przyszłych świadczeń, ale Zakład wciąż ma na utrzymaniu sporo osób, które przeszły na emeryturę na zasadach sprzed reformy. System świadczeń społecznych roi się też nadal od wyjątków dla rolników, duchownych czy mundurowych. W efekcie nie może obyć się bez dopłat z kasy państwa. Pochodzą one oczywiście z podatków, z tendencją szybko rosnącą.

W 2030 r. w Niemczech i w Polsce na każdego emeryta przypadać będzie 1,5 płatnika składek, w 2050 r. już tylko 1,3, a w pewnym momencie (statystycznie rzecz biorąc) każdy podatnik „otrzyma” swojego osobistego emeryta, z którym będzie musiał dzielić się dochodami.

Ale to nie wszystko, ten schemat powtarza się również w systemie opieki zdrowotnej. Im starsi ludzie, tym częściej i ciężiej chorują, i tym więcej kosztują system ubezpieczeń zdrowotnych, zwłaszcza jeśli ich gwałtownie przybywa. A ponieważ, mimo wszelkich minusów, mamy relatywnie dobry, najlepszy w historii system opieki zdrowotnej, w ramach którego możemy stosować coraz to bardziej wymyślnie i drogie metody przedłużania życia, to nasi emeryci coraz dłużej korzystają ze świadczeń. W ten sposób w ochronie zdrowia działa mechanizm redystrybucyjny: przerzuca on coraz więcej pieniędzy z podatków coraz mniejszej liczby młodych, zdrowych i pracujących osób na rzecz szybko rosnącej rzeszy chorujących seniorów. Czyli mamy już dwa systemy, w ramach których państwo zabiera młodym i zdrowym, daje zaś chorym i starym.

Zdyscyplinowane lobby

Oczywiście, można to zmienić podnosząc wiek emerytalny – wtedy starsze pokolenie będzie musiało pracować dłużej,

a młodzi będą mogli płacić mniej. Można obniżyć poziom emerytur – wtedy będzie też trochę łatwiej dla płacących składki, ale rzesze seniorów ulegną pauperyzacji. Albo możemy zastąpić umowę międzypokoleniową (ci, którzy teraz pracują, finansują emerytury obecnych emerytów) prawdziwym systemem kapitałowym (każdy oszczędza na własną starość). Na efekty trzeba będzie jednak sporo poczekać.

Zrobić można wiele, ale niestety najlepszy czas na takie przedsięwzięcia minął, ponieważ teraz, kiedy mamy już 8 mln emerytów, praktycznie niemożliwe jest zorganizowanie niezbędnej do takich radykalnych reform większości.

Seniorzy nie są może tak krnąbrni i roszczeniowi, aby urządzać rozruchy i rewolucje, ale stanowią zdyscyplinowane i z każdym rokiem liczniejsze lobby wyborców, które w większości krajów wykazuje się wysoką, ponadprzeciętną w stosunku do innych grup wiekowych (zwłaszcza młodzieży) frekwencją wyborczą. A swoimi głosami potrafi ukarać każdą partię, która odważy się położyć rękę na jego przywilejach. To dlatego partie bardzo starają się zabiegać o głosy emerytów, często uzasadniając to koniecznością zapobiegania „ubóstwu starszych ludzi” – przykład PiS pokazuje, że na takiej polityce można odnosić sukcesy wyborcze. Pod takim właśnie hasłem polski obóz władzy od kilku już lat wypłaca emerytom dodatkowe 13. oraz 14. świadczenie (w tym roku finansuje je 5 mld zł pożyczki z Funduszu Rezerwy Demograficznej). Każdy senior dostaje przy tym równowartość najniższej emerytury w danym roku, a to już trudno uzasadniać na poważnie walką z ubóstwem, skoro tyle samo trafia do kieszeni emeryta pobierającego co miesiąc świadczenie minimalne i kogoś, komu ZUS przelewa na konto kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. Dla porównania w Niemczech takie prezenty dla emerytów (z których słynęła wielka koalicja SPD/CDU) są zazwyczaj przynajmniej trochę redystrybucyjne: biedni dostają proporcjonalnie więcej niż bogaci.

Im więcej będzie emerytów, tym większy będzie ich wpływ na decyzje polityczne. Młodzi – a zwłaszcza osoby głosujące po raz pierwszy – są w pewnym stopniu sami sobie winni, ponieważ



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

*Zaćmienie Słońca,
Rynek Główny w Krakowie,
marzec 2015 r.*

→ chodzą do urn niechętnie w porównaniu z innymi grupami wiekowymi. Ale nawet gdyby robili to w stu procentach, to wraz ze starzeniem się społeczeństw będą mieli niewielki wpływ na rzeczywistość, dopóki sami się nie zestarzeją. W konfrontacji z seniorami, którzy zechcieliby wyciągnąć jak najwięcej z kieszeni młodszych osób w postaci emerytury, ubezpieczenia zdrowotnego, składek na opiekę zdrowotną i podatków, nie mają większych szans.

Z tą prawdą muszą mierzyć się również partie stawiające na oszczędne rządy, dążące do ustabilizowania finansów państwa: wszystkie mają tym mniejsze szanse na zdobycie większości, im więcej jest w ich kraju emerytów.

No future at all

Właściwie każdej kampanii mającej na celu zwiększenie rozrodczości kobiet powinno towarzyszyć przesłanie dla ich przyszłego potomstwa: emigrujcie tam, gdzie jest dużo pracujących i mało emerytów, do Ameryki Południowej, może do Azji, ale na pewno nie do Chin czy Japonii, gdzie relacje między pokoleniami są jeszcze bardziej rozchwiane niż u nas.

Na przełomie lat 70 i 80. XX wieku w Europie Zachodniej w dorosłe życie weszło pokolenie *No Future*: w obliczu zagrożenia wojną i bezrobociem wielu młodych buntowało się w obawie, że starsi zostawią im świat, w którym nie da się już żyć. Panował lęk przed „śmiercią jądrową” – albo na skutek awarii elektrowni albo na skutek wojny atomowej między Wschodem i Zachodem. Już wtedy młodzi bali się dewastacji środowiska naturalnego oraz postępu technologicznego.

To, czego wtedy się bali, obecna młodzież ma, można by zakpić, już zapewnione – obecne zagrożenia są bardziej namacalne niż 40 lat temu. Coraz szybsze konsekwencje zmian klimatycznych można śledzić na co dzień, wojnę mamy w sąsiedztwie, kryzys migracyjny też.

Pokolenie pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków serwuje im rodzaj końca świata w ratach, który ich samych dotyczyć będzie tylko w minimalnym stopniu. Kiedy ma się powyżej 50 lat, ustabilizowaną pozycję na rynku pracy, status społeczny, pewne oszczędności i jakiś skromny majątek – reszta życia nie

Jeden z pomysłów zakłada, że rodzice otrzymają ułamek głosu więcej na każde dziecko, które nie osiągnęło wieku wyborczego.

Ma to zmusić polityków do słuchania rodzin, a nie emerytów.

przeraża. Kiedy lodowce w Alpach roztopią się na amen, nasze Tatry będą przypominać suchy maszyn Atlasu, a miasta libijską Derne, zatopioną we wrześniu po ulewach, które zerwały tamy – dzisiejsi pięćdziesięciolatkowie będą już na tamtym świecie.

Jeśli spojrzeć na to wszystko z perspektywy dwudziesto- i trzydziściolatków, można dojść do wniosku, że obecne elity polityczne nie tylko robią politykę przeciwko młodym i przypierają ich do muru, ale zarazem uprawiają politykę, która dla samych seniorów jest zła, bo nastawia do nich wrogo kolejne pokolenie.

Jaki sens ma demokracja dla ludzi, którzy nie będą mieli wpływu na politykę, ponieważ gdy tylko zaczną płacić podatki, znajdą się pod naciskiem ogromnej armii starszych ludzi, której żadna partia nie będzie w stanie zlekceważyć? Ta ogromna armia może nie tylko uchwalić (za pomocą zdominowanych przez ich przedstawicieli parlamentów europejskich) dowolne prawo w celu dalszego zwiększenia transferów od pracujących do niepracujących. Może także rozpocząć wojny, w których ci, którzy o niej decydują, z powodu swojego wieku sami nie muszą uczestniczyć. W skrajnej formie doświadczają tego właśnie Rosjanie: klub tłustych kocurów, rządzony przez sfrustrowanego 71-latkę, wysyła z ogromnego pałacu młodych ludzi tysiącami na wojnę ku chwale tkwiącego mentalnie w przeszłości imperium, z którego nie będą mieli pożytku, nawet jeśli przeżyją. A jeśli sprawy pójdą źle, wielu z tych młodych ludzi zginie lub zostanie okaleczonych; ich rodziny zostaną bez środków do życia, a ci, którzy za to odpowiadają, znikną w swoich pałacach na Krymie i będą żyć z miliardów, które ukradli.

To oczywiście skrajny, rosyjski scenariusz.

Głosować za dziecko

Istnieje kilka sposobów, aby tym niebezpiecznym zjawiskom zapobiec, ale wszystkie niosą ze sobą to samo ryzyko. Na przestrzeni ostatnich 100-200 lat społeczeństwa demokratyczne stopniowo zwiększały elektorat mający prawo do decyzji, najpierw poprzez rozszerzenie prawa wyborczego na kobiety, a następnie przez obniżenie wieku uprawniającego do głosowania. Aby zaradzić wzrostowi niedemokratycznych tendencji w najmłodszym elektoracie, pojawiają się pomysły pójścia w drugą stronę i przywrócenia rodzaju głosowania kurialnego, które łączy wiek, wykształcenie, a nawet klasę podatkową z liczbą przynależnych danej osobie głosów. Wtedy jednak najmłodsze pokolenie prawdopodobnie odwróciłoby się od demokracji jeszcze gwałtowniej i liczniej, nie mając już nic do powiedzenia – i kierując się w efekcie na emigrację wewnętrzną lub zasilając ruchy autorytarne, antydemokratyczne. Młodzież, w przeciwieństwie do rządzących nią seniorów, jest też całkiem skora do wzniecania buntów i rewolucji, więc spór pokoleniowy mógłby skończyć się wybuchem przemocy i upadkiem systemu.

Dlatego jeśli cokolwiek zmieniać, odwrotny kierunek wydaje się sensowniejszy, choćby do teoretycznego rozważenia. Obniżenie wieku wyborczego do 16 lat zmusiłoby partie do lepszego wyważenia interesów najmłodszych wyborców z interesami osób starszych. Taka reforma zwiększyłaby liczbę głosów nie-emerytów, ale niestety na korzyść grupy wyborców, którzy są nieukształtowani, niesamodzielni i również nie zarabiają własnych pieniędzy, więc są zainteresowani wsparciem państwa. To zaś nie odciąży tych, którzy finansują transfery międzypokoleniowe.

Druga możliwość to przydzielenie przywilejów rodzinom: rodzice otrzymują jeden głos lub raczej ułamek głosu więcej na każde dziecko, które nie osiągnęło jeszcze wieku dającego prawo wyborcze. Również w tym przypadku nie chodzi o to, czy i jak te rodziny będą głosować, ale o to, aby zmusić partie polityczne, żeby bardziej zabiegały o poparcie ze strony par z dziećmi niż o poparcie

emerytów i prowadzili bardziej przyjazną młodym rodzinom politykę. Taki pomysł miał pięć lat temu Jarosław Gowin, nad podobnymi rozwiązaniami dyskutowano też w Niemczech i Japonii.

Problem dojrzałości

W dyskusji o rozszerzaniu prawa wyborczego, zwłaszcza w kontekście obniżania wieku, w którym można pójść głosować, pojawia się często argument braku dojrzałości np. u 16-latków. Są oni zbyt mało odpowiedzialni, aby głosować, zbyt łatwi do zmanipulowania z uwagi na niższy poziom wiedzy, ale jednocześnie w kampanii mogą rozklejać plakaty, rozdawać ulotki i dyskutować z wyborcami – inaczej niż wielu emerytów. Zdolności tych ostatnich do dokonywania wyborów politycznych i do uczestnictwa w procesach demokratycznych nikt nie kwestionuje nawet wtedy, gdy cierpią na demencję i bez pomocy innych nie mogą postawić krzyżyka na karcie do głosowania. Star-

szym zawsze przysługuje respekt, młodzi muszą na niego ciężko zapracować. A ponieważ jest ich stosunkowo niewielu i są słabo zorganizowani (a jeśli są, to najczęściej w klubie sportowym lub drużynie harcerskiej pod nadzorem starszych), polityków nie obchodzi, nawet jeśli decydenci sami są jeszcze dość młodzi.

Można to zmienić, stopniowo i krok po kroku, robiąc jedno i drugie: zacząć dyskusję o przyznaniu praw wyborczych rodzinom oraz o uczynieniu go bardziej inkluzywnym. Tworzymy wówczas system polityczny, w którym partie ponownie zajmą się tymi, którzy wypracują dochód, a mniej tymi, którzy otrzymują transfery.

Nie wiadomo, czy taki świat będzie sprawiedliwszy, chodzi bardziej o to, aby dać sceptycznie nastawionym do demokracji młodym ludziom powód do ponownego zaangażowania się w nią: być może wtedy wreszcie poczują, że mają coś do powiedzenia, i dostaną

szansę na zorganizowanie się dla swoich celów.

Istnieje oczywiście ryzyko przy takim scenariuszu, że niedojrzały młodzi nadużyją danej im władzy i oddadzą swoje głosy na radykalne partie, tak jak obecnie w Polsce, gdzie wśród najmłodszych wyborców Konfederacja ma o wiele więcej zwolenników niż inne ugrupowania. Tak, to ryzyko jest realne. Ale ono dotyczy nie tylko młodzieży. Nie tak dawno tęsknota za nazizmem (w zachodnich Niemczech) czy za komunizmem (w Polsce i w dawnej NRD) pośród starszych wyborców również stanowiły zagrożenie dla demokracji – ale nikt nie zastanawiał się wtedy nad odebraniem im prawa głosu. To jest ryzyko wpisane w istotę tego systemu. Wyborcy mogą przecież w sposób demokratyczny znieść demokrację i głosować na zwolenników dyktatury. Zagrożeń jest wiele, ale warto przynajmniej zacząć na ich temat poważnie dyskutować.

© KLAUS BACHMANN

MATERIAL PARTNERA

ZIT, czyli samorządy Metropolii Poznań ramie w ramie

Za nieoczywistym skrótem ZIT stoi współpraca samorządów i unijne pieniądze, które pozwalają materializować pomysły będące efektem tej współpracy. Zintegrowane Inwestycje Terytorialne na obszarze Metropolii Poznań zostaną dofinansowane kwotą 118,6 mln euro. Takich pieniędzy w okresie do 2027 roku dotyczy podpisane we wrześniu porozumienie, które umożliwia realizację projektów w priorytetowych obszarach:

- I. Publiczne e-usługi
- II. Adaptacja do zmian klimatu
- III. Zrównoważona mobilność miejska
- IV. Edukacja dla przyszłości
- V. Zdrowe i aktywne społeczeństwo
- VI. Wzmocnienie potencjału ZIT w MOF Poznania

„Strategia Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych w Miejskim Obszarze Funkcjonalnym Poznania na lata 2021–2027” jako jedna z pierwszych w kraju została pozytywnie zaopiniowana przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej. W efekcie dofinansowane zostaną projekty, które budują integrację między 23 samorządami: powiatem poznańskim i każdą z jego 17 gmin, miastem Poznań, a także gminami Śrem, Skoki, Oborniki i Szamotuły.

Dzięki porozumieniu kontynuowana będzie rozbudowa Metropolitalnego Systemu Informacji Przestrzennej i unowocześnianie karty PEKA. W planach jest realizacja projektów zmniejszających ryzyko związane z powodzią i suszą. Kontynuowane będą przedsięwzięcia z poprzedniej perspektywy, w tym budowa i rozbudowa węzłów



przesiadkowych przy dworcach kolejowych. Gminy uzyskają też dotacje na zakup autobusów nisko- lub zeroemisyjnych, a w obszarze edukacji – na projekty podnoszące konkurencyjność i jakość kształcenia zawodowego oraz wspierające aktywny i zdrowy styl życia dzieci i młodzieży. Powstanie m.in. Zintegrowane Centrum Opieki i Teleopieki, zostaną poszerzone działania wspierające rodziny i rodzinną pieczę zastępczą.

ZIT, czyli Zintegrowane Inwestycje Terytorialne umożliwiają realizację wspólnych celów samorządów i wskazują przedsięwzięcia łączące działania finansowane z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (EFRR) i Europejskiego Funduszu Społecznego (EFS). Ta formuła pozwala wyjść poza sztywne granice administracyjne samorządów, co przekłada się na większe oddziaływanie realizowanych wspólnie przedsięwzięć.



Fundusze Europejskie
dla Wielkopolski



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO



Emeryci na poznańskim rynku, wrzesień 2012 r.

Polska: dom niespokojnej starości

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI, EKSPERT DS. POLITYKI SPOŁECZNEJ:

Niech rządzący przez pierwsze sto dni władzy zrobią to, czego nie opłacało im się obiecać przez ostatnie sto dni kampanii. I niech pomyślą o przyszłych emerytach, nie tylko o obecnych.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Od 1 listopada, dzięki nowelizacji ustawy o pomocy społecznej, państwo polskie dekretuje pomoc sąsiedzką. Na czym dokładnie polega ta zmiana?

PAWEŁ KUBICKI: Zaczniemy od tego, że w Polsce ta „instytucja” pomocy istnieje od zawsze: sąsiadka, która wpadnie do za przyjaźnionej seniorki z klatki obok, pogada, zrobi zakupy i posprząta – to obrazek częsty. Powiem więcej: dla wielu osób samotnych, które wymagają opieki, to jest podstawowa forma wsparcia. I to zarówno jako pomoc oddolna, jak również – do tej pory tylko w ramach lokalnych pilotażów – jako oficjalnie przyjęte przez niektóre samorządy narzędzie.

Nowością jest to, że od listopada narzędzie to zyskuje moc prawną na poziomie ustawy. Odtąd osoba mieszkająca w sąsiedztwie, która znajdzie ochotę i siłę, by pomóc swojej sąsiadce czy sąsiadowi, będzie mogła liczyć z tego tytułu na finansową gratyfikację. Organizatorem takiej usługi skierowanej do osób mieszkających samotnie zostanie gmina, która w uchwale określi zakres i warunki świadczenia usług, a wykonawcą będzie mogła stać się niespokrewniona osoba dorosła.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej daje na pierwszą odsłonę programu 30 milionów złotych. To mniej więcej tyle, co koszt jednego nowoczesnego czołgu.

Rzeczywiście, to kwota pasująca bardziej do pilotażu jakiegoś programu wsparcia, który chcielibyśmy przetestować, a nie do nowej i w teorii powszechnie dostępnej usługi. Zresztą jeśli chcemy ocenić adekwatność tej kwoty do potrzeb, spójrzmy na statystyki. Mamy już w tej chwili 1,6 mln osób w wieku powyżej 80. roku życia, a ponad 7 mln Polaków 65 plus. Oczywiście, nie każda z tych osób mieszka samotnie i potrzebuje codziennego wsparcia sąsiadów. Ale nawet gdyby potrzebowała go co setna z nich – 30 milionów złotych to dużo za mało.

Warto jednak odnotować tę nowelizację: to być może nieśmięta początki czegoś, co za lat kilka bądź kilkanaście stanie się fundamentem systemu wsparcia w starzejącym się polskim społeczeństwie.

Starzejącym, ale też podlegającym zmianom społeczno-kulturowym. Model oparty na wspieraniu coraz starszego seniora czy szerzej: osób z niepełnosprawnościami, głównie przez najbliższą rodzinę, słabnie. W dodatku nie mamy go specjalnie czym zastąpić, bo dziennych placówek jest mało, a od dużych placówek całodobowych w postaci domów pomocy społecznej powinniśmy odchodzić, bo to rozwiązanie mało przyjazne człowiekowi. To wszystko sprawia, że

waga wsparcia sąsiedzkiego będzie rośła – zwłaszcza w środowisku wiejskim, gdzie trudniej jest cokolwiek załatwić, bo wszystkie ważne instytucje: urzędy, sklepy i przychodnie, są daleko od domu.

Ale pomoc sąsiedzka to tylko jeden z co najmniej kilku elementów polityki senioralnej, które trzeba wprowadzić.

Jakie są te pozostałe?

Potrzebujemy tak naprawdę już teraz, i to pilnie, porządnego systemu profilaktyki zdrowotnej, by nie rosła nam dodatkowo – niezależnie od niekorzystnych trendów demograficznych – liczba osób potrzebujących wsparcia. Potrzebujemy dostosowania mieszkań do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Potrzebujemy większej liczby wspomnianych dziennych placówek i wzmocnienia systemu wsparcia środowiskowego – zarówno opiekunów środowiskowych, jak i pielęgniarów.

Mówi Pan „pilnie”, ale ja ten alarm słyszę od lat – i niewiele się zmienia. Pomimo kolejnych dokumentów strategicznych i prognoz, jak ta najnowsza GUS-u wieszcząca, że do 2060 r. co trzeci Polak będzie miał 65 lat bądź więcej.

To prawda, ale nie jest tak, że przedstawiciele kolejnych ekip rządowych nie czytają tych prognoz. Po prostu jeszcze dokładniej czytają wyborcze słupki i potrafią ocenić, jakie zachowania, działania i obietnice na te słupki wpływają. I najwyraźniej wedle ich kalkulacji wydanie miliardów złotych na reformę całego systemu, w tym rozbudowę usług dziennego wsparcia w środowisku lokalnym, da mniej niż wprowadzanie cyklicznie kolejnych wycinkowych programów, które będą pozwały na przekazanie przez po-

lityka umownego kartonowego czeku: „Pieniądze od partii X czy Y”.

Łatwiej zrobić na tych milionach starszych wyborców wrażenie „trzynastką” lub „czternastką” niż działaniami systemowymi?

W dodatku działaniami, które przydadzą się bardziej przyszłym emerytom niż tym dzisiejszym. Zapewne z tego samego powodu, gdy mowa o problemach osób z niepełnosprawnościami, politycy mają najczęściej do zaproponowania świadczenia pieniężne.

Żeby wprowadzić elementy systemu, o których Pan mówi, potrzebujemy jednak miliardów. Skąd je brać?

Musimy wrócić do rozmowy albo o obowiązkowym ubezpieczeniu pielęgnacyjnym, z którego środki by szły na potrzeby osób wymagających stałego wsparcia w życiu codziennym, albo o podwyższeniu podatków, ewentualnie o podniesieniu wieku emerytalnego. Albo o wszystkich tych działaniach razem wziętych. To jedyna rozsądna droga.

Jednak władza, i to każda władza, przez ostatnie dekady woli podążać inną drogą: postępującej prywatyzacji usług zdrowotnych i opiekuńczych. Woli dać „czternastkę”, za którą emeryt kupi sobie pomoc sąsiada.

Tak dłużej działać się nie da – nie zastąpimy świadczeniami usług. W 2032 r., a więc już za chwilę, z miliona sześciuset tysięcy osób 80 plus zrobi nam się dwa miliony trzysta. To dodatkowe 800 tysięcy osób sędziwych w ciągu zaledwie kilku lat!

W zakończonej dopiero co kampanii partie w zasadzie na ten temat milczały.

Tak, choć równocześnie wszystkie – może poza Konfederacją, konsekwentnie ignorując ten elektorat – do tej grupy wyborców przemawiały. Np. PiS, PSL i Lewica obiecywały emerytury stażowe. Trzecia Droga robiła dziwny szpagat, obiecując utrzymanie tzw. trzynastek emerytom, którzy zdecydują się nadal pracować. Koalicja Obywatelska odkurzyła i odświeżyła swój stary pomysł bonu opiekuńczego. Wszystkie partie mają jakieś pomysły na rozwiązanie tu i teraz istniejących problemów osób starszych. Ale nie widzą nie tylko perspektywy roku 2060, ale nawet 2030.

Dziwi to Pana?

Nie, ale w Polsce problem jest poważniejszy. Że my w tym populistycznym trybie wyborczym pozostajemy także po wyborach. W tej konkurencji wygrywa oczywiście Prawo i Sprawiedliwość: dając „trzynastki” i „czternastki”, które mają kuriozalną konstrukcję prawną. Ugrupowanie to w mistrzowski sposób wytworzało w ludziach przekonanie, że dostają pieniądze nawet nie od państwa, ale właśnie od partii.

Ukoronowaniem tej metody rządzenia byłoby już chyba tylko danie ludziom bonu na lekarzy – niech znajdą ich na prywatnym rynku sami.

A może nie mamy rozsądnej polityki senioralnej, bo państwo polskie od lat skupione jest na drugiej odstonie demografii – tej związanej z dzietnością? Mimo że wojna o nią, także ta na świadczenia, jest już w zasadzie przegrana.

Wojna o dzietność polegająca na dążeniu do zastępowalności pokoleń jest faktycznie przegrana, ale ta prowadzona w celu zminimalizowania spadkowych →

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Łomży | Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie sygn. akt I Ns 962/21 z wniosku Alior Banku S.A. w Warszawie z udziałem Bartosza Janickiego i innych o stwierdzenie nabycia spadku po Antonim Dymek (s. Jana i Władysławy), zm. 26 lutego 2020 r. w Uśniku.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabyciu spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim | Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 992/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Anieli Domańskiej, zm. 7 czerwca 2022 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

→ trendów musi trwać. A równocześnie musi też trwać budowa systemu dostosowanego do coraz bardziej starzejącej się ludności. Tylko że w świecie nieustannej kampanii wyborczej być może nie takiego się nie stanie, dopóki nie zajrzy nam w oczy wizja krachu.

Czyli?

Czyli np. konieczności obcinania obiecanych już świadczeń emerytalnych, cięcia świadczeń zdrowotnych, redukcja wszystkich form wsparcia dziennego. I dalszego wzmocnienia prywatyzacji usług – i zdrowotnych, i opiekuńczych. To oczywiście oznacza pozostawienie wielu ludzi poza systemem wsparcia.

Do czego by to doprowadziło?

Mówiąc brutalnie: część ludzi po prostu by umierała bez odpowiedniej opieki. Żeby była jasność: już dziś się tak czasami dzieje, że pozostawieni sami sobie niepełnosprawni seniorzy gasną w swoich domach albo w placówkach. Ale krach, o którym mówię, oznaczałby, że działoby się to na znacznie większą skalę.

Cieężko o tym mówić w konwencji alarmu, bo to trochę jak powolne gotowanie żaby. Stopniowy proces, coraz bardziej dotkliwy, ale niewystarczająco bolesny, byśmy wszyscy się tym nagle prze-rzazili. W efekcie coraz dalej przesuwamy granice tego, co jest społecznie akceptowalne – kogo możemy wyrzucić poza



MATERIAŁY PRASOWE BIURA RPO

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI jest profesorem Szkoły Głównej Handlowej, kierownikiem Katedry Polityki Społecznej SGH. Specjalizuje się m.in. w polityce senioralnej oraz polityce na rzecz osób z niepełnosprawnościami.

nawias życia społecznego, nie ryzykując sondażowych spadków.

To zjawisko może się w przyszłości paradoksalnie nasilać.

Dlaczego?

Będzie rosła liczba osób starszych wymagających stałego i wszechstronnego wsparcia, a więc także liczba należących do tej grupy wyborców. Równocześnie potrzebne będą coraz większe nakłady, choćby na opiekę długoterminową. A za-tem rosła też będzie wśród nieodpowie-

dzialnych polityków pokusa, by mru-gając okiem do młodych i zdrowych powiedzieć: „Tamci kosztują za dużo”. I by wzmocnić jeszcze prywatyzację usług opiekuńczych, tak jak w dużej mierze sprywatyzowano ochronę zdrowia czy powoli prywatyzuje się szkolnictwo.

Gdy niedawno w Warszawie sywały się wiadukty mostu Łazienkowskiego, to za-nim je zburzono, otaczano je siatkami, by kamienie nie spadały na ludzi. Tak partie podchodzą dziś do polityki wobec osób starszych – siatki zamiast nowych podpór.

Błędne koło. Widzi Pan jakieś wyjście?

Jest jedno: dokonać ważnych, całkiem drogich, ale mało popularnych „kapitał-nych remontów” tuż po wyborach.

Pan mówi mniej więcej tak: niech politycy po wyborach robią co innego niż to, co obiecywali przed wyborami.

Powiem inaczej. Niech rządzący – kim-kolwiek będą – przez pierwsze sto dni władzy zrobią to, czego nie opłacało im się obiecać przez ostatnie sto dni kampanii. To nie przyniesie im bezpośrednich korzyści sondażowych, za to da długofalowe korzyści ich wyborcom. Niech za-ryzykują: to jedyny moment, żeby wygrać Polskę, o której tak wiele mówią.

©® Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabbij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoreportaż: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka),
Michał Kuźmiński, Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydawniczy: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziół, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TOMASZ

Stawiszyński:

Dwie opowieści o granicy



ZANIM JESZCZE ODBYŁA SIĘ ŚWIATOWA I KRAJOWA premiera najnowszego filmu Agnieszki Holland, w Polsce niemal wszyscy mieli już niezachwianą opinię na jego temat. Zarówno kwestie artystyczne, jak i polityczne, a nawet sam

fakt, że mamy do czynienia z konglomeratem tych dwóch wymiarów – sztuki i polityki – poddawane były w mediach (nie tylko) społecznościowych żywiołowej krytyce albo równie żywiołowej gloryfikacji. W pewnym sensie – trudno się dziwić. „Zielona granica” dotyczy sprawy boleśnie aktualnej, wokół której istnieją w przestrzeni publicznej dwie radykalnie przeciwstawne, nieuzgadnialne opowieści. Obie roszczące sobie prawo do wyłączności, obie napędzane paliwem najintensywniejszych emocji.

W pierwszej spotykamy wyłącznie operację rosyjskich i białoruskich służb, która ma na celu destabilizację Polski. Element diabolicznej układanki, której finalnym akordem była inwazja na Ukrainę w lutym 2022 r. Podobnie jak wszystkie inne kraje UE, tak i Polska musi w tej opowieści chronić swoje terytorium. Bohaterski opór stawiany przez Straż Graniczną atakującym nas młodym mężczyznom uzbrojonym w pałki i kamienie – bo w tej opowieści nikogo innego tam, na granicy, nie ma, są tylko ci mężczyźni z pałkami i kamieniami – zasługuje na aplauz i całkowite wsparcie. Ktokolwiek chciałby z tym obrazem dyskutować, jest pożytecznym idiotą Putina albo chodzącą inkarnacją antypolskości.

W drugiej opowieści z kolei funkcjonariuszki i funkcjonariusze Straży Granicznej to bez wyjątku ludzie zdemoralizowani, pozbawieni elementarnej wrażliwości, uwikłani w zbrodniczy proceder porównywalny z najczarniejszymi kartami światowej historii. Ślepo, niekiedy zaś wręcz z satysfakcją wykonujący rozkazy autorytarnej władzy, która ludzkie życie ma za nic, a nawet czerpie jakąś mroczną, sadyistyczną satysfakcję z jego bezinteresownego niszczenia. Innej racjonalności, innej etyki w tych działaniach nie ma. Wybór jest prosty: albo służysz złu, albo przechodzisz na stronę światła. Ktokolwiek chciałby z tym obrazem dyskutować, ten jest okrutnikiem albo faszystą.

Przywiązani do tych opowieści, nie po raz pierwszy tracimy szansę na pogłębioną dyskusję wokół najtrudniejszych wyzwań, przed którymi stawia nas rzeczywistość. Tutaj zaś mamy w całej okazałości właśnie takie tragiczne wyzwanie.

Owszem, na granicy polsko-białoruskiej trwa operacja zorganizowana przez Putina i Łukaszenkę. Owszem, chodzi i od początku chodziło o destabilizację Polski i Unii. Owszem, wszystkie państwa świata bronią swoich granic i wszę-

dzie, gdzie dochodzi do prób ich nielegalnego przekroczenia, interweniują służby mundurowe. Owszem, przekonanie, że powinniśmy granicę otworzyć na oścież albo wpuszczać wszystkich, którzy próbują przekroczyć ją nielegalnie, jest czystą utopią. Owszem, mamy tu młodych mężczyzn zachowujących się wobec polskich funkcjonariuszy agresywnie. Owszem, mamy tutaj także rodziny z dziećmi, kobiety w ciąży, ludzi starych i schorowanych. Owszem, reżim Putina i Łukaszenki cynicznie używa migrantów do realizacji swoich celów. Owszem, jest to działanie przemyślane, obliczone na postawienie państw unijnych, ich polityków i służb, w sytuacji bez wyjścia, na złapanie ich w pułapkę, w której każdy ruch powoduje tylko jeszcze mocniejsze zaciśnięcie wnyków. Owszem, jest humanitarnym, moralnym i politycznym skandalem, że w XXI wieku, w środku Europy, z głodu, wycieńczenia i zimna umierają ludzie. I jest takim samym skandalem, że w XXI wieku, w środku Europy, istnieją takie piekielne nie-miejsca, w których, jeśli się znajdziesz, nie możesz liczyć na żadną pomoc, nie możesz ani się cofnąć, ani pójść naprzód, nie możesz liczyć na nikogo i na nic, nie obowiązują bowiem na tym skrawku ziemi żadne prawa: ani prawa człowieka, ani prawa UE, ani nawet prawa boskie, kilkadziesiąt metrów dalej zaś trwa zupełnie normalne życie, jest co jeść, gdzie spać, świat działa tak, jak powinien. Owszem, obowiązkiem moralnym jest pomoc tym ludziom – nawet za cenę łamania polskiego prawa, nawet za cenę sprzeniewierzenia się logice polskiej, unijnej lub światowej polityki. Owszem, ten obowiązek wynika także, choć nie tylko, wprost z rdzenia chrześcijaństwa, które było u źródeł – i u źródeł nadal jest – gestem radykalnego sprzeciwu wobec porządku tego świata. Sprzeciwu w imię Innego, nawet jeśli ten Inny jest wrogiem, a co dopiero jeśli jest tułającym się po lasach przerażonym dzieckiem.

Jak z tych strasznych dylematów wybrać? Jak się zachować – w sensie ściśle praktycznym? To znaczy – jakie konkretnie, krok po kroku, podjąć działania, żeby w sposób możliwie najbardziej etyczny, a zarazem politycznie racjonalny wyjść z tego morderczego impasu? Nie znajduję takiej odpowiedzi w żadnej z tych dwóch wspomnianych wcześniej opowieści. I nie jest to pytanie do aktywistek i aktywistów niosących pomoc ludziom w pogranicznych lasach, ale pytanie do polityków. Tymczasem politycy PiS oraz przyjazne im media od początku starannie omijają obecność niewinnych, wpłątanych w to wszystko przez Rosję i Białoruś ludzi, tułających się i umierających w polskich lasach. Politycy PiS-owi przeciwni – którzy w kampanii wyborczej częściowo sami zaczęli grać na antyimigranckiej nucie, popadając przy tym w liczne sprzeczności (ale to inny temat) – również nie proponują żadnych rozwiązań, ograniczają się do instrumentalnego uderzania w swoich przeciwników.

Wydaje się, że film „Zielona granica” mógł być początkiem poważnej rozmowy na ten temat – no ale po co rozmawiać, skoro się przedustawnie posiada niezachwianą opinię? Cóż, jest to z pewnością skuteczny mechanizm obronny pozwalający z jednej strony organizować radykalne emocje w służbie politycznej mobilizacji, z drugiej unikać realnej konfrontacji z najtrudniejszymi dylematami i wyzwaniami. Szkoda tylko, że takim kosztem.

©



Niemcy – kraj zamków i pałaców

Zamek Falkenstein. Fot. Lookphotos / Derbis Dave.

Ostrożne szacunki mówią o dwudziestu tysiącach zamków, twierdz i pałaców w Niemczech. Jesień to najlepsza pora, aby część z nich odwiedzić. Na przykład zamek Wartburg lub pałac Sanssouci wpisane na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO.

Zwiedzenie można zacząć od Poczdamu lub najbliższych okolic Drezna. W Poczdamie, w Brandenburgii, znajduje się rokokowy pałac Hohenzollernów **Sanssouci**, wybudowany w 1747 r. Pałac w Poczdamie jest często przyrównywany do pałacu w Wersalu. Otoczona wspaniałymi ogrodami tarasowymi letnia rezydencja króla Prus Fryderyka II Wielkiego robi niesamowite wrażenie.

Ogrody pałacowe zajmują tu aż 287 hektarów, a pośród tego morza zieleni znajdziemy m.in.: Nowy Pałac, oranżerie, ogrodowy pawilon chiński. Poniżej tarasów

zbudowano fontannę i rozstawiono marmurowe rzeźby Apolla, Jowisza, Marsa, Wenus, Merkurego, Diany, Junony i Minerwy.

Sanssouci jest jednym z najstarszych muzeów wnętrz pałacowych w Niemczech. Jedno z pomieszczeń nazwano Pokojem Woltera. Francuski filozof miał gościć w pałacu na zaproszenie króla. Mimo fascynacji filozofią podzielanej przez obu panów, nie znaleźli wspólnego języka. Znajomość zakończyła się kłótnią.

Myśliwskie trofea

Nie mniejsze wrażenie na zwiedzających robi barokowy pałac na wodzie **Moritzburg** w pobliżu



Ogrody tarasowe przed pałacem Sanssouci. Fot. DZT / Jens Wegener.



Pałac Moritzburg. Fot. DZT / Florian Trykowski.



Kolekcja myśliwskich trofeów w pałacu Moritzburg. Fot. DZT / Florian Trykowski.



Miejsce pracy Marcina Lutra na zamku Wartburg. Fot. DZT / Christof Herdt.

Drezna w Saksonii. Moritzburg skrywa największą europejską kolekcję trofeów myśliwskich. Wybudowano go w latach 1542-46. Stał się ulubionym miejscem wypoczynku króla Polski i elektora Saksonii Augusta II Mocnego. W pałacu podziwiać możemy nie tylko poroża, ale równie okazałą kolekcję porcelany, zabytkowe meble, rzeźby i malarstwo.

Śladami Lutra i Goethego

W Turyngii, w pobliżu miasta Eisenach znajduje się warowny zamek **Wartburg**. Został zbudowany najprawdopodobniej ok. 1067 r. To w nim ukrywał się przed

prześladawcami przez dziesięć miesięcy inicjator reformacji Marcin Luter, to tu przekładał Biblię z greki na język niemiecki. Wielokrotnie gościł tu poeta Johann Wolfgang von Goethe.

Richard Wagner umieścił akcję swojej najbardziej znanej opery „Tannhäuser” właśnie na zamku Wartburg. Nic dziwnego, że miejsce stało się jednym z symboli narodowych Niemiec. Obiekt od 1999 r. znajduje się na liście światowego dziedzictwa kultury UNESCO, był pierwszym niemieckim zamkiem warownym wpisanym na tę prestiżową listę. Jednym z najtrudniejszych do zdobycia zamków była średniowieczna

twierdza **Falkenstein**. Wybudowana w XII w. w lesistej okolicy, w górach Harz (na terenie obecnej Saksonii-Anhalt), miała być warownią nie do zdobycia. Rezydowały tu familie von Falkenstein, potem von der Asseburg. Zamek odwiedzał Otto von Bismarck. Jesienią okoliczne dęby, klony i buki wybuchają ferią kolorów.

Jesień to najpiękniejsza pora, by odwiedzić zamki oraz pałace w Niemczech.

(GN)

We współpracy z:

Niemcy
Cel podróży



www.germany.travel

GENTLEMAN NA SYNODZIE

Sprawił, że ludzie o odmiennych wizjach Kościoła usiedli zgodnie do stołu.
I tak o. Timothy Radcliffe wpłynął na losy synodu.

EDWARD AUGUSTYN

BĘDĄC MŁODYM PROWINCJALEM ODWIEDZIEM klasztor dominikanek, którego koniec był już bliski. Pozostały jedynie cztery stare zakonnice. Towarzyszył mi mój poprzednik, o. Piotr. Gdy przekazaliśmy mniszkom wiadomość, że przyszłość klasztoru wydaje się bardzo niepewna, jedna z nich powiedziała: »Ale Pan Bóg chyba nie pozwoli umrzeć naszemu klasztorowi, prawda?«. Ojciec Piotr odparł: »Skoro pozwolił swojemu Synowi umrzeć...«. Możemy jedynie się starać, by to, co umiera, nie umierało w rozpacz, ale w nadziei, że daje miejsce dla czegoś nowego».

To jedna z anegdot opowiedzianych przez o. Timothy'ego Radcliffe'a podczas synodalnych rekolekcji. 78-letni dominikanin, były generał zakonu, biblista, ceniony kaznodzieja i autor książek otrzymał zadanie przygotowania duchowo uczestników na trzytygodniowe obrady, które jeszcze zanim się zaczęły, zostały uznane za historyczne i rewolucyjne. Miał zatem przekonać do nich również tych, którzy pompatycznych epitetów nie lubią i do rewolucji nie tęsknią.

Papieski wybór był przemyślany i wyjątkowo trafiony.

„Pierwszego dnia panował między nami dość duży dystans. Drugiego dnia przywitaliśmy się jak grono dobrych znajomych. Trzeciego – mieliśmy poczucie, że tworzymy już nie jedną z grup językowych, lecz wspólnotę” – pisał na naszych łamach tydzień temu kard. Grzegorz Ryś.

Bo Timothy Radcliffe jest nie tylko błyskotliwym rekolekcjonistą, ale też do-

świadczonym coachem, umiejętnie motywującym słuchaczy, rozbudzającym ich potencjał i ukierunkowującym myślenie.

Angielski humor

– To serdeczny, życzliwy człowiek, który od razu skraca dystans, klepie po ramieniu – mówi mi o. Wojciech Gierzych, dominikanin, teolog Domu Papieskiego, a w latach 1998-2001 członek Rady Generalnej Dominikanów, czyli jeden z najbliższych współpracowników Radcliffe'a. – Ma w sobie pewną nobliwość – dodaje. – Ale jest też obdarzony olbrzymim poczuciem humoru. Umie w każdej sytuacji dostrzec jakiś zabawny aspekt rzeczywistości.

„Jestem stary, biały, pochodzę z Zachodu i jestem mężczyzną. Nie wiem, co gorsze” – tymi słowami zaczął o. Radcliffe pierwszą rekolekcyjną naukę. Boomerski żart prowadził jednak do trafnego i już poważnego wniosku: „Każdy z tych aspektów mojej tożsamości ogranicza moje rozumienie. Proszę więc o wybaczenie za nieadekwatność moich słów. Wszyscy jesteśmy radykalnie niekompletni i potrzebujemy siebie nawzajem”.

Angielski humor raz po raz wprowadzał słuchaczy w stan niepewności, czy to aby na pewno żart, z którego można się śmiać. Na kongregacji generalnej, rozpoczynającej drugi tydzień synodu, Radcliffe mówił o problemie wykluczenia: „Wielu ludzi czuje się zepchniętych na margines w naszym Kościele, ponieważ przykleiliśmy im etykiety: rozwiedzeni i żyjący

w nowych związkach, geje, poligamiści, uchodźcy, Afrykanie, jezuici”.

Semper fidelis

Urodził się w 1945 r. w Londynie, w arystokratycznej (on sam woli mówić „starej i szanowanej”) rodzinie, pochodzącej z Yorkshire.

„Przodkowie mojego ojca przeszli ponownie na katolicyzm około 200 lat temu” – opowiadał Guillaume'owi Goubertowi w wywiadzie rzece. „Od tego czasu większość moich krewnych żeniła się lub wychodziła za mąż za przedstawicieli rodów katolickich, które pozostawały wierne Kościołowi w czasach przesładowań”.

Wraz z czterema braćmi i siostrą wiodł beztroskie życie na wsi: „Nasza rodzina miała majątki ziemskie i poświęcała czas na tradycyjne angielskie rozrywki, jak krykiety, polowania i wyścigi”. Jego ojciec, ekonomista, był pierwszym z rodu Radcliffe'ów, którzy podjęli zarobkową pracę.

Wiara była częścią ich życia – zaprzyjaźnieni księża odprowadzali w domu msze, a wszyscy mężczyźni potomkowie oddawani byli w wieku 8 lat do benedyktyńskiej szkoły z internatem, położonej 250 mil od domu. Normalny świat poznał późno. Ludzi niewierzących spotkał dopiero, gdy rok przed wstąpieniem do zakonu podjął pracę w biurze. Biedę i bezrobocie zobaczył, gdy – będąc już w zakonie – pierwsze Boże Narodzenie spędzał w robotniczym domu jednego ze współbraci z Liverpoolu. „Zetknięcie z Anglią, o któ-



YANNICK COUPANNEC / LEEMAGE / CORBIS / GETTY IMAGES

O. Timothy Radcliffe

rej istnieniu wcześniej nie wiedziałem, było dla mnie szokiem”.

Dwa pokolenia

– Zakonną formację odbywał w okresie wielkiego kryzysu – opowiada o. Giertych. – To były burzliwe lata dla zakonu. Radcliffe złożył pierwsze śluby w 1966 r., gdy wszystkim wydawało się, że wskutek soborowych reform i społecznych przemian życie zakonne zacznie zanikać. Klasztory pustoszały, mnisi rzucali habity – jedni odchodzili całkiem, inni zakładali dzinsy i czarne

tiszerty. Francuscy dominikanie szli pracować do fabryk, angielskich uważano za marksistów.

Ukształtowały go dwie rewolucje – soborowa w Kościele i '68 roku w społeczeństwie. Jako kleryk brał udział w protestach antynuklearnych, ku przerażeniu bliskich (on uważał, że nieposłuszeństwo wobec państwa jest częścią jego rodzinnej tradycji – katolicy od stuleci łamali angielskie prawo).

– Jeszcze w 1998 r., gdy go poznałem, sprawiał wrażenie hippisa: rozczochrane włosy, niewyprasowany habit... – wspo-

mina o. Giertych. – Ale wbrew pozorom był bardzo uporządkowany i pracowity.

Na spotkaniu przedsynodalnym w Bolonii, w lutym tego roku, o. Timothy opowiadał o różnicy pomiędzy jego pokoleniem a dzisiejszymi, młodymi dominikanami.

„Dla nas, wychowanych w tradycyjnie religijnych rodzinach, odkryciem był sekularyzm i ateizm. Dla współczesnych młodych ludzi jest nim katolicyzm. To dwa zupełnie różne i przeciwne doświadczenia, ale przecież nie unieważniają się nawzajem. Moją największą



→ radością jest, gdy widzę, jak młode pokolenia idą własną drogą, czasem przeciwną niż pokolenia ich ojców”.

Gay-friendly

Gdy Watykan poinformował, że o. Radcliffe będzie synodalnym „asystentem duchowym” i rekolekcjonistą, konserwatywna prasa wyciągnęła mu studencką rewoltę, lewicowe poglądy i otwartość na homoseksualistów. Etykietkę „gay-friendly” przyklejono mu na dobre w 1998 r., gdy jako generał zakonu opublikował list do braci otwarcie mówiący o problemach emocjonalnych zakonników. Był świadom, że ideał stawiany klerykom podczas zakonnej formacji jest nieosiągalny. O problemach z seksualnością mówił w sposób pozytywny, zachęcając nie tyle do walki z poruszeniami serca i ciała, co do przemieniania ich w uczucia wolne od grzechu pożądania.

Zakochoanie się zakonnika, czy to w kobiecie, czy w mężczyźnie, traktował jako jedno z najważniejszych doświadczeń życiowych – owszem, związanych z kryzysem powołania, ale także z szansą rozwoju, jaką każdy kryzys niesie. Apelowal do współbraci o wsparcie dla zakonników, którzy znajdują się w chwili próby.

Nie dyskredytował ani nie potępiał osób homoseksualnych. Wyrażał nadzieję, że kapituła generalna podejmie dyskusję nad dopuszczaniem do ślubów wieczystych kandydatów świadomych swojej orientacji homoseksualnej, a chcących dochować czystości. „To nie my mamy Bogu mówić, kogo może czy nie powoływać do życia zakonnego”.

Katolik zasadniczy

Czy rzeczywiście – jak alarmowały konserwatywne środowiska – synodalny rekolekcjonista ma poglądy niezgodne z nauczaniem Kościoła?

– Na pewno jest w nim to, co nazywam zasadniczym rozumieniem katolicyzmu – mówi o. Giertych. – Studiował w Oksfordzie. Tamtejszy tutorialny system nauczania, oparty na lekturach, a nie słuchaniu wykładów, wyrobił w nim wielką kulturę intelektualną i teologiczną. A trudne zagadnienia próbuje przedstawiać w sposób miły i życzliwy, tak by zasady i doktryny nie łamały człowieka.

W marcu 2012 r. Timothy Radcliffe pisał: „Kościół katolicki nie sprzeciwia się małżeństwom homoseksualnym. Po prostu uważa je za niemożliwe... Małżeństwo opiera się na chwalebny fakt odmienności seksualnej i jej potencjalnej płodno-

ści. Bez tego nie byłoby życia na tej planecie, nie byłoby ewolucji, nie byłoby ludzi, nie byłoby przyszłości. Małżeństwo przybierało różne formy, od sojuszu klanów, przez wymianę narzeczonych, po współczesną romantyczną miłość. Dziś jesteśmy przekonani, że oznacza równą miłość i godność mężczyzny i kobiety. Ale wszędzie i zawsze opierało się na zjednoczeniu w różnicy mężczyzny i kobiety. Poprzez ceremonie i sakramenty nadaje się temu głębsze znaczenie, które dla chrześcijan obejmuje zjednoczenie Boga i ludzi w Chrystusie”

Klub gentlemanów

W 1988 r. o. Timothy został wybrany prowincjałem angielskich dominikanów, dość mocno w tym czasie podzielonych. To wtedy wymyślił i zastosował autorską metodę rozwiązywania problemów. Mając świadomość różnicy zdań w radzie prowincji, każde spotkanie rozpoczynał kolacją, potem proponował whisky, a cały wieczór mijał na opowiadaniu dowcipów i niezobowiązujących rozmowach o życiu prowincji. Nie podejmowano żadnych decyzji, ciesząc się jak najdłużej serdeczną, braterską atmosferą. Następnego dnia, gdy wszyscy czuli się już dobrze-rozumiejącą się grupą, współodpowiedzialną za prowincję i znającą jej problemy, podejmowano decyzje bez głosowania, na zasadzie konsensusu.

– Prowincja angielska funkcjonowała trochę jak klub gentlemanów – mówi o. Giertych. – To samo potem wprowadził do kurii generalnej. Co dla mnie było zaskoczeniem, bo widziałem, jak to wyglądało w Polsce. Zauważałem rzeczy, choćby drobne, które robią ogromną różnicę.

Radcliffe wprowadził zwyczaj zbierania się przy okrągłym stole (jak by nie patrzeć, angielskim wynalazku), by nikogo nie wyróżniać. Za każdym razem kto inny prowadził obrady, każdy mógł się wypowiedzieć, a żadna opinia, choćby wbrew zdaniu wszystkich, nie mogła być zlekceważona. Rozmowa trwała tak długo, aż osiągnięto porozumienie, co nie oznaczało zmiany poglądów kogokolwiek, lecz raczej uznanie, że różnimy się, ale rozumiemy i musimy dojść do konkluzji.

Dłuższe posiedzenia odbywały się dwa razy w roku i poświęcone były poważniejszym problemom. Poprzedzał je tygodniowy wyjazd nad jezioro Albano, do

9 października 2023 roku zmarł w wieku 83 lat

Ireneusz Kania

Intelektualista, tłumacz, poliglota, znawca kultur Wschodu, w tym buddyzmu i kabały, sportowiec i entuzjasta kultury fizycznej.

Uczył nas głębi myślenia, oddania pasji i językowej precyzji. Otwierał horyzonty na nowe światy i duchowe dziedzictwo kultur starożytnych, mobilizował do nieustannego i wielostronnego rozwoju w duchu greckiej paidei.

Uhonorowany między innymi Nagrodą za Twórczość Translatorską im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Nagrodą Polskiego PEN Clubu, Nagrodą im. Kazimierza Wyki, rumuńskim Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Kulturalnej.

Jesteśmy wdzięczni za jego przyjaźń, mądrość, dzieła i przekłady, którymi nas obdarował.

Żonie Marii składamy serdeczne wyrazy współczucia.

PRZYJACIELE ZE SPOŁECZNEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO ZNAK

domu należącego do angielskiego kolegium.

– Przez ten tydzień nie załatwialiśmy niczego, tylko każdy opowiadał o swoim rejonie świata. Ja byłem doradcą ds. Europy Wschodniej, inny brat mówił o Afryce. Wszyscy mogli posłuchać, jak wygląda życie w innych częściach świata i jak różnie widziane są problemy z innych perspektyw. Było przy tym dużo śmiechu, serdeczności i wspólnej modlitwy – opowiada o. Giertych.

Zadziwiająca harmonia

Podobieństwa do obecnego synodu – zwłaszcza w elementach budujących atmosferę – są uderzające: uczestnicy obrad siedzą przy 35 okrągłych stołach, nie mają miejsc przypisanych na stałe, najważniejszą zasadą jest prawo każdej osoby do wypowiedzi, czemu ma towarzyszyć słuchanie i modlitwa, a nie polemika. Sekretariat synodu (i sam papież) podkreślają, że poznanie opinii innych osób jest ważniejsze od głosowań i uchwalania dokumentów („Uważne wysłuchanie drugiego człowieka wymaga czasu i musi odbić się na wydajności” – pisał Radcliffe; „Kościół to nie firma, w której liczy się wydajność” – mówił Franciszek).

Czy to znaczy, że papież lub sekretariat generalny ustalali metodę synodu na podstawie wskazówek o. Radcliffe’a? Tego udowodnić nie sposób. W zakonach od wieków funkcjonują podobne, demokratyczne zgromadzenia, zwane kapitułami. Odbывают się co kilka lat, uczestniczą w nich wszyscy zakonnicy lub wybrani przez nich delegaci, każdy ma prawo głosu podczas dyskusji i wyborów generała, prowincjała i rad – władz konstytucyjnych i kadencyjnych (w przeciwieństwie do diecezji, gdzie biskup zostaje narzucony z góry i rządzi kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt lat).

Franciszek, jako jezuita, dobrze te procedury zna. Ale zadziwiająca zgodność detali, a przede wszystkim samo zaproszenie angielskiego dominikanina, by w synodalną metodę i atmosferę wprowadził uczestników, pozwalają przypuszczać, że papież i jego współpracownicy dobrze znali osiągnięcia o. Radcliffe’a w dziedzinie zarządzania wspólnotą. O. Giertych podejrzewa, że kard. Bergoglio poznał dominikańskiego generała w czasie jego wizyt w Argentynie. Urząd przełożonego generalnego zakonu to także (albo przede

Dzięki niemu błada
i niewyraźna metoda
funkcjonowania Kościoła,
nazwana dwa lata temu
przez papieża Franciszka
„synodalnością”,
**nabrała konkretów
i kolorów.**

wszystkim) podróże – odwiedzanie poszczególnych prowincji i klasztorów, spotkania z miejscowymi biskupami.

Głośne były też listy Radcliffe’a do zakonu (napisał ich czternaście) oraz wystąpienia na konferencjach przełożonych generalnych zakonów męskich („Życie konsekrowane i kultura współczesna”, „Tożsamość dzisiejszych zakonników”). Z pewnością papież zna też jego książki, przynajmniej te najbardziej popularne, napisane już po złożeniu urzędu generała („Po co być chrześcijaninem”, „Globalna nadzieja”, „Po co chodzić do kościoła”), bo mocno współbrzmia z wypowiedziami Franciszka i są źródłem cytatów i przykładów do jego przemówień (jak choćby niedawne porównanie synodu do orkiestry symfonicznej, w której każdy instrument odgrywa inną, ale równie ważną rolę, a zadaniem przełożonego – dyrygenta – jest troska o harmonię).

Wiadomo też, że niedługo po swoim wyborze Franciszek zaprosił dominikanina na prywatne spotkanie do Watykanu. Ich znajomość okazała się owocna.

Kościół nadziei

Zadanie powierzone przez papieża o. Radcliffe’owi nie było proste. Rekolekcjonista miał świadomość, że część uczestników synodu przyjeżdża do Watykanu, by walczyć – o zmiany (święcenia kobiet, błogosławienie gejów, rozgrzeszanie rozwodników) lub przeciwko nim. A druga część jest zmęczona i przerażona perspektywą, a jeszcze bardziej konsekwencjami tej walki. Od niego zależało, jak rozpocząć się i czym skończy najważniejsze wydarzenia pontyfikatu Franciszka.

Dzięki niemu błada i niewyraźna metoda funkcjonowania Kościoła, nazwana dwa lata temu przez Franciszka „synodalnością”, nabrała konkretów i kolorów.

Ludzie o odmiennych wizjach Kościoła, dotąd patrzący na siebie z niechęcią, lękiem i podejrzliwością, usiedli razem do stołu, by się uważnie i życzliwie słuchać. Nieakceptowane poglądy przestały być ideologią – są tylko odmiennym zdaniem, z którym można się nie zgadzać, ale za którym widać twarz konkretnego, siedzącego obok człowieka.

Różnić się jest dobrze i pięknie – mówił dominikanin: „Różnica jest płodna. Każdy z nas jest owocem wspaniałej różnicy między mężczyzną i kobietą. Jeśli uciekniemy od odmienności, będziemy bezpłodni i bezdzietni w naszych domach i w naszym Kościele”. „Konflikt między Piotrem i Pawłem był fundamentem powstania Kościoła” – dodawał.

„Nie możemy stać się społeczeństwem facebookowych baniek, gdzie spotykamy się tylko z tymi, którzy myślą podobnie i dzielą te same slogany. Jezus spotykał się ze wszystkimi, miał zdumiewających i szokujących znajomych, z którymi jadał: prostytutki, celników, faryzeuszy. Jego przyjaźnie były niemożliwe, przekraczały granice”.

Po dwóch tygodniach synodu widać, że Timothy Radcliffe jest jego pierwszym zwycięzcą. Nauki przyniosły spodziewany skutek. Nawet kard. Gerhard Müller, dotąd krytyczny wobec wspólnych obrad biskupów ze świeckimi, przyznał, że spotkania przy okrągłych stołach „były dobre i napawają optymizmem”.

Angielskiemu kaznodziei udało się przekonać uczestników synodu, że ich obawy, spory i odmienne wizje są niczym wobec tego, co w Kościele najważniejsze i co jako jedyne scala go i łączy. Jego spokojny, zdystansowany, czasem żartobliwy ton łamał się, gdy opowiadał o spotkaniach z ludźmi doświadczonymi wojną, katastrofą humanitarną, tragedią osobistą, którzy od Kościoła oczekiwali tylko jednego – nadziei.

To jedyne, co Kościół ma i może dać współczesnemu człowiekowi: Słowo i Chleb życia.

Na przedsynodalnym spotkaniu w Bolonii o. Radcliffe mówił: „To nie będzie synod dogmatyczny, ale synod dla ludzi, którzy »w życia wędrowce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znaleźli się lasu«. Dla tych, co chcą szukać ścieżki życia, by iść nią razem. Dokąd – nie wiadomo”.

©© EDWARD AUGUSTYN

Zlekceważone sumienie

DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

Zostaliśmy wychowani w lęku przed używaniem sumienia. Tymczasem w naszej drodze życiowej ono jest najważniejszą umiejętnością.

MADELEINE DELBRÊL, ŻYJĄCA w XX wieku francuska kandydatka na ołtarze, która nie zagrzała miejsca u karmelitanek, napisała w jednej ze swoich książek: „Naszymi przełożonymi, naszymi opatami i opatkami są okoliczności życia. Są nimi telefon, który dzwoni; klucz, który nie pasuje do drzwi, autobus, który nie przyjechał, zwykła rutyna dnia, pogoda, ludzie, którzy chcą zabić czas i znajdują ciebie jako odpowiedniego do zabicia czasu. To są narzędzia religijnego posłuszeństwa”.

Zadziwiające wyznanie jak na osobę wierzącą. W pewnym sensie rewolucyjne i wyprzedzające epokę. Założycielka Domów Serca nie odnalazła się w ramach zakonnej struktury, lecz dzięki kontemplacji głębiej odkryła, że Bóg mówi do niej przez codzienne wydarzenia, przypadki, spotkania, przyrodę i tak wzywa do działania. Twierdzi, że jeśli odpowiadamy na te wezwania, stajemy się posłuszni Bogu.

Pytanie jednak, w jaki sposób rozpoznać, że za konkretnym zdarzeniem, zwykłością dnia i przypadkami ukrywa się nasz „opat i opatka”. Przecież łatwo można pobiłdzić. Poza tym nie każda rozmowa telefoniczna ma nas motywować do zmiany planów i podejmowania decyzji. Brakuje też szczegółowych wytycznych i przepisów. Woli Boga kryjącej się w tym gąszczu nie jest w stanie zinterpretować żaden przełożony ani ksiądz. O czym więc pisze Delbrêl?

O wysiłku poszukiwania Boga i tego, co słuszne i dobre, dzięki sumieniu.

Nadopiekuńczy Kościół

Nie ulega wątpliwości, że jedną z przyczyn trwającego od dłuższego czasu kryzysu Kościoła lub – jak mawia papież Franciszek – „zmiany epoki” jest pomniejszenie roli sumienia i rozeznawania duchowego w życiu wierzących. Wspo-

mina o tym Franciszek na początku adhortacji „Amoris laetitia”, kierując swoje słowa głównie do duchownych: „Z trudem dajemy też miejsce dla sumienia wiernych, którzy pośród swoich ograniczeń często odpowiadają najlepiej, jak potrafią, na Ewangelię i mogą rozwijać swoje własne rozeznanie w sytuacji, gdy wszystkie systemy upadają. Jesteśmy powołani do kształtowania sumień, nie zaś domagania się, by je zastępować” (37). Nieco dalej papież porównuje Kościół do latarni morskiej lub pochodni, wniesionej, „by oświecić tych, którzy stracili kurs, czy też są w samym środku burzy” (291).

Zauważmy, że Kościół – rozumiany tutaj jako pasterze i urząd nauczycielski – nie powinien przejmować sterów statku, którym jest droga wiary konkretnego ochrzczonego, lecz wskazywać kierunek, w którym należy płynąć. Kurs wytycza ten, kto stoi za sterem. On zмага się z przeciwnościami i falami. Pokusa zastępowania sumienia wierzącego, często motywowana dobrą wolą, przypomina działanie nadopiekuńczego rodzica, który chroniąc dziecko przed wszelkimi burzami tak naprawdę wyrządza mu krzywdę.

Nic dziwnego, że te słowa Franciszka wywołały falę krytyki, oporu i oburzenia. Papież dotknął drażliwego punktu. Wielu ochrzczonego, świeckiego i duchownym, oba terminy – „sumienie” i „rozeznawanie” – często kojarzą się z zagrożeniem, wywołują lęk przed subiektywizmem, rozwodnieniem doktryny i nieokiełznaną wolnością oraz indywidualizmem.

Dlaczego? Ponieważ zostaliśmy wychowani w zupełnie innym modelu, nacechowanym głębokim rozdarcie: z jednej strony sumienie, niepewne, podatne na błąd, a z drugiej prawo i autorytet kościelny, przy cichym założeniu, że Duch

Święty działa tylko przez głos władzy duchowej, prawo spisane i Ewangelię. Przez sumienie wierzącego czy ogólnie człowieka już słabiej bądź w ogóle. Kaznodzieja Domu Papieskiego kard. Raniero Cantalamessa twierdzi jednak, że „istnieje ścisły związek między sumieniem a Duchem Świętym, być może niedostatecznie jeszcze zbadany”.

Przerost legalizmu

Dzisiaj żyjemy w społeczeństwach, w których niemal wszystko regulują normy i przepisy. Toniemy wręcz w morzu legalizmu, w lawinie niekończących się ustaw, procedur i biurokracji. Niewiele miejsca pozostaje na zdrową spontaniczność, choć przecież prawo nie jest w stanie określić wszystkiego. Bardzo mocno, zwłaszcza w Europie, wierzymy w moc prawa spisanego.

Kościół też padł ofiarą tego mechanizmu. Dość powiedzieć, że w przypadku walki z nadużyciami seksualnymi wobec małoletnich nie można było działać, dopóki nie stworzyło się przepisów i procedur. Jakby władza kościelna nie miała serca i sumienia.

Ten rozdźwięk i lęk przed sumieniem nie wzięły się znikąd. Jest to pokłosie wielowiekowych procesów i historycznych zawirowań, których nie mam zamiaru oceniać. Widocznie inaczej się nie dało. Konfrontacja z reformacją (Luter powoływał się na sumienie), wewnątrzkościelne spory teologów moralnych; wpływ wolań Ockhama, wedle którego życiem moralnym człowieka kierują tylko zewnętrzne powinności wyrażone w prawie ustalonym przez prawodawcę, doprowadziły do przerostu legalizmu w Kościele. Dość powiedzieć, że Sobór Trydencki o sumieniu wypowiada się jedynie w kontekście spowiedzi i zachęca wiernego, „aby dokładnie przeegzaminował i zbadał wszystkie zakamarki i kryjówki swojego sumienia”. Podkreśla się więc jego związek z grzechem i... wyrzutami.

Niezamierzonym zapewne nieszczęściem Kościoła okazało się zredukowanie roli sumienia do pewnego rodzaju narzędzia, które ma rozpoznawać zewnętrzne prawo, słuchać autorytetów i wprowadzać je w życie, niezależnie od własnych pragnień, trudności, słabości i okoliczności życia. Sumienie zostało w ten sposób oderwane od historii życia i pozbawione kontaktu z wnętrzem człowieka.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Spowiedź w bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa. Kraków, 11 czerwca 2021 r.

Gwoździem do trumny okazał się jansenizm, który wsączył w sumienia ludzi neurotyczny lęk przed Bogiem i piekłem oraz tak wyśrubował warunki godnego przyjęcia sakramentów, że prawie nikt nie mógł ich spełnić. Starcie Kościoła z nauką, zwłaszcza w XIX wieku, jeszcze bardziej rozpało lęk przed utratą pozycji i autorytetu. Reakcją na nowożytność i to, co Kościół nazwał modernizmem, było wzmocnienie kościelnego autorytetu z całkowitym niemal stłumieniem wewnętrznego działania Ducha Świętego w wierzących. Niebagatelną rolę odegrała w procesie zdegradowania sumienia choroba klerykalizmu, która spowodowała w sercach wielu wierzących powątpiewanie w to, czy Duch Święty działa także w ich życiu.

Duchowa spontaniczność

Servais Pinckaers OP słusznie zauważa, że ta wizja moralności „skostniała (...)

i przeciwstawiła się wszystkiemu, co płynie i wytryska. Z pewnością było to konieczne, aby opanować zalew subiektywizmu i namiętności; czy jednak z tego powodu należało zapomnieć o istnieniu duchowej spontaniczności całkiem innej natury i usunąć z dziedziny moralności wszystko, co przynależy do mistyki i duchowości?”. Co ciekawe, tam gdzie pojawia się legalizm, zwykle następuje odcięcie od kontemplacyjnego wymiaru życia i świadectwa mistyków, którzy nie patrzą na człowieka i życie najpierw przez pryzmat grzechu, lecz miłości Boga, wybrania i prymatu łaski w wierze.

O pokusie zwątpienia w człowieka i Boże działanie w nim w proroczy sposób opowiada Iwan w „Braciach Karamazow” Fiodora Dostojewskiego w słynnej scenie z Wielkim Inkwizytorem. W swojej tyradzie wypowiedzianej w obecności pojmanego Jezusa kardynał z Sewilli,

przedstawiany tutaj wręcz jako postać diabelska, twierdzi, że wyświadcza ludowi Bożemu ogromną przysługę i ulgę, decydując za niego, co jest grzechem, a co nie: „Nie ma nic bardziej ponętnego dla człowieka nad wolność sumienia, ale nie ma też nic bardziej męczącego. I oto zamiast dać twarde podwaliny, aby raz na zawsze uspokoić ludzkie sumienie – przyjąłeś wszystko, co jest nieokreślone, zagadkowe, niezwykle, wszystko, co przerasta siły ludzkie, a więc postąpiłeś tak, jakbyś ich wcale nie kochał” (przeł. Aleksander Wat). Jezus pomylił się. Człowiek chce pewności, a nie szukania we mgle. Ceni spokój. Chce jasnych, prostych odpowiedzi i wytycznych. A Jezus każe szukać, pytać, rozeznawać. I „zamiast dawnego twardego prawa”, które dawało gwarancję pewności, zostawił człowieka bez pomocy, aby „w swobodzie swojego serca” sam rozstrzygał, co jest dobre, a co złe, mając przed sobą tylko Jego obraz i wzór.

Człowiek, zdaniem Inkwizytora, to „nieszczęsna istota”, z „przyrodzoną skłonnością do lenistwa”, jest „słaby i podły”, tępy i ograniczony. Nie można więc tyle oczekiwać od ludzi, którzy przecie są „niewolnikami”, „małymi dziećmi” i „trzodą”. Jezus za bardzo w nich wierzy, za bardzo ich ceni. I dlatego zadaje im takie cierpienia. Nietrudno wyczuć, że za całym wywodem Inkwizytora kryje się kłamstwo, które próbuje przekreślić podobieństwo człowieka do Boga, a samego Stwórcę pokazuje jak tyrana, który ciemni ludzi... wolnością.

Duch Święty działa jednak w sercu człowieka i poza nim. Wola Boża jest nam komunikowana także przez człowieczeństwo i życie – jak przypomniał o tym wyżej Delbrêl. Jeśli się ten związek rozerwie, czyli kiedy zaniedba się wewnętrzny głos Ducha, „łatwo można popaść w jurydyczność lub autorytaryzm, gdy zaniedbuje się świadectwo wewnętrzne, apostołskie, popada się w subiektywizm i fanatyzm” (kard. Cantalamessa).

Ćwiczenie sumienia

Sumienie jest fundamentem, rodzajem talentu czy wrodzonego moralnego potencjału, który domaga się rozwinięcia. Dominikanin o. Wojciech Giertych (teolog Domu Papieskiego) słusznie uważa, że „sumienie to okno otwierające



→ na prawdę”, a nie sama prawda. Sumienia nie można zrównać z Bogiem. Raczej Bóg wszczepił każdemu człowiekowi pewien duchowy radar, który może ją zlokalizować, z tym że nie odbywa się to bez wysiłku i popełniania błędów. Dobro nas pociąga, a nie opanowuje i nie narzuca się siłą. Podobnie jak zdolność mówienia nie osiągnie pełni, jeśli zabraknie drugiego człowieka, ćwiczenia, wzbogacania słownictwa przez lekturę i interakcje z innymi, sumienie stoi u początków drogi, jest punktem wyjścia i umożliwia rozwój moralnej wrażliwości.

Sumienie nie działa jedynie przez wyrzuty i nie wytyka nam błędów. Tak postrzega je legalizm i kościelny moralizm. Najpierw chodzi o czynienie dobra, a nie unikanie zła. W centrum moralności chrześcijańskiej nie leży grzech i skupienie na zagrożeniach, lecz praktykowanie miłości. Sumienie musi nauczyć się rozpoznawać dobro w różnego rodzaju doświadczeniach i momentach decyzji.

Pojawiają się w nas różne natchnienia i awersje. Wybieramy między jednym dobrem a drugim, właściwym dla nas. Stajemy przed ważnymi życiowymi decyzjami. Czasem spadają na nas dylematy moralne, a więc także konieczność wyboru między mniejszym a większym złem. Dzięki sumieniu uczymy się na błędach – oceniamy to, co już należy do przeszłości, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość. Do tego dochodzi jeszcze prawo stopniowości, czyli proces dojrzewania człowieka do realizacji ideału. Każdy ma tutaj swoje tempo wyznaczone przez jego sytuację życiową. Nie sposób tego wyrazić w prawie spisanim.

Sądzę, że to, co Jezus w Ewangelii według św. Mateusza nazywa czuwaniem, św. Tomasz z Akwinu utożsamia z roztropnością, a św. Ignacy Loyola z rozeznawaniem duchowym. Przez głos su-

Sumienie nie działa jedynie przez wytykanie błędów.

Tak postrzega je legalizm i kościelny moralizm.

Najpierw chodzi o czynienie dobra, a nie o unikanie zła.

mienia, które opiera się w nas na działaniu rozumu, słyszymy nie tylko, czego unikać, ale przede wszystkim, co czynić. Wydaje się, że w Kościele powoli dochodzimy do głębszego rozumienia, jak przebiega proces szukania woli Bożej, choć opór przed tą zmianą jest ogromny. Tym, co łączy nas wszystkich w sumieniu, jest pragnienie dobra, otwarcie na relacje. Ale posiadanie sumienia jest konieczne także z tego powodu, że różnimy się od siebie. Nie tworzymy masy i tłumu, lecz jesteśmy wspólnotą połączonych ze sobą indywidualności.

Każda osoba ludzka jest niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju i wolna. Na tym polega jej godność. Każdy człowiek odbija jakąś unikatową część z nieskończoności Boga, choć czasem trudno w to uwierzyć. Wobec tego niemożliwe jest, aby wszyscy w ten sam sposób podążali do Boga. Dzięki tej władzy i związanymi z nią umiejętnościami człowiek może zrealizować w swoim życiu ową indywidualność, czyli wydać właściwe sobie owoce. Ideał jest niezmienny, ale jego aplikacja w życiu konkretnego człowieka przez roztropność i rozeznawanie duchowe nie odbywa się w abstrakcji, poza kontekstem społecznym, kulturowym i osobistej historii.

Czuwanie, rozeznawanie

Czuwanie według Jezusa nie polega na tym, że człowiek beczynie czeka spalizowany lękiem przed sądem Bożym albo całkowicie zanurza się w modlitwie, w której rzekomo jedynie można odnaleźć Boga. W Ewangelii według św. Mateusza pojawia się seria przypowieści o czuwaniu: roztropny sługa, panny roztropne i nierozsądne, słudzy, którym powierzono talenty – pieniądze, w końcu scena Sądu Ostatecznego. Wszystko zaczyna się od sługi, który ma „wyznaczone zajęcie” przez Pana.

Wszyscy posiadamy takie obowiązki, które związane są z pracą, rodziną, małżeństwem, życiem zakonnym. Ale to nie koniec. Panny roztropne wzięły z sobą zapas oliwy nie dlatego, że im ktoś określił to w prawie. Ich roztropność to namysł nad doświadczeniem, przewidywalność, kontakt z rzeczywistością. Panny nierozsądne nie tylko nie wzięły więcej oliwy, ale także w swojej naiwności poszły do sklepu po północy. Jakoś nie domyśliły się, że o tej porze chyba trudno cokolwiek kupić.

Chrześcijanin musi więc ruszyć głową, mieć styczność z faktami, stąpać po ziemi. Z kolei w przypowieści o talentach Jezus mówi o dwóch sługach, którzy od razu puścili powierzone im pieniądze w obrót, podejmując ryzyko straty. Trzeci sługa wystraszył się błędu i działania. Zakopał skarb w ziemi. Wolność wiąże się z możliwością zbłądzenia, ale prawdziwie wolny chrześcijanin nie siedzi z założonymi rękami, bo, nie daj Boże, się pogubi.

W końcu sprawiedliwi z Sądu Ostatecznego są zdziwieni tym, co słyszą na swój temat. Nie mieli pojęcia, że okazując miłosierdzie bliźnim, czynili to dla Chrystusa. Jeśli tak, to nie kierowało nimi żadne zewnętrzne prawo, lęk przed piekłem czy chęć zdobycia zasług. Nie mieli nawet wiary w naszym rozumieniu. Kierowali się sercem i bezinteresownością.

To właśnie jest obraz doskonałego ucznia, który czuwa: czyni dobro tak, jak się oddycha, bo tak po prostu trzeba. Nie sposób dojść do tego celu bez nauki roztropności i duchowego rozeznawania, wejścia w siebie, w głąb swego serca, bez tego, co Kościół nazywa nieustanną formacją sumienia.

© DARIUSZ PIÓRKOWSKI

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 536/23 toczy się postępowanie z wniosku Ryszarda Mieczysława Wagnera, zamieszkałego w Warszawie, o uznanie za zmarłego Jana Zbigniewa Hamankiewicza, s. Feliksa i Zofii z domu Wagner, ur. 24 marca 1925 r. w Warszawie, zamieszkałego ostatnio w Warszawie przy ul. Górskiej 17 m. 1, który zaginął na przełomie roku 1943/1944 w czasie okupacji niemieckiej w Warszawie. Sąd wzywa zaginionego, aby w terminie trzech miesięcy zgłosił się, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego.

Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w terminie trzech miesięcy przekazały je sądowi.



DZIĘKI UPRZEŻMOŚCI UNIVERSITY COLLEGE DUBLIN

Prezydent de Valera całuje pierścionek abp. Johna Charlesa McQuaida, Dublin, fotografia z lat 1961-1969.

Piekło na Zielonej Wyspie

MACIEJ MÜLLER

Sekularyzacja Irlandii pokazuje, czym potrafi stać się Kościół, kiedy otrzyma nieograniczoną i niekontrolowaną władzę nad człowiekiem.

BERNADETTE MIAŁA SIEDEM LAT, KIEDY trafiła do prowadzonej przez zakonnice szkoły Goldenbridge. Zapamiętała, że podwórko było pełne dzieci, ale nikt nie biegał, nie wrzeszczał, nie śmiał się. Pobudka była o szóstej rano: siostry krzyczały, zrzucały dzieci z łóżek na podłogę, biły po twarzy. Potem sprawdzały, kto w nocy zasikał pościel. Dzieci, które się dopuściły takiego przewinienia, musiały stać w korytarzu z mokrym prześcieradłem w ręku.

Karę można było dostać za wszystko – dzieci najbardziej bały się zamykania w ciemnej piwnicy albo w wielkich przemysłowych suszarkach. Wieczorami przychodziła Alida, siostra przełożona. Niosła kij, który zrobił dla niej stolarz: był gruby, lakierowany, spłaszczony na końcu. Kiedy nim biła – po rękach, pośladkach, nogach – starsze dzieci próbowaly zasłaniać się młodszymi.

Wyrokiem sądu Bernadette miała przebywać w Goldenbridge do ukończenia

16. roku życia. Należała do dziesiątek tysięcy ofiar systemu, który wytworzył się po uzyskaniu przez Irlandię niepodległości w 1922 r. Ścisłe sklejenie państwa z Kościołem katolickim sprawiło, że kontrola życia obywateli miała charakter właściwie totalitarny. Historię tę możemy dokładnie poznać dzięki nowej książce Marty Abramowicz „Irlandia wstaje z kolan”.

Stróż wiary

Arcybiskupa Dublina Johna Charlesa McQuaida trudno było nazwać szarą eminencją. Trafniej by było powiedzieć, że hierarcha, przed którym klękał prezydent Éamon de Valera, na którego wezwanie dymisjonowano ministrów, na którego biurko spływały do akceptacji ustawy – nie rządził Irlandią z tylnego siedzenia, tylko zza kierownicy. Jeden z premierów deklarował: „Jako katolik jestem posłuszny władzom mojego Kościoła. Rząd jest gotowy natychmiast zgodzić się z decyzją hierarchii”.

Historycznie rzecz biorąc Kościołowi katolickiemu Irlandia zawdzięczała wiele. Ustrzegł on Irlandczyków przed wynarodowieniem i sprostestantyzowaniem pod władzą rządzących wyspą Brytyjczyków. Ochronił ich tożsamość. Ale po uzyskaniu niepodległości wystawił rachunek – zażądał przywilejów i wpływu na życie społeczno-polityczne. Zresztą do niego należały szkoły i szpitale, dysponował zdyscyplinowaną kadrą księży i zakonnic oraz budynkami. Ubogie młode państwo nie mogło – i nie było w stanie – nie skorzystać z oferty. Duchowieństwo katolickie *de facto* współrządziło państwem przez kilkadziesiąt lat. McQuaid i jego następcy mieli władzę pozwalającą na kształtowanie prawa, blokowanie reform (np. wprowadzenia bezpłatnej opieki zdrowotnej dla młodzieży i kobiet w ciąży) i zabezpieczenie własnej pozycji. Konstytucja głosiła „szczególną pozycję Świętego Katolickiego Kościoła Apostolskiego i Rzymskiego jako stróża wiary wyznawanej przez zdecydowaną większość obywateli”.

Pokuta

Wprowadzony w kraju porządek społeczny ściśle wynikał z zasad katolicyzmu – tak jak go pojmowali biskupi. Zakazano antykoncepcji, a kobietom zamężnym podejmowania pracy. Księża nauczali, że kobieta, która zachodzi w ciążę poza małżeństwem (dotyczyło to także gwałtów), hańbi swoją rodzinę. Ich nazwiska wyczytywano z ambony. Należało je usunąć z pola widzenia społeczeństwa – temu służyły prowadzone przez zakony domy matki i dziecka. Po porodzie dzieci odbierano matkom i oddawano (czy raczej, jak wykazywały późniejsze śledztwa, sprzedawano) do adopcji. Wiele młodych kobiet, uznanych za „wyuzdane” czy „demoralizowane”, zsyłano do azyli magdałeńskich, by – wykonując przez lata niewolniczą pracę w pralni – pokutowały.

Kościół zapewniał też opiekę nad „trudną młodzieżą”. Do takiej grupy zaliczono wspomnianą na początku Bernadette. Rozmówczyni Marty Abramowicz była uczennicą jednej z prowadzonych przez Kościół tzw. szkół przemysłowych. Wspólnie z trzema braćmi (z którymi została niebawem rozdzielona) została tam wysłana przez sąd, ponieważ jej ojciec opuścił dom i przestał żyć na utrzymanie dzieci. W dodatku byli dziećmi →

→ niesłubnymi: w Irlandii było to przewinienie ścigane przez Kościół i państwo.

Książka Marty Abramowicz pozwala w pełni zorientować się w tym, jak działało „Państwo Kościelne” w Irlandii. Autorka pisze o wpływie Kościoła na kolejne rządy, o opóźnieniach cywilizacyjnych spowodowanych przez ślepe wykonywanie przez polityków poleceń hierarchów. O cenzurze książek i filmów („półkownikami” były publikacje Hemingwaya, Salinger, Faulknera, ale też romanse Barbary Cartland i cykl o Bondzie). Przede wszystkim zaś – o nieludzkiej krzywdzie zadanej dziesiątkom tysięcy „poddanych” Kościoła, głównie kobietom i dzieciom. Oraz o bohaterkach i bohaterach, którzy odważyli się przeciwstawić systemowi i naruszyć jego fundamenty do tego stopnia, że współczesna Irlandia rzeczywiście „wstała z kolan”.

Koniec epoki

To także efekt wychodzących na jaw od lat 90. XX w. przestępstw seksualnych duchowieństwa i jego tuszowania przez biskupów, a także słynnych raportów sędziego Ryana i sędzi Murphy (opublikowanych w 2009 r.) o systemowej przemocy w szkołach i o nadużyciach seksualnych. Raporty zawierają katalogi sadystycznych kar stosowanych w placówkach (szczucie psami, polewanie wrzątkiem), opisują systemowe gwałty na wychowankach.

Szok wywołany wychodzeniem na jaw tych zbrodni, a także przemiany społeczne – rosnący w siłę ruch femini-

styczny, skuteczne działania środowisk LGBT, wybór na prezydentkę Mary Robinson, a później Mary McAleese – zakończył epokę dominacji Kościoła w Irlandii. Dopuszczono rozwody, małżeństwa jedнопłciowe i aborcję (te ostatnie w referendach narodowych w 2015 i 2018 r.). W spisie powszechnym z 2022 r. 69 proc. Irlandczyków określiło się jako katolików – ale nie jest to już katolicyzm klerykalny, zapatrzone w hierarchię. „Gdy ludzie zakwestionowali władzę Kościoła, religia stała się sprawą prywatną i osobistą – pisze reportażystka. – Aby być dzisiaj postrzeganym jako dobra osoba, nie trzeba być już dobrym katolikiem”.

Błędne wnioski

Marta Abramowicz pisze, że o ile Irlandia wstaje z kolan, to my „tkwimy w uniiżonej pozycji”. „Irlandia lat 50., kraj, w którym nauki Kościoła były egzekwowane przez państwo, to ideał, do którego właśnie zmierzamy” – przekonuje.

Taka teza mogła wydawać się uprawioną w ogniu emocji po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej likwidującym kompromis aborcyjny i po zgonach kolejnych ciężarnych pacjentek w wyniku sepsy (w związku z odwlekaniami w szpitalu decyzji o przerwaniu ciąży mimo zagrożenia zdrowia i życia kobiety).

Całość obrazu jest jednak inna: Polska również się sekularyzuje. Nie miejsce tu, by roztrząsać tego przyczyny, ale nie powinniśmy budować zbyt prostych ana-

logii do Irlandii. Kościół nie kontrolował u nas systemów edukacji, ochrony zdrowia i adopcji, nigdy nie uzyskał porównywalnego wpływu na wszystkie sektory życia społecznego. Jego wpływy polityczne są od dawna iluzoryczne, a biskupom tylko się wydaje, że mają w kieszeni polityków: jest dokładnie odwrotnie. Jak wykazywał w tekście opublikowanym w poprzednim numerze Marcin Kędzierski, tak naprawdę w żadnym momencie po 1989 r. wpływy te nie były zbyt duże, a już na pewno nie do porównania z Irlandią lat 50. Przepisy dotyczące problemów będących agendą Kościoła, jak aborcja i małżeństwa jedнопłciowe, prędzej czy później czeka liberalizacja, a „kiedy tak się stanie, Kościół zniknie z polityki już nie tylko jako podmiot, ale i przedmiot zainteresowania” – pisał nasz autor.

Analogie do Irlandii istnieją, ale gdzie indziej. – Od kilku dekad obserwujemy bardzo dynamiczne odchodzenie społeczeństwa irlandzkiego od katolicyzmu – mówi „Tygodnikowi” ks. Jacek Prusak SJ. – To, co się tam dzieje, musi być brane pod uwagę jako potencjalny sposób, w który sekularyzacja dokona się u nas.

Od lat 90. dominowała teza, że w Polsce dokona się ona na sposób amerykański, czyli pomimo modernizacji społeczeństwa katolicyzm zachowa siłę, a Kościół pozostanie jednym z najważniejszych graczy na scenie społecznej. – Tymczasem polski katolicyzm musi się raczej przygotować na irlandzki model sekularyzacji – uważa ks. Prusak. – Ludzie mający 40 lat i więcej pozostają przy religii, ale polscy nastolatki i młodzi dorośli są najszybciej sekularyzującą się grupą w Europie. Społeczeństwo jeszcze niedawno katolickie niebawem może stać się instytucji Kościoła niechętnie, a w każdym razie obojętne.

Nie jest więc tak, że „gdy [Irlandczycy] oddalają się od tamtych czasów, my damy całą naprzód” – jak uważa Marta Abramowicz. Jednak wierzących czytelników jej książki powinno niepokoić inne pytanie: o to, czym potrafi stać się instytucja głosząca Ewangelię w sytuacji, kiedy otrzyma do rąk nieograniczoną, niekontrolowaną, totalną władzę nad człowiekiem. © MACIEJ MÜLLER

9 października 2023 r. w wieku 67 lat zmarł

Ś.†_{P.}

Andrzej Stawiarski

W latach 80. działacz opozycyjny i dziennikarz podziemnej prasy. Fotograf i reporter. Od 1990 r. związany z krakowskim oddziałem „Gazety Wyborczej”, gdzie pracował m.in. jako sekretarz redakcji. Redaktor naczelny „Miesięcznika Kapitałowego” i „Naszego Rynku Kapitałowego”, założyciel Krakowskiej Witryny Fotograficznej.

Mentor i nauczyciel wielu dziennikarzy.

Zachowamy w pamięci jego ogromną życzliwość i gotowość pomocy

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

POŻEGNANIE

Marta Abramowicz, **IRLANDIA WSTAJE**

Z KOLAN, Wydawnictwo Krytyki Politycznej
2023

ZUZANNA

Radzik:

Wiara, tęcza, rekolekcje



TO PRAWDA, MAM TROCHĘ „OCZY w mokrym miejscu”, ale nie aż tak, żeby przez książkę ryczeć w dalekobieżnym pociągu. Nie tyle czuć uścisk w gardle, nie ocierać łez, ale zalać się łzami. Wtedy płakałam właśnie tak, zaskoczona, bez chusteczek, gdzieś między Katowicami a Warszawą. Wracając z rekolekcji Wiary i Tęczy, chrześcijan LGBT+ na które zostałam zaproszona, by coś tam mówić. To jednak ja przeżyłam tam rekolekcje. Wyjechałam z nich z książką Kingi Kosińskiej o historii jej tranzytacji. Zaczęłam czytać w pociągu. To właśnie ta opowieść wyzwoliła całe wzruszenie tych dni, wstrząs, współodczuwanie bólu, które postanowiły się ze mną wylać w bezprzedziałowym wagonie.

Niedługo potem kolejne rekolekcje. Znów zaproszenie, tym razem do prowadzenia. Śmiałam się, że tak to jest na tych kościelnych obrzędach, bo przecież nikt inny nie chciałby ode mnie rekolekcji, ale tu – powiedzmy delikatnie – nie ustawia się kolejka chętnych duszpasterzy. Pamiętam najlepiej nie to, co wyczytaliśmy wspólnie z Pisma Świętego, ale wiele scen. Ostrożność, żeby nie mówić na stołówce nic, co wzbudziłoby niepokój personelu. Tani dom rekolekcyjny to skarb, nie ma co odcinać sobie drogi powrotu. Zatem konspiracja na kościelnych włościach. Pamiętam chłopaka, który znalazł mnie podczas przerwy i zaczął opowiadać historię o walce ze sobą, samoakceptacji i poczuciu bycia wypychanym z Kościoła. Pamiętam, że gdy rozdawszy zadania do dyskusji w grupach, poszłam zrobić sobie kawę, znalazły mnie matki. Grupa wierzących rodziców tęczyowych dzieci opowiadała o swoich zmaganiach z Kościołem. Któraś o tym, że poszli z mężem opowiedzieć biskupowi, jak to jest, ale czuła, że bije głową w mur. Mówiąc to bezwiednie oparła czoło o najbliższą ścianę, zaczęła uderzać. Oprócz tego, jakby ponad tym bólem, wykluczeniem, ukrywaniem się we własnych wspólnotach, pamiętam

serdeczność, radosną liturgię, mnóstwo ciepła i osoby, z którymi trzymam do dziś.

Pamiętam, że w dniu, w którym z tych rekolekcji wróciłam, akurat odwiedzał mnie znajomy ksiądz. Jeden z tych kumpi, z którymi nie rozmawia się o poglądach wiele, ale wciąż się lubi. Spytał, co słychać, a u mnie tego dnia słychać było tylko te historie, którymi przepełniłam się przez ostatnie dni. On nie chciał tego słuchać. Wolał przyłgnięcie do tego, co mówi o nich Kościół, a nie słyszenie tego, co czuje wtedy człowiek.

Zawsze powtarzam, że istnienie grupy (dziś fundacji) Wiara i Tęcza jest imponujące. Kiedy powstawała, niewielu w polskim Kościele było buntowników, a już na pewno nie tworzących organizacje. Niewielu mówiło wprost Kościołowi: przynależę, ale nie zgadzam się z tym, co o mnie mówisz i czego ode mnie wymagasz. A Wiara i Tęcza otwarta była dla tych, którzy żyją w związkach i nie chcą tego ukrywać ani spotykać się z pogardą i pouczeniem. To, że robili własne duszpasterstwo, dla samych siebie, było pouczającą lekcją podmiotowości świeckich w chrześcijańskich Kościołach. A dziś imponuje jeszcze, że trwają od tylu lat, coraz bardziej dynamiczni i widoczni.

Nie do końca tylko pojmuję, w imię czego trwa się w Kościele, doświadczając od niego tyle zła. Jaka moc trzyma, jak wielka wiara. Owszem, uważam, że kobiety zbierają swoją miarę dyskryminacji. Jednak stosunek Kościoła do osób LGBT+ i język, na jaki jest przyzwolenie wśród duszpasterzy, jest z innego poziomu. Zwykle nazywamy to mową nienawiści. Co zatem sprawia, że wiara nie znika z nazwy ich organizacji?

Właśnie wydali książkę „To jest także nasz Chrystus. Rozmowy z chrześcijanami LGBT+”, która daje trochę odpowiedzi. Książkę w formie elektronicznej można pobrać za darmo na stronie: wiaraniewyklucza.pl. Marcin Dzierżanowski, dziennikarz oraz jeden z założycieli ruchu i fundacji, zebrał wywiady z piętnastoma osobami. Chciałam coś tu zacytować, wyrwać dobry fragment z kontekstu, ale gdy wróciłam do książki, uznałam, że to zły pomysł. To są opowieści o życiu wiary, przychodzeniu i odchodzeniu. O wdzięczności i o ranach. Zbyt dynamiczne, by oddać im sprawiedliwość wyimek w felietonie. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU

Ars Cameralis: Herezje

- Rozmowa z organizatorami festiwalu Ars Cameralis: Markiem Zielińskim, Tobiaszem Melanowskim, Agatą Moską i Agnieszką Turek-Niewiadomską
- Esaj Ishbel Szatravskiej ▪ Program festiwalu

„Tygodnik” z dodatkiem w kioskach od środy 25 października



Konstanty Gebert



Marcin Napiórkowski



Ks. Eligiusz Piotrowski



Anna Dymna



Siostry z Broniszewic



Fundacja Folkowisko

Znamy już nominowanych do Nagrody Znak i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

Nagroda im. ks. Józefa Tischnera zostanie przyznana po raz dwudziesty trzeci. Jest to nagroda nie tylko za pisarstwo, lecz również zaangażowanie społeczne. Od 2001 roku nieprzerwanie są nią wyróżniani wybitni intelektualiści i działacze społeczni, którzy wcielają w życie wartości bliskie patronowi nagrody. W tym roku laureatki bądź laureaci w każdej kategorii wyłonieni zostaną spośród trojga nominowanych przez jury, któremu przewodniczy ks. Adam Boniecki.

W kategorii pierwszej

za książkę lub cykl publikacji, które stanowią kontynuację Tischnerowskiego „myślenia według wartości”, nominowani zostali:

Konstanty Gebert

■ OSTATECZNE ROZWIĄZANIA.

LUDOBÓJCZY I ICH DZIEŁO

Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2022

Za motto swej najnowszej książki Konstanty Gebert wziął myśl Stanisława Jerzego Leca: „Człowiek sprzyja raczej dobru niż złu, lecz okoliczności nie sprzyjają mu”. Jest ona poświęcona okolicznościom, w których człowiek zaczyna myśleć o innych ludziach najpierw jako o przeszkodzie na drodze własnego rozwoju, a w końcu – jako o wrogach, których należy za wszelką cenę usunąć.

Wybitny publicysta przedstawia historię ludobójstw, których dopuszczano się w różnych miejscach globu w ciągu ostatnich 120 lat – od zbrodni niemieckich w Namibii i genocydzie Ormian po czasy nam współczesne. Analizując przyczyny, jakie do nich doprowadziły, wskazuje na istnienie stałych mechanizmów, które sprawiają, że pewne grupy etniczne zostają nagle wyłączone spod działania prawa

i poddane eksterminacji. Pisze o „wyobraźni ludobójczej” i o „ludobójcy jako człowieku moralnym”, przekonany, że jego działania są słuszne. Równocześnie opowiada o tym, jak rodziła się idea ścigania tego typu zbrodni i jak – po woli, niedoskonale, ale jednak – wcielana była w życie. Trafnie napisała Joanna Tokarska-Bakir, że książka Geberta jest krępująca, choć nie pozostawia złudzeń.

Marcin Napiórkowski

■ NAPRAWIĆ PRZYSZŁOŚĆ. DLACZEGO POTRZEBUJEMY LEPSZYCH OPOWIEŚCI, ŻEBY URATOWAĆ ŚWIAT

Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2022

To jedna z tych książek, które próbują mierzyć się z mitami przenikającymi nasze myślenie o świecie. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego i ceniony publicysta „Tygodnika Powszechnego” bierze na cel dwie współczesne mitologie, które – jak pisze – „przenikają sztukę i kulturę popularną, kształtują badania naukowe i ich odbiór na internetowych forach, wpływają na głosowania w Parlamencie Europejskim i dyskusje przy rodzinnym stole”. Obie dotyczą przyszłości i roli, jaką w jej kształtowaniu odegra rozwój technologii. Jedną autor nazywa technooptymizmem, drugą – technopesymizmem.

Mitologie te są ze sobą w zwarciu, które uniemożliwia rzetelną rozmowę o konsekwencjach postępu, jaki dokonał się w nauce i technice. Marcin Napiórkowski wskazuje na potrzebę „nowych opowieści”, które inaczej rozłożą akcenty i pozwolą nam budować przyszłość w sposób bardziej spójny. Jego książka to zbiór podpowiedzi, na czym te „nowe opowieści” powinny być oparte. Świat może być lepszy – pisze w zakończeniu autor i po wysłuchaniu jego argumentów trudno nie przyznać mu racji.

Eligiusz Piotrowski

■ POCZĄTKI WIARY W ZMARTWYCHWSTANIE JEZUSA. OD REIMARUSA DO RATZINGERA/BENEDYKTA XVI

Pracownia Mitopoetyki
i Filozofii Literatury
Uniwersytetu Zielonogórskiego,
Zielona Góra 2022

Książek teologicznych tego kalibru nie powstaje w Polsce wiele. Dlatego jury nie mogło

przeoczyć potężnej, liczącej blisko 900 stron monografii, poświęconej sporom, jakie toczyły się i toczą w obrębie teologii chrześcijańskiej o... rozumienie zmartwychwstania Jezusa. Ks. Eligiusz Piotrowski, dogmatyk, wykładowca Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, rzetelnie i z pasją referuje w niej poglądy ponad setki teologów zajmujących się tym problemem, by na końcu przedstawić pogląd własny.

Czym właściwie jest Zmartwychwstanie? Jak rodziła się wiara, że Jezus zmartwychwstał, i jak rozumiano samo to pojęcie? Pytania takie pojawiły się w teologii przeszło dwieście lat temu wraz z nowymi badaniami na Biblią, a kiedy już się pojawiły, wywołały lawinę rozpraw na ten temat. „Mimo prostoty i obrazowości ewangelijnych wypowiedzi wydarzenia te nie są wcale oczywiste”, mówił autor w wywiadzie dla miesięcznika „Znak”. Jego książka to fascynująca próba wnikięcia w tę niezwykle rozpalającą wyobraźnię problematykę.

W kategorii drugiej
za inicjatywy duszpasterskie i/lub społeczne będące działaniem według wartości głoszonych przez ks. Józefa Tischnera nominacje otrzymały:

Siostry dominikanki prowadzące w Broniszewicach Dom Chłopaków

Dom Chłopaków w Broniszewicach koło Pleszewa w województwie wielkopolskim to miejsce realnej pomocy i jednocześnie miejsce symboliczne. Dzięki dominikankom, które go prowadzą, 67 chłopców z głębokimi niepełnosprawnościami znalazło w nim życiową przystań. Obecnie zakonnice rozbudowują swoją placówkę, żeby przyjąć kolejnych mieszkańców.

Równocześnie jest to żywe świadectwo tego, że każde ludzkie życie zasługuje na uwagę, ochronę, czułość i że społeczeństwo, a w nim Kościół, powinno skupić się wokół tych, którzy wcześniej byli marginalizowani. Siostry nie boją się niekonwencjonalnych działań, żeby zainteresować innych tym, co robią. Jak piszą na swojej stronie internetowej, „chłopcy wraz z personelem tworzą niezwykłą i barwną wspólnotę składającą się z różnorodnych osób, opartą na prawie wzajemnego zrozumienia, szacunku i miłości”. Ich działalność zyskała powszechną sympatię u ludzi o bardzo różnych przekonaaniach. W świecie, w którym nie wiadomo, w co wierzyć i na czym się oprzeć, Dom Chłopaków to jeden z ważnych punktów orientacyjnych.

Anna Dymna

Dokładnie dwadzieścia lat temu założyła fundację pomagającą osobom z niepełnosprawnością intelektualną. Wybitna i popularna aktorka zdecydowała się połączyć działalność artystyczną z dobroczynną, tej ostatniej poświęcając się jako wolontariuszka. Do współpracy wciągnęła grono artystek i artystów, lekarzy i przedsiębiorców. Fundacja Anny Dymnej „Mimo Wszystko” udzieliła pomocy blisko czterdziestu tysiącom osób, stworzyła i prowadzi warsztaty terapii artystycznej i zajęciowej, organizuje konkursy i festiwale promujące twórczość osób z niepełnosprawnościami.

Ale Anna Dymna nie skupia się jedynie na działalności własnej fundacji. Wspiera również inne organizacje i akcje pomocowe, a w telewizyjnym programie „Spotkajmy się” od lat przedstawia ludzi zmagających się z różnymi przeszkodami zdrowotnymi i społecznymi. Dla wielu jest autorytetem i znakiem nadziei.

„Zalewają nas teraz potoki słów, wszyscy powiedzieli największe mądrości – mówiła w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”. – A są ludzie, którzy czekają tylko na to, by się przytulić i pomilczeć”.

Fundacja Folkowisko

Po agresji Rosji na Ukrainę wiele organizacji społecznych postanowiło skupić się na pomocy uchodźcom wojennym oraz osobom, które mimo zagrożenia zdecydowały się pozostać w swoich domach. Tak też stało się ze środowiskiem, które w marcu 2022 roku powołało Fundację Folkowisko, wcześniej skupionym na pielęgnowaniu i rozwijaniu wielokulturowego dziedzictwa wschodniej Polski.

Fundacja stała się jednym z najważniejszych ogniw w łańcuchu pomocy humanitarnej przekazywanej Ukrainie, nierzadko docierając z darami na tereny przyfrontowe. Jednocześnie poprzez rozmaite inicjatywy Folkowisko stara się budować głębsze więzi między Polakami i Ukraińcami. Temu celowi służy choćby działalność tzw. asystentów kultury. Fundacja działa dalekowzrocznie, wierząc, że bez dialogu, poznawania się i wspólnej pracy nad kulturą nie powstaną trwałe więzi łączące oba narody. W trudnym momencie, kiedy przybywa głosów kwestionujących zaangażowanie Polski po stronie Ukrainy, taka postawa jest bezcenna: rozbija „krzywe zwierciadła”, które pojawiają się między ludźmi.

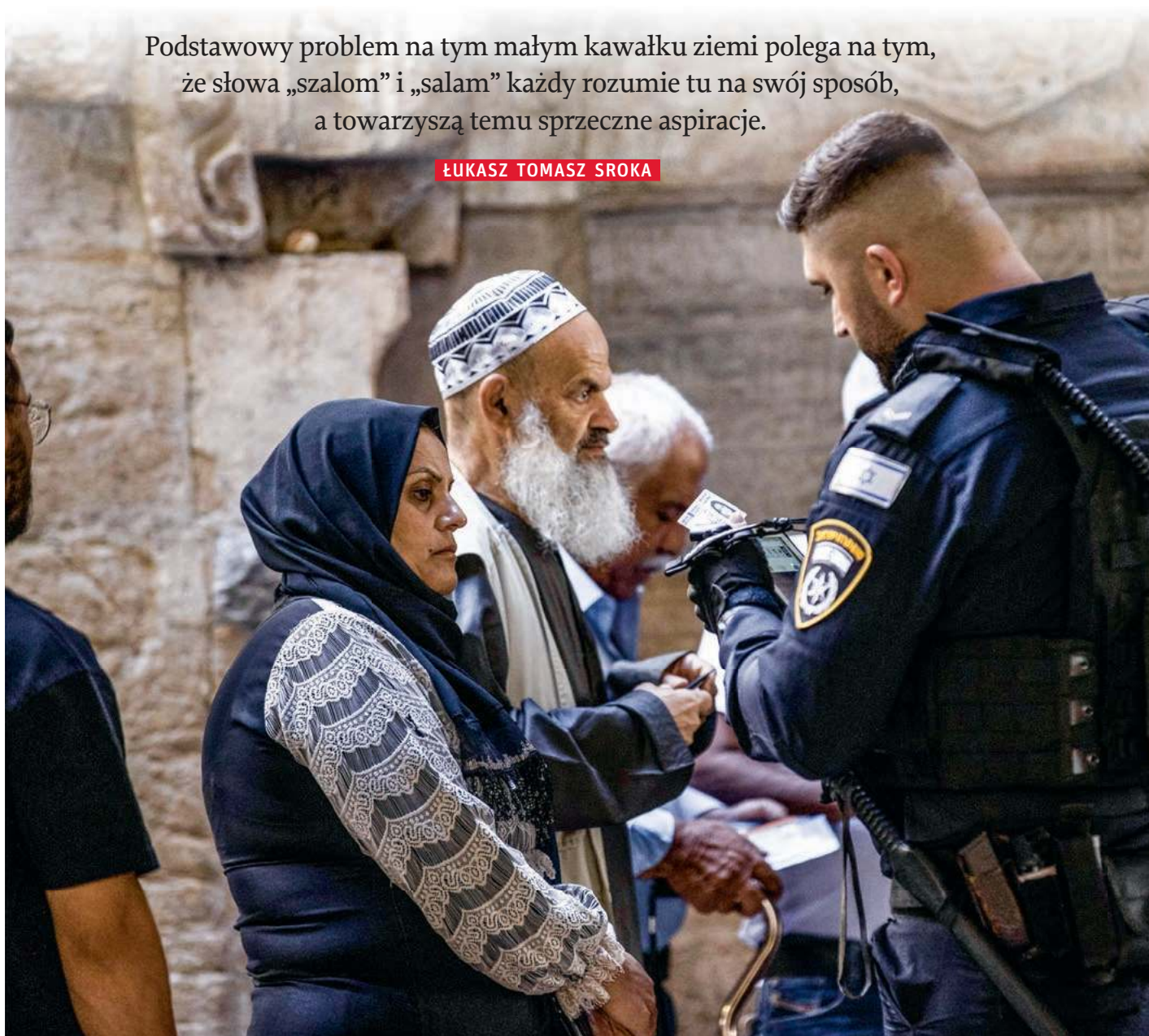
© WOJCIECH BONOWICZ

**Laureatów i Laureatki
poznamy podczas Gali, która
odbędzie się w czwartek
30 listopada 2023 r.
o godz. 18.00 w Nowohuckim
Centrum Kultury w Krakowie.**

IZRAEL–PALESTYŃCZYCY: WOJNA O POKÓJ

Podstawowy problem na tym małym kawałku ziemi polega na tym, że słowa „szalom” i „salam” każdy rozumie tu na swój sposób, a towarzyszą temu sprzeczne aspiracje.

ŁUKASZ TOMASZ SROKA



WIEM, ŻE SPOSÓB, W JAKI POŁĄCZY-
łem w tytule wojnę i pokój,
uznany zostanie za klasyczny oksymo-
ron. Wyruszamy jednak w podróż do
państwa i regionu, dla którego wszel-
kie sprzeczności są chlebem powsze-
dnym. Owszem, cały świat jest pełen roz-
dźwięków i różnic. Ale jeśli gdzieś jest
ich epicentrum, to właśnie tu, na Bliskim
Wschodzie, a szczególnie w Izraelu.

Zacznijmy od tego, że jeśli chcemy zro-
zumieć ów pionierski pod względem wy-
sokich technologii kraj, dumnie zwący
się „Start-Up Nation”, musimy sięgnąć aż

do czasów starożytnych, gdy pod napo-
rem Rzymian Żydzi stracili swe państwo.
Wiele trudu, ofiar i krwi kosztowało ich,
by spełniła się „nadzieja dwóch tysiącleci,
że będziemy wolnym narodem w naszej
ziemi, w kraju Syjonu i Jerozolimy”. To
fragment utworu „Hatikwa”, czyli „Na-
dzieja” – hymnu Izraela, który napisał
w 1878 r. poeta Naftali Herc Imber, pol-
ski Żyd urodzony w 1856 r. w Złoczowie
w Galicji.

UWIKŁANI W HISTORIĘ | Dokładnie rzecz
ujmując, marzenia te ziściły się 14 maja
1948 r., gdy w sali wystawowej telawiw-
skiego Muzeum Sztuki Dawid Ben Gu-
rion (urodzony pod nazwiskiem Grün
w 1886 r. w Płońsku) odczytał tekst de-
klaracji niepodległości Państwa Izraela
(hebr. *Medinat Israel*). Na pamiątkę tego
wydarzenia każdego roku celebrowane
jest państwowe święto Jom Ha-Acmaut
(Dzień Niepodległości).

Jednak polityka nie znosi próżni.
W różnych epokach zmieniali się panu-
jący w Ziemi Izraela (hebr. *Erec Israel*).
Żydzi nigdy nie opuścili jej całkowicie.
Najnowsze badania naukowe potwier-
dzają, że z kraju wypędzono jedynie elitę,
a pozostały masy ludowe. Po zniszczeniu
Jerozolimy żydowskie życie religijne za-
częło się rozwijać w Safedzie. Wkrótce
także Jerozolima odrodziła się jako ważny
ośrodek żydowski.

Wspólnoty żydowskie funkcjonowały
również w Hebronie, Jafie i wielu innych
miejscach Ziemi Izraela. Jednak pomię-
dzy brzegiem Morza Śródziemnego a Jor-
danem dominację polityczną, kulturową
i demograficzną zyskali w ciągu kolej-
nych wieków muzułmanie.

UWIKŁANI W HISTORIĘ | Najważniejsze
i najliczniejsze skupiska żydowskie zna-
lazły się natomiast w diasporze, czyli
w rozproszeniu w Europie, obu Amery-
kach i wielu innych miejscach świata.
Tam kwitło żydowskie życie intelek-
tualne, tam też w wieku XIX narodziła się
idea odrodzenia Izraela.

Idea syjonistyczna, by odbudować „ży-
dowską siedzibę narodową”, godziła w in-
teresy i aspiracje polityczne muzułmań-

skiej większości. Po II wojnie światowej
chcieli oni tu budować arabską Palestynę,
może nie tyle bez Żydów, co na pewno
bez ich odrębnego państwa. Odrzucili
zatem plan podziału spornego teryto-
rium na dwa państwa (większe arabskie
i mniejsze żydowskie), które zapropono-
wała Organizacja Narodów Zjednoczo-
nych. Przegrywając tym samym, jak się
wkrótce okazało, walkę o pełną stawkę.

Współcześni Arabowie z tego kawałka
świata, czyli Palestyńczycy, próbują cof-
nąć czas. Tego samego dnia, gdy Żydzi
świętują Dzień Niepodległości, obcho-
dzą Nakbę, czyli Dzień Katastrofy. Na
początku posłużyłem się zwrotem „Uwi-
kłani w historię”, którym nawiązuję do
wydanej w tym roku znakomitej książki
Waldemara Łazugi „Uwikłani w prze-
szłość”. Profesor Łazuga dowodzi, że jak-
kolwiek rozumiany powrót do normal-
ności w 1918 r., po 123 latach zniewolenia
Polski, nie był łatwy dla nikogo. Trzy de-
kady później do normalności miał wrócić
Izrael, tyle że po 2 tys. lat. To tym bardziej
nie mogło być łatwe.

WOJNA? KTÓRA WOJNA? | Pamiętam moje
wykłady dla studentów w Tel Awiwie
w 2016 r. Było to duże wyzwanie. Tuż
przed wyjściem na pierwsze zajęcia moja
przyjaciółka i koordynatorka Miriam po-
wiedziała: „Tak przy okazji, wśród stu-
dentów masz Żydów i Arabów”. Jedni
i drudzy wspaniali. W zasadzie to „jedni
i drudzy” jest tutaj nieadekwatne, bo tak
do końca nie wiedziałem, kto jest kim,
i po paru minutach zajęć uznałem, że
w sumie to nie ma znaczenia.

Po zajęciach długo o tym myślałem.
Dlaczego jest tak, że na sali wykładowej,
w sklepie, ośrodku zdrowia, szpitalu, ki-
nie, firmie, krótko mówiąc, w wielu dzie-
dzinach życia to, jakiej jesteś narodowo-
ści czy wyznania, nie ma większego lub
zgoła żadnego znaczenia, na co dzień zaś
kwestie narodowe i wyznaniowe w tak
fundamentalny sposób decydują o na-
szym życiu? Takie pytanie można sformu-
łować w dowolnym miejscu świata.
Ale to w Izraelu stoi za nim dramat ter-
roru i wojen.

Jeśli chodzi o kwestię wojen, to utkwiała
mi w pamięci sytuacja, gdy podczas zajęć
jedna ze studentek w pewnym momen-
cie zadała pytanie: kilka razy użyłeś poję-
cia „wojna”, ale o którą wojnę ci chodzi?
Uświadomiłem sobie, że w Polsce, gdy



MOSTAFA ALKHAROUF / ABACA PRESS / FORUM

*Izraelska policja kontroluje Palestyńczyków
idących na piątkową modlitwę do meczetu
Al-Aqsa na Wzgórzu Świątynnym
w Jerozolimie, 13 października 2023 r.*

→ używamy słów „przed wojną” i „po wojnie”, przeważnie mamy na myśli II wojnę światową (w każdym razie tak było przed agresją Rosji przeciw Ukrainie).

Tymczasem w Izraelu, który w tym roku obchodził 75-lecie istnienia, doszło do kilku „dużych” wojen (rok 1948, 1956, 1967, 1973, 1982, 2006) i dziesiątek operacji wojskowych. Wojna wypowiedziana przez Hamas Izraelowi 7 października jest więc siódmą z rzędu „dużą” wojną.

Średnio licząc, co 10 lat wybucha tu „duża wojna”, a niemal każdego dnia dochodzi do mniejszych potyczek, ataków czy zamachów terrorystycznych.

„POKÓJ WAM” | Jeśli przedstawiciele obu stron zapytamy, o co walczą, najczęściej usłyszymy, że... o pokój! Pokój jest tu odmienniany przez wszystkie przypadki. W języku hebrajskim *szalom* (pokój) to uniwersalne pozdrowienie o każdej porze dnia i nocy. Występuje też w złożeniu *szalom alejchem*, pokój wam. Ten zwrot ma odpowiednik w arabskim: *salam alejkum*.

Podstawowy problem polega na tym, że każdy rozumie tu pokój na swój sposób, a towarzyszą temu sprzeczne aspiracje. Dobrze widać to w Jerozolimie, która słowo „pokój” manifestuje już w swej nazwie. Wszak w hebrajskim Jerozolima, to *ir* (miasto) i *szalom*. Wyodrębnia się jeszcze trzeci człon, tj. *ir szalom el*, miasto pokoju Boga.

Mój przyjaciel Marcel Goldman (ur. 1926 r. w Krakowie), któremu poświęciłem biografię – ocalały z Holocaustu, ceniony ekonomista, który wybił się w bankowości, pisarz, zdeklarowany ateista – ma na ten temat (jak wielu innych zachowujących dystans do religii) odrębne zdanie. W jednym ze swoich utworów (opublikowanym w tomie wierszy „A w nocy przychodzą myśli”, wyd. Kraków 2012) stawia sprawę krótko i dobitnie: „Miasto pokoju – Puste słowa”. Píše też o gorliwych wyznawcach trzech religii objawionych: „A u większości / Ich wszystkich / Jest miód na języku, / Ale nienawiść w sercu”.

Kwestie historyczne i religijne mają przełożenie na bieżącą politykę. Dla Żydów jest oczywiste, że Jerozolima to ich „wieczna stolica”. Arabowie są przekonani, że Jerozolima powinna być stolicą niepodległej Palestyny. Czy tak sprzeczne racje można pogodzić?



Ratownicy medyczni i mieszkańcy Tel Awiwu chwilę po uderzeniu na miasto rakiet wystrzelonych przez Hamas, 7 października 2023 r.

ŚWIĘTE WZGÓRZE NIEZGODY | W centrum Jerozolimy znajduje się sporne Wzgórze Świątynne, na którym są meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, zbudowane w miejscu, skąd zdaniem muzułmanów archanioł Gabriel zabrał proroka Mahometa do nieba. Jerozolima jest trzecim najświętszym miejscem islamu, po Mekce i Medynie. Ale zanim Jerozolima zyskała tak wysoki status wśród muzułmanów, wcześniej była już świętym miastem judaizmu i chrześcijaństwa. Na Wzgórzu Świątynnym znajdowała się słynna Świątynia Jerozolimska.

Dziś o Wzgórze Świątynne toczy się nieustanny spór. Przypomnijmy, że 28 września 2000 r. wybuchła Intifada Al-Aksa, druga intifada Palestyńczyków przeciw władzom Izraela, którą sprowokowała wizyta na Wzgórzu Świątynnym generała Ariela Szarona, wówczas lidera prawicowej partii Likud, późniejszego premiera. W styczniu 2023 r. Wzgórze odwiedził izraelski minister spraw wewnętrznych Itamar Ben Gwir, lider skrajnie prawicowej partii Żydowska Siła.

Izraelczycy wprawdzie nie odmawiają muzułmanom prawa do swobodnego dysponowania meczetem Al-Aksa, ale część z nich (na pewno ci o usposobieniu narodowym i religijnym) nie godzi się na to, aby byli oni wyłącznymi gospodarzami całego Wzgórza Świątynnego.

Dodajmy, że u jego stóp znajduje się Ściana Zachodnia (hebr. *Kotel ha-Ma-arawi*). Upowszechniła się też nazwa

Ściana Płaczu, ale przestałem ją stosować, odkąd przyjaciele w Izraelu uświadomili mnie, że ma ona dla nich konotacje antysemickie. Niezależnie jednak od tego, którą nazwą się posłużymy, mówimy o przestrzeni świętej dla wyznawców judaizmu, wierzących, że Bóg nigdy nie opuścił tego miejsca.

To przeświadczenie nie jest obce również chrześcijanom, co poświadczają modlitwy złożone tu przez papieży Jana Pawła II, a następnie Benedykta XVI.

POWTARZAJĄCA SIĘ SEKWENCJA | Na początku tego roku już nie tylko muzułmanie, ale też przedstawiciele Białego Domu przestrzegali stronę izraelską i samego ministra Ben Gwira, aby przemyślał swoje zamiary, bo niechybnie doprowadzą one do eskalacji napięcia. Wizyta jednak się odbyła, a Ben Gwir przybył tu jeszcze dwukrotnie. Każda z tych wizyt spotkała się z międzynarodową krytyką, gdyż w pewien sposób naruszała kruche *status quo*. Wydawać się jednak mogło, że to tylko słowa...

Poza wszelką dyskusję jest to, że żaden spór, czy to polityczny, czy religijny, nie powinien znaleźć ujścia w mordowaniu cywilów, kobiet i mężczyzn, dzieci, starców. Dokonana przez terrorystów z Hamasu masakra Żydów (szczegóły są tak drastyczne, że nie wazę się ich opisywać) to „czyste zło”, jak określił ich zbrodnie prezydent USA Joe Biden, nie mają żadnego usprawiedliwienia. Są one drama-



MOHAMMED ABED / AFP / EAST NEWS

*Palestyńczycy uciekają z miasta Gaza po izraelskich atakach odwetowych,
7 października 2023 r.*

tem Izraelczyków, jednak jeszcze większe ich konsekwencje poniosą sami Palestyńczycy.

Jest to swego rodzaju powtarzająca się sekwencja: Palestyńczycy atakują, przeżywają krótką ekstazę wynikającą z odniesionych na pierwszym etapie „sukcesów”, a później następuje odwet Izraela.

SUKCES Z KONSEKWENCJAMI | Nieco odmienny przebieg towarzyszył wojnie sześciodniowej (5-10 czerwca 1967 r.). Zapoczątkował ją Izrael, choć powszechnie wiadomo, że miała charakter wyprzedzający, gdyż przywódcy Egiptu i Syrii, jak też kilku innych państw regionu zapowiadali Żydom, że „zepchną ich do morza”. Pisząc wprost, szykowali Izraelowi powtórkę Holokaustu. Rząd izraelski wyciągnął z tego wnioski i uderzył pierwszy.

Siły Obrony Izraela (hebr. skrót *Cahal*) odniosły wtedy spektakularny sukces. Izrael zyskał status regionalnego mocarstwa. Państwo i jego mieszkańcy nabrali pewności siebie. Napłynęły inwestycje zagraniczne. Pierwszy raz w historii Izraela nastąpiła ekonomiczna *prosperity*, i to na dużą skalę.

Przyjmuje się, że właśnie ten oszałamiający sukces, a następnie pycha i przekonanie o własnej świetności leżały u podstaw zagrożenia egzystencjalnego, które przyniosła wojna Jom Kipur (6-25 października 1973 r.). Mówi się też o uśpieniu czujności Izraela, który został

zaatakowany przez wojska Egiptu i Syrii nieprzypadkowo w to jedno z największych świąt żydowskich. Wielu żołnierzy było na przepustkach w domach, panowało ogólne rozprężenie służb. Musiało minąć trochę czasu, zanim rząd, służby specjalne i wojsko opanowały sytuację i przeszły do kontrataku.

HISTORYCZNE ANALOGIE | Ta historia powtórzyła się dziś, niemal dokładnie w 50. rocznicę wybuchu wojny Jom Kipur (co nie musi być przypadkiem). W analizach dotyczących przyczyn, przebiegu i skutków tamtej wojny często gubi się jeden element, który jest krępujący dla świata. Otóż Izrael nigdy nie cieszył się nadmiarem empatii ze strony międzynarodowej opinii publicznej. Po wojnie sześciodniowej stopniała ona jeszcze bardziej.

Miażdżące zwycięstwo Cahalu z 1967 r. sprawiło, że Izrael zaczęto traktować jako siłę dominującą. Wskutek tego zaczęto wymagać od władz tego państwa, by mając przewagę, nie wykorzystywały jej do „niewspółmiernych w stosunku do zagrożenia” uderzeń odwetowych. Co do ataków wyprzedzających wyrozumiałość świata wygasła już całkowicie. Niektóre rządy państw Zachodu wprost zastrzegły: jeśli Izrael znów okaże się stroną atakującą, zawiesimy wspólne projekty i wprowadzimy embargo na broń oraz amunicję. To (także) dlatego rząd premier Goldy Meir, choć wiedział o plano-

wanym ataku, nie zdobył się na to, by uderzyć pierwszy.

Teraz mnożą się spekulacje, jak to jest, że tajne służby – Mosad, Aman, Szin Bet – miały tyle sygnałów o wrogich zamiarach Hamasu i nie zareagowały. Tylko jak miały reagować? Wysłać do Gazy notę protestacyjną czy od razu czołgi? A zatem izraelskie służby i wojsko musiałyby zachować permanentną gotowość bojową, ale każdy, kto ma choć mgliste pojęcie o tej materii, wie, że to niemożliwe. Ktorego dnia „przyśniesz”.

DYLEMAT ODWETU | Izraelczycy „przyśnęli” 7 października 2023 r. Przebudziły ich strzały i syreny. Przeszli do kontrofensywy. W mediach polskich i międzynarodowych można przeczytać już komentarze, że ich reakcja jest ponad miarę, że giną niewinni Palestyńczycy. Zdarza się i taki komentarz: „Nie odmawiam Żydom prawa do życia i obrony, ale...”.

Każdy człowiek jest tak samo ważny, niezależnie, Żyd czy Palestyńczyk. Tylko co robić, gdy Hamas ustawia wyrzutnie rakiet na dachach szkół? Co robić, gdy swe centra dowodzenia umieszcza w podziemiach szpitali? Wychodząc na przeciw tej sytuacji, izraelski przemysł zbrojeniowy wyspecjalizował się w produkcji precyzyjnie naprowadzanych rakiet. W warunkach niezwykle gęstej zabudowy w Gazie niewiele to jednak daje.

Dlatego gdy Izrael chlubi się, że ma „najbardziej humanitarną armię świata”, wielu reaguje śmiechem. Zestawienie słów „humanitarna” i „armia” wydaje się oksymoronem. Proszę jednak wskazać drugą armię świata, która przed atakiem wysyła ostrzegające esemesy do cywilów.

Powściągliwość władz kosztuje życie Izraelczyków. Wojna Jom Kipur pochłonęła 2,5-3 tys. zabitych. Wtedy to po raz pierwszy w historii współczesnego Izraela podłamany został autorytet państwa, a może nie tyle państwa, co przywódców.

Lili Haber (ur. 1947 r. w Krakowie, przewodnicząca Związku Krakowian w Izraelu, zaangażowana w dialog polsko-żydowski i polsko-izraelski), oceniała: „Wojna Jom Kipur przerwała bieg życia wielu osób, także mojego i moich najbliższych, i zakłóciła istniejący porządek. Wcześniej byłam pewna, że liderzy wiedzą, co robią. Od tego czasu jestem pewna, że nie wiedzą”. Wojna Jom Kipur stała się doświadczeniem pokoleniowym

→ (co zobrazowano w serialu „Dolina łez” z 2020 r.).

IZRAEL SIĘ ZMIENIA | Z każdej wojny izraelskie państwo i społeczeństwo wychodziły odmienione. A w ostatnich miesiącach dodatkowo dała o sobie znać polaryzacja społeczeństwa. W stołecznej Jerozolimie, w Tel Awiwie i innych ośrodkach doszło do manifestacji setek tysięcy (w niespełna 10-milionowym kraju) przeciwników reformy wymiaru sprawiedliwości realizowanej przez rząd Netanjahu. Na ulicę wyszli nie tylko przeciwnicy premiera i jego projektu, ale też ci, którzy przede wszystkim obawiają się ugrupowań ultrapravicowych i ultraortodoksyjnych, mających coraz większy wpływ na politykę państwa.

Polaryzacja ta przesłania zewnętrznym obserwatorom skomplikowaną sytuację wewnętrzną, na którą wpływ mają też czynniki ekonomiczne. Izrael zajął niechlubną czołówkę pośród najwyższej rozwiniętych państw świata, w których rozwarcie się „nożyc” dochodowych postępuje najszybciej. Nie wszyscy mogą bowiem pracować w sektorze wysokich technologii. Nie każdy ma pomysł na dochodowy start-up. O tych ludziach lewica i centrum zapomniały.

Z drugiej strony, wskutek trendów demograficznych społeczność ortodoksów i ultraortodoksów jest coraz liczniejsza. Stanowi już nie marginalną, lecz coraz bardziej znaczącą część elektoratu. Do głosu dochodzą też kolejne pokolenia Żydów orientalnych (hebr. *Mizrachi*, dosłownie Wschodni), którzy mają poczucie, że ich rodzice i dziadkowie zostali w Izraelu zmarginalizowani.

ODSUNIĘTE PROBLEMY | Wszyscy oni żyją jednak w państwie, którego zasady funkcjonowania jak dotąd wyznaczali świeccy i liberalni Żydzi europejscy. Przeglądając się polskim i światowym nagłówkom, można było odnieść wrażenie, że sprawa jest prosta: wystarczy, żeby Benjamin Netanjahu odszedł z polityki. Wczytując się jednak w prasę izraelską, oglądając tutejszą telewizję i przysłuchując się radiu, dowiadujemy się szybko, że nie są to tak proste sprawy, jak wydaje się większości mainstreamowych komentatorów.

Porą wieczorową i nocą, gdy piszę swoje prace naukowe, słucham niemal wyłącznie radia izraelskiego. Z uwagi na

Skala masakry na Izraelczykach sprawia, że tę wojnę traktuje się w Izraelu nie jako jedną z operacji przeciw Hamasowi, lecz konflikt egzystencjalny.

upodobania muzyczne, ustawiam głównie te stacje radiowe, które kierują swą ofertą do *Mizrachi*. Emitowane są tam również audycje publicystyczne, dzwonią słuchacze. Widać, jak wiele po ich stronie jest rozżalenia, bólu. Czuli się dotąd w swym państwie niedoceniani i nieszanowani. Wojna być może na pewien czas odsunie na bok te problemy, ale ich nie rozwiąże. Powrócą one po jej zakończeniu bardzo szybko.

Skala masakry na Izraelczykach jest tak duża, że w Izraelu tę wojnę traktuje się nie jako jedną z operacji przeciw Hamasowi, ale wojnę o charakterze egzystencjalnym. Obudziła się izraelska psyche, mówiąca o konieczności walki o przetrwanie.

Najlepsze pióra głównych tytułów prasowych w Izraelu kalkulują, że Netanjahu będzie próbował wyjść cało z opresji. W Polsce Konstanty Gebert wyraził obawy, że choć jego odejście wydaje się przesądzone, nie oznacza to otwarcia drogi do przejścia władzy przez demokratyczną opozycję. Na czoło mogą się wysunąć partie skrajnie prawicowe i ultrareliigijne. Podzielam ten niepokój.

ZAPOMNIANA ROCZNICA | O ile w mediach wielu komentatorów dostrzegło, że obecna wojna wybuchła niemal w 50. rocznicę wojny Jom Kipur, to z niewielkim zainteresowaniem spotkała się 30. rocznica porozumień izraelsko-palestyńskich, które zawarto w Oslo, a podpisano 13 września 1993 r. w Waszyngtonie.

Sygnatariuszami tego historycznego porozumienia byli minister spraw zagranicznych Izraela Szymon Peres i urzędnik ds. polityki zagranicznej Organizacji Wyzwolenia Palestyny Mahmoud Abbas. Po tym uroczystym akcie w ogrodach Białego Domu uściskali sobie dłonie premier Izraela Icchak Rabin i Jasir Arafat, lider OWP. Patronował temu prezydent USA Bill Clinton. Tak naprawdę porozumie-

nia te miały nie tyle wieńczyć drogę do pokoju, ale ją na dobre zapoczątkować. U kresu tej drogi miało stanąć rozwiązanie dwupaństwowe.

Ciosy wymierzone w tamte porozumienia zaczęto zadawać już wkrótce po ich podpisaniu. Dodajmy uczciwie, że pałły z obu stron konfliktu. Wbrew oczekiwaniom terror palestyński nie ustał. Izraelczycy poczuli się zawiedzeni i oszukani. Wiele położyli na szali, nic nie otrzymując w zamian. Krwawy rachunek wystawiono Icchakowi Rabinowi, którego 4 listopada 1995 r. (notabene po demonstracji pokojowej) zamordował ultrapravicowy ekstremista żydowski Jigal Amir, wywodzący się ze środowiska politycznego, do którego blisko wspomnianemu już ministrowi Itamarowi Ben Gwirowi. Potem były kolejne wydarzenia, zamachy, uderzenia odwetowe itd., itp.

CO DALEJ | Paradoksalnie jednak, przeżywany w tych dniach wstrząs otwiera nową perspektywę. Nie wiemy jeszcze, na jak dużą skalę rozwinie się wojna. Przyjdzie jednak czas na rokowania pokojowe. Klimat polityczny Bliskiego Wschodu jest taki, że autorytetem cieszy się tylko silny. Jeśli Izrael dowiedzie swej siły, to znów będzie mógł wykazać inicjatywę pokojową.

Zważmy, że w przeszłości najdalej posunęli do przodu sprawę pokoju izraelscy wojskowi, charyzmatyczni liderzy i silne osobowości, jak Menachem Begin, Ariel Szaron czy Icchak Rabin. Tego ostatniego zapamiętaliśmy przede wszystkim jako współautora rzeczonych porozumień pokojowych. Ale zanim to nastąpiło, służył on w wojsku, doszedł do stopnia generała, w latach 1964-68 był szefem Sztabu Generalnego.

Wojna toczy się więc o pokój, nawet jeśli dla kogoś zabrzmi to dwuznacznie.

Zważmy jednak, że na Bliskim Wschodzie tych dwuznaczności jest znacznie więcej. ©

PROF. ŁUKASZ TOMASZ SROKA jest historykiem, pracuje na Uniwersytecie Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Specjalizuje się w historii Żydów i Galicji oraz historii i współczesności Izraela. Autor książek, m.in.: „Polskie korzenie Izraela”, „Tel Awiw. Nowoczesne miasto starożytnego narodu”. Wkrótce ukaże się „Lili Haber. Drugie pokolenie po Holokauście w Izraelu. Narodziny nowego narodu”.



TOSHIYUKI FUKUSHIMA / AP / EAST NEWS

Komisariat policji zniszczony przez bojowników Hamasu w Sderot w południowym Izraelu, 11 października 2023 r.

Czeka nas długa wojna

AVI ISSACHAROFF,
IZRAELSKI DZIENNIKARZ
SPECJALIZUJĄCY SIĘ W TEMATYCE
PALESTYŃSKIEJ, TWÓRCA SERIALU
„FAUDA”:

Nie wierzyłem, że Hamas będzie zdolny do takiego okrucieństwa. W konsekwencji ludzie w Gazie będą teraz bardzo cierpieć.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Wracasz właśnie z południa Izraela, z miejscowości położonych w pasie tuż przy Strefie Gazy, których ludność została w ostatnich dniach brutalnie wymordowana przez Hamas. Co tam zobaczyłeś?

AVI ISSACHAROFF: Zobaczyłem strefę wojny, we wszelkim znaczeniu tych słów. Odwiedziłem obszar miejscowości Mefalsim, Sderot, Gevim, Nir Am.

W ciągu jednego dnia całe wioski i kibuce praktycznie zniknęły, nie ma tam żywego ducha. Mefalsim jest prawie całkiem puste, Sderot wygląda jak wymarłe miasto. Muszę przyznać, że robiłem wcześniej korespondencje wojenne z wielu miejsc, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Nie wierzyłem, że Hamas będzie zdolny do takiego okrucieństwa. To, co zobaczyłem, przerosło wydumane scenariusze filmowe.

Jak oceniasz sytuację, w której w tej chwili znajduje się Izrael?

Niewątpliwie wkraczamy w długą wojnę o szerokim zasięgu, która skończy się zapewne jakimś militarnym osiągnięciem Izraela. Ale nic, co się od tego momentu wydarzy, nie zmieni już tego, co tu się stało 7 października. To wielka blizna, która Izraelowi będzie towarzyszyć przez długie lata. W szerokim kontekście, bo mam tu na myśli również jakikolwiek powrót do tematu ewentualnego pokojowego układu ze stroną palestyńską, zachowania *status quo* i tak dalej.

Muszę zadać pytanie, na które wszyscy od soboty szukamy odpowiedzi: jak to się stało, że izraelski rząd, premier, jedna z najsilniejszych

armii na świecie, wywiad, uznawany za jeden z lepszych – że to wszystko zawiodło i Hamas był w stanie zaatakować z taką siłą?

Na ten moment wciąż nie wiemy, co się stało. Sam jestem zdezorientowany, nie mam pojęcia, jak to było możliwe, że nie wiedzieliśmy o tych planach. Z pewnością jednak będziemy się domagać odpowiedzi na to pytanie.

Na wojsku i wywiadzie opiera się całe izraelskie poczucie bezpieczeństwa. Obywatele darzą te instytucje wielkim zaufaniem, to dzięki nim byli w stanie zakładać rodziny, mieszkać i pracować nawet blisko Strefy Gazy. W sobotę całe to poczucie bezpieczeństwa legło w gruzach.

Absolutnie tak! Szczególnie myślę tu o ludziach, którzy mieszkają na południu kraju. Dziś czują się opuszczeni, zlekceważeni, słabi, zdezorientowani. Jest im głupio, że powierzyli swoje życie decyzjom tego rządu, tego państwa, że uwierzyli w ich ochronę. Ale również dla mnie, dla mojego otoczenia, to wydarzenie kwestionuje sposób, w jaki dotąd patrzyliśmy na władzę i wojsko. To ogromny kryzys dla całego społeczeństwa.

→ Co ta sytuacja oznacza dla Izraelczyków? Koniec Izraela, jaki znaliśmy?

Nie. Na pewno to koniec reżimu Hamasu w Gazie. Oczywiście, w kraju zacznie się teraz wielkie zamieszanie, ludzie zaczną podawać w wątpliwość działania rządu – i tak już przecież robią to od wielu miesięcy – ale teraz także i działania wojska. Jednak największym poparciem będzie się cieszyć idea całkowitego zniszczenia i usunięcia Hamasu z Gazy.

Wspomniałeś o antyrządowych protestach, które od wielu miesięcy przetaczają się przez kraj. Moją uwagę przykuwa fakt, że one niemal w ogóle nie odnosiły się do kwestii porozumienia pokojowego z Palestyńczykami. Gigantyczny sprzeciw budziła reforma sądownictwa prowadzona przez rząd Netanjahu. Ale to, co się działo z Palestyńczykami – wśród których rośnie już kolejne pokolenie ludzi przekonanych o tym, że Izraelczyk to żołnierz i okupant, i że nie widać żadnych szans na zmianę – właściwie nie było tematem.

Bo wielu Izraelczyków po prostu nie wierzy w pokój z Palestyńczykami. Nie odróżniają ani Hamasu od Fatahu [Palestyński Ruch Wyzwolenia Narodowego, organizacja polityczno-wojskowa założona w 1958 r.; po podpisaniu porozumień izraelsko-palestyńskich w 1993 r. Fatah zdominował struktury powstałej wówczas Autonomii Palestyńskiej i rzą-



JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

AVI ISSACHAROFF (ur. 1973 w Jerozolimie) jest dziennikarzem izraelskiego radia i prasy, m.in. „Times of Israel” i „Haaretz”, gdzie zajmuje się tematyką palestyńską. Podczas służby wojskowej był żołnierzem „Jednostki 271” – oddziału komandosów, który prowadzi m.in. tajne operacje na terenach arabskich. Współautor książki „The Seventh War” (o drugiej palestyńskiej intifadzie) i autor książki „34 Days: Israel, Hezbollah and the War in Lebanon” (o wojnie izraelsko-libańskiej w 2006 r.). Współtwórca serialu „Fauda”, który opowiada o działalności izraelskiego wywiadu i sił specjalnych na terenach palestyńskich.

dzi dziś na Zachodnim Brzegu Jordanu – red.], ani Strefy Gazy od Zachodniego Brzegu. Dla nich Palestyńczycy to Arabowie – i wiadomo, że z nimi pokoju nie będzie. Dla mnie z kolei jest oczywiste, że rząd izraelski celowo wzmacniał Hamas, aby osłabić Fatah, i właśnie w ten sposób oddalić wizję pokoju.

Nie za wcześnie na pytanie, co będzie dalej?

Nie wiem. Jestem pewien, że w ciągu najbliższych tygodni ludzie w Gazie będą bardzo cierpieć. Izrael zbombarduje każde miejsce, w którym znajduje się Hamas – czy to będzie lider polityczny, czy militarny, czy też bojownik. Zabije ich, wypłeni do cna, upewni się dwa razy, że po Hamasie nic nie zostało. Ta operacja będzie kosztowała życie wielu niewinnych Palestyńczyków i zrujnuje Gazę. Nie mówię tu tylko o atakach lotniczych, ale też o artylerii, która już wkroczyła do akcji. Tak wiele lat słyszeliśmy, jak ludzie oskarżali Izrael o obleganie Gazy. To nie była prawda – dopiero teraz, w tym najbliższym czasie, zobaczymy naprawdę, czym jest oblężenie. Życie ludzi w Gazie będzie teraz bardzo ciężkie.

Moglibyśmy rozmawiać teraz o Twoich filmach, a jednak musimy rozmawiać o czymś zupełnie innym. Wróciłeś teraz do dziennikarstwa.

Do ostatniego tygodnia byłem zajęty pisaniem nowych scenariuszy do filmów i programów. Ale wróciłem do dziennikarstwa w ostatnich dniach.

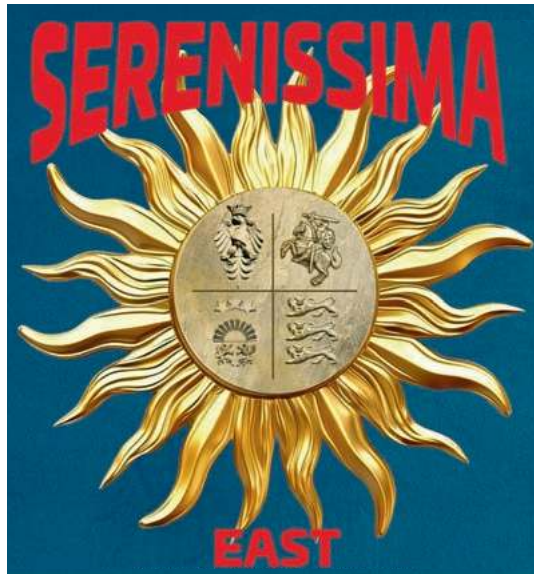
Bo kochasz wojnę?

Bynajmniej! Kocham pracę dziennikarza. Ale nie mam wątpliwości, że to, co zobaczyłem na południu, będzie miało wpływ na moje przyszłe scenariusze filmowe.

© Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

REKLAMA



SERENISSIMA EAST
SZTUKA POLSKA, LITEWSKA, ŁOTEWSKA
I ESTOŃSKA OD OK. 1990 DO DZISIAJ



Wystawa w CSW Znaki Czasu w Toruniu
20.10 – 31.12.2023

Ikona sztuki współczesnej **Andrzej Wróblewski** (PL), urodzony w Wilnie **Jonas Gasiūnas** (LT) – jeden z najoryginalniejszych malarzy europejskich, **Kaido Ole** (EST) – profesor ASP w Tallinie, bliski konceptualizmowi, **Kristaps Zarins** (LV) i **Andris Vitolins** (LV) – profesorowie, odpowiednio: rektor i prorektor Łotewskiej Akademii Sztuki w Rydze, **Eugeniusz Minciel** (PL) – abstrakcjonista konkretny, klasycy: **Jan Dobkowski** (PL) i **Tomasz Ciecierski** (PL), **Egle Ridigaitė** (LT) – tworząca monumentalne obrazy na płótnach bezpośrednio mocowanych do ścian galerii, klasyk z Nowego Jorku **Kestutis Zapkus** (LT). A także: plakaty, rzeźby, wideo oraz instalacje.



PCK RAFFINERIE GMBH / MATERIAŁ PRASOWY

Rafineria ropy naftowej PCK w Schwedt, 27 września 2023 r.

Wodór zamiast ropy

AGNIESZKA ZIELIŃSKA ZE SCHWEDT NAD ODRĄ (NIEMCY)

Unijne embargo na rosyjski surowiec podzieliło niemieckie miasto Schwedt – miejscowa rafineria była zależna od Rosji. Embargo sprawiło, że zaczęła się tu zielona transformacja. A co na to mieszkańcy?

NA POCZĄTKU DEPTAKA PRZY PLACU Vierradener, obok fontanny przed kościołem, gwarno robi się w pół do szóstej rano.

Mimo wysokich temperatur w ciągu dnia wczesnojesienne poranki są już chłodne. Nie zniechęca to jednak mieszkańców tego 35-tysięcznego miasta położonego kilka kilometrów od granicy z Polską. Na placu dostawiane są kolejne krzesła dla publiczności.

Ci, którzy docierają na rynek o tak wczesnej porze, mogą nie zauważyć odnowionych kamienic, bogato zdobionych i pomalowanych w całą gamę kolorów. Mimo półmroku część placu jest jednak mocno oświetlona. Punktualnie o szóstej

słyszemy: „Dzień dobry ze Schwedt!”. To sygnał porannego magazynu telewizji publicznej ZDF.

DROŻSZA ROPA | W latach 60. ubiegłego wieku, gdy ta część Niemiec należała do komunistycznej NRD, Schwedt rozrosło się dzięki przemysłowi papierniczemu i naftowemu. I tak to trwało, również po zjednoczeniu Niemiec – tutejsza rafineria PCK przetrwała i stała się głównym pracodawcą.

Niegdyś spokojne i bezpieczne życie miasta zakłóciła dopiero rosyjska agresja na Ukrainę. A ściślej: będące jej skutkiem unijne embargo na rosyjską ropy. Rurociąg, który dostarczał tu surowiec

z syberyjskich pól naftowych, z błogosławieństwa stał się przekleństwem – i podzielił mieszkańców. Dlatego telewizja ZDF, publiczny nadawca, zorganizowała debatę z udziałem lokalnych polityków, aktywistów i pracowników rafinerii.

„Embargo to decyzja Unii Europejskiej i nie wszystkie kraje się jej podporządkowały [np. ok. 80 proc. importowanej na Węgry ropy pochodzi z Rosji – red.]. Embargo przynosi więcej krzywdy nam niż Rosjanom. To my musimy kupować droższą ropy” – przekonuje podczas programu Peggy Lindemann, chemiczka, która od ponad 20 lat pracuje w rafinerii PCK. Jest też działaczką skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD).

„NIE” DLA EMBARGA | Słowa krytyki wobec unijnego zakazu płyną też od przedsiębiorców z powiatu Uckermark, do którego należy Schwedt. „Czuję się zdradzony i sprzedany przez rząd w Berlinie” – mówi Steffen Knauth, właściciel małej firmy ze Schwedt. Choć przyznaje, że Rosja jest agresorem, to jego zdaniem embargo naraża miasto, bo przecież „cały region żyje z ropy naftowej”.

Embargo oznacza „zniszczenie taniego, niezawodnego systemu dostaw, dając

→ nam jednocześnie złudzenie, że robimy coś, by zakończyć wojnę” – przekonuje z kolei Gabriele Manteufel, dyrektorka Oder Gas, małej rodzinnej firmy utworzonej po zburzeniu muru berlińskiego. Jej przedsiębiorstwo kupuje w rafinerii propan, produkt uboczny ropy.

WYGWIZDANY MINISTER | Debata na rynku odbywa się rok po tym, gdy w mieście doszło do jednych z największych protestów przeciw embargo. Na czele demonstracji stanęła 62-letnia wówczas okulistka Konstanze Fischer, wysoka kobieta z burzą loków. To ona organizowała protesty w czerwcu 2022 r. podczas wiecu z udziałem Roberta Habecka, ministra gospodarki i klimatu z partii Zielonych.

Habeck obiecywał pomoc od państwa na rzecz dalszego funkcjonowania rafinerii. Mówił: „Pomoc będzie udzielana tak długo, aż rafineria stanie na własnych nogach”. Był jednak zakrzykiwany i wygwizdywany przez 4 tysiące zebranych. Demonstrujący mieli transparent: „Zieloni na front wschodni!” – nawiązanie do postawy polityków tej partii, którzy jako jedni z pierwszych w Niemczech opowiedzieli się za udzieleniem Ukrainie pomocy militarnej (wtedy, na początku, wbrew ociągającemu się kanclerzowi Olafowi Scholzowi z SPD).

Nastroje były gorące, bo zakład jest w mieście największym pracodawcą. Premier Brandenburgii Dietmar Woidke (SPD) apelował wówczas o „gwarancje dla regionu i pracowników, że nie nastąpi załamanie strukturalne jak w latach 90. XX wieku”. Dodawał, że to „rząd federalny musi ponieść konsekwencje swoich politycznych decyzji”.

ROPA (NIE) ROSYJSKA | Jeszcze miesiąc po rosyjskiej inwazji aż 37 proc. ropy zużywanej w Niemczech pochodziło z Rosji. Wkrótce stało się jasne, że do końca 2022 r. trzeba będzie znaleźć nowych dostawców.

Embargo było wspólną decyzją państw Unii. Przyjęte na początku czerwca 2022 r., weszło w życie w grudniu. Początkowo dotyczyło tylko ropy dostarczanej z Rosji do Europy drogą morską (to 90 proc. dostaw), później rozszerzono je na produkty ropopochodne. Unia i USA zakazały też inwestowania w rosyjski sektor energetyczny i eksportu tam technologii.



Rybak **HELMUT ZAHN** z książką o granicy polsko-niemieckiej widzianej oczami ludzi z Niemiec i Polski, którzy obok niej żyją; Zahn jest jednym z jej bohaterów.

Rafineria w Schwedt, trzecia co do wielkości w Niemczech, sprowadza dziś ropę dzięki połączeniu z portem w Gdańsku, a także ropę z Kazachstanu (ok. 100 tys. ton miesięcznie) przez rurociąg „Przyjaźń”, który biegnie przez Rosję. Niemieckie euro nie płyną już bezpośrednio na konta firm rosyjskich, ale Kazachstan wciąż uiszcza Rosji opłaty przesyłowe za wykorzystywanie rurociągu.

– Ropa z Kazachstanu fizycznie może być rosyjska ze względu na to, że dociera do Niemiec przez Rosję, więc musi być mieszana w rosyjskim systemie przesyłowym i molekuły mogą być rosyjskie, choć na papierze mamy rozliczenie z Kazachami – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Wojciech Jakóbiak, redaktor naczelny portalu BiznesAlert.pl.

Dowodem na to mają być analizy kazachskiej ropy na polskim odcinku rurociągu „Przyjaźń”. – Ropa kazachska z tego rurociągu ma te same właściwości chemiczne co mieszanka rosyjska Rebco. Natomiast ropa kazachska, która dociera bezpośrednio do naftoportu w Gdańsku, a nie przez Rosję, ma inne właściwości chemiczne – dodaje Jakóbiak. Dlatego polskie ministerstwo klimatu domagało się kontroli przesyłanego przez Kazachstan surowca, ale Niemcy nie chcą się na to zgodzić.

W ramach 11. pakietu sankcyjnego Polska domagała się uzupełnienia przepisów o wymogi poświadczające auten-

tyczność ropy, która pochodzi z państwa trzeciego, a jest transportowana przez system rurociągów rosyjskich. Niemcy były przeciw takim zapisom i propozycje te zostały odrzucone podczas negocjacji.

NAJDROŻSZE PALIWO | Rafineria PCK w Schwedt ma ważne znaczenie dla regionu. Przed rosyjską inwazją na Ukrainę przetwarzała rocznie 12 mln ton ropy na benzynę, paliwo lotnicze, olej napędowy i opałowy. Zapewniała większość zaopatrzenia dla wschodnich Niemiec, a także do kilkunastu procent zaopatrzenia na terenie zachodniej Polski. Dziewięć na dziesięć aut w Berlinie i Brandenburgii jeździło na paliwie ze Schwedt.

Embargo i konieczność sprowadzania surowca z Kazachstanu spowodowały, że na początku 2023 r. rafineria wykorzystywała tylko połowę mocy przerobowych (teraz jest to 78 proc.). W styczniu 2023 r. boleśnie odczuli to mieszkańcy Schwedt: musieli głębiej sięgnąć do kieszeni podczas tankowania. Lokalna gazeta „Märkische Oderzeitung” donosiła, że najdroższe paliwo w całych Niemczech było właśnie w rejonie rafinerii PCK.

– Zmiana dostawcy ropy była dla nas ogromnym wyzwaniem, bo przez ostatnie 50 lat przywykliśmy do przerabiania innej ropy. Kanał dostaw się zmienił, jest bardziej skomplikowany niż wcześniej. Ale najważniejsze, że rafineria wciąż działa – mówi „Tygodnikowi” Ralf Schirer, dyrektor rafinerii.

KŁOPOTLIWA WŁASNOŚĆ | Tymczasem głównym udziałowcem w rafinerii PCK wciąż są Rosjanie. Choć ich prawa zostały ograniczone – do 10 marca 2024 r. nadzorować komisarycznie udziały rosyjskiej spółki będzie niemiecki rząd federalny.

Niemniej na papierze Rosjanie wciąż pozostają właścicielami – spółka Rosneft Germany posiada 37,5 proc. akcji w rafinerii. Dokładnie taki sam udział ma brytyjski Shell. Jednak koniec końców to Rosjanie mają pakiet kontrolny, a to za sprawą kolejnej spółki od nich zależnej – RN Refining & Marketing. Łączne udziały rosyjskich firm sięgają 54 proc.

Wśród zainteresowanych kupnem rosyjskich udziałów w rafinerii wymienia m.in. PKN Orlen. Mówił o tym prezes firmy Daniel Obajtek, zaznaczając, że Orlen może kupić udziały w rafinerii do-

piero, gdy rząd Niemiec zdecyduje się pozbyć Rosjan z jej akcjonariatu.

Przeciw sprzedaży rosyjskich udziałów jest wspomniana Peggy Lindemann, działaczka AfD. – Nie mam nic przeciwko Polsce, wielu Polaków pracuje w naszej rafinerii. Ojciec kolegi mojego syna mieszka w Polsce i codziennie przekracza most graniczny, by dojechać do pracy – mówi „Tygodnikowi”. – Ale nie chcę, żeby PCK sprzedano firmie polskiej czy jakiegokolwiek innej. Rafineria jest częścią miasta, jej działalność musi być stabilna i konkurencyjna, bo PCK finansuje w mieście programy sportowe, kulturalne i edukacyjne. Jeśli upadnie, upadnie całe miasto.

NAJSILNIEJSZA W LANDZIE | Alternatywa dla Niemiec jest dziś na czele sondaży poparcia w Brandenburgii. Gdyby wybory landowe odbyły się dziś, mogłaby tu liczyć na 32 proc. poparcia. Według tego sondażu (z 11 września, przeprowadzonego dla telewizji RBB na rok przed wyborami landowymi), na drugim miejscu plasuje się SPD (20 proc.), potem chadecka CDU (18 proc.) i Zieloni (8 proc.).

Wśród wschodnich landów Brandenburgia nie jest wyjątkiem – AfD zajmuje pierwsze miejsce w sondażach, uzyskując 32-33 proc. także w Saksonii, Turynii i Meklemburgii. Jedynie w Saksonii Anhalt wyprzedza ją nieznacznie chadecja (w skali całych Niemiec AfD ma 21-22 proc.). Zdaniem komentatorów, aby zdobyć tu poparcie, AfD wykorzystuje strach przed wojną lub, jak w Schwedt, przed zamknięciem największego tutaj pracodawcy.

STRACH PRZED POWTÓRKĄ | Obawy o losy rafinerii ma też rybak Helmut Zahn. Mieszka tuż przy moście na Odrze. Opowiada, że za młodu chciał zostać leśniczym, ale jego poglądy nie zgadzały się z linią partii komunistycznej. Nie ugiął się, nie został dopuszczony na studia rolnicze, więc został rybakim. Dziś, po 50 latach pracy, nie tęskni za wielkim światem, a na Odrze cieszy się przyrodą i wolnością.

Zahnowi nie podoba się, że wielki świat miesza się w ich lokalne sprawy. – Rosjanie mogą pozostać w rafinerii, są tu od lat. Dlaczego teraz miałoby się to zmienić? – pyta.

Jego zdaniem bojkot rosyjskiej ropy oznacza powtórkę z historii – kolejną próbę „dezindustrializacji wschodu”, do jakiej doszło po upadku muru berlińskiego w 1989 r. i zjednoczeniu Niemiec rok później. Z sentymentem wspomina czasy, gdy rurociąg „Przyjaźń” i rafineria rozślawiły NRD. Wspomina też autobusy pełne turystów, którzy zjeżdżali z całego Związku Sowieckiego, aby odwiedzić „modelowe socjalistyczne miasto”.

Sprywatyzowana po zjednoczeniu, rafineria PCK zatrudnia dziś tylko trochę ponad tysiąc pracowników – gdy w czasach NRD było to osiem tysięcy. Ale przetrwała i stała się jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Niemczech.

ZIELONY PROJEKT | Władze Brandenburgii koncentrują się teraz na zielonej transformacji rafinerii. – W styczniu 2024 r. otworzymy centrum treningowe, zatrudnimy 1200 nowych pracowników. Choć zielone transformacje zaczęły się wszędzie w Niemczech, to właśnie w Schwedt embargo na rosyjską ropę znacznie przyspieszyło ten proces – mówi „Tygodnikowi” Dietmar Woidke, premier Brandenburgii.

Ta część landu słynie z odnawialnych źródeł energii. W okolicy Schwedt jest 380 wiatraków. Mają pomóc rafinerii w wytwarzaniu paliwa lotniczego z wodoru.

Według projektu do 2045 r. rafineria miałaby produkować paliwa syntetyczne i biopaliwa. Produkcja ta ma się opierać na wykorzystaniu energii pochodzącej z wiatru i słońca – tak przekonuje film promujący projekt. Pod nagraniem umieszczono opis: „Aby chronić klimat i zapewnić bezpieczeństwo dostaw energii, Niemcy muszą uniezależnić się od paliw kopalnych. Zielony wodór jako substytut gazu ziemnego, ropy i węgla odgrywa decydującą rolę”.

Plany przewidują, że za cztery lata w Schwedt ma być produkowanych 30 tys. ton zielonego wodoru rocznie, a nadwyżka ciepła z jego produkcji ma trafiać do sieci ciepłowniczej miasta. I tak co kilka lat zakład planuje stopniowo zamieniać tradycyjne technologie na rzecz zielonych. Całość inwestycji do 2045 r. ma kosztować 15 mld euro.

ZMIANA NASTROJÓW | Głosów sprzeciwu mieszkańców wobec embargo dziś słychać jakby mniej. To zasługa także dy-

rektora artystycznego teatru Uckermarkische Bühnen w Schwedt. Andre Nicke regularnie zaprasza mieszkańców do swojego teatru na dyskusje o „zielonej” przyszłości miasta.

– Historia pokazuje, że zwykle zmiany przychodziły z zewnątrz i były nam narzucane. Chcemy, żeby ludzie zrozumieli, że w tym przypadku jest inaczej, mogą wziąć sprawy w swoje ręce i uczestniczyć w procesie ekologicznej transformacji, i że dzięki niej Schwedt może stać się naprawdę nowoczesnym miastem – przekonuje Nicke w rozmowie z „Tygodnikiem” po debacie na rynku, w której brał udział.

Herthę Schnurrer też spotykamy na rynku w dniu debaty. Nie bierze w niej udziału, ale przez trzy godziny przysłuchuje się z ciekawością. Dziś emerytowana przedszkolanka, 15 lat temu przeniosła się z zachodnich Niemiec do Schwedt. Jej mąż pracuje w miejscowej fabryce papieru.

– Większość ludzi na wschodzie Niemiec boi się zmian. Podchodzą do nich z dużą rezerwą. Widzimy każdego dnia, co się dzieje, potrzebujemy tej zielonej transformacji, nie ma innego wyjścia. Jestem optymistką, cieszę się, że dużo pieniędzy popłynie do naszego regionu – mówi mi Hertha Schnurrer.

KRYZYS JEST TEŻ SZANSĄ | „Otwórz i zamknij oczka” – Konstanze Fischer chwali się zwrotami, które zapamiętała po polsku. Pochodzi z Saksonii, studiowała nad Bałtykiem, a do Schwedt trafiła, bo socjalistyczne państwo przydzieliło jej tu pracę (i mieszkanie). Rozmowę z okulistką przerywa nam jej uradowany pacjent, który przyszedł podziękować za operację zaćmy przeprowadzoną dwa dni wcześniej.

Choć Konstanze osobiście nie ma nic wspólnego z rafinerią, rok temu stała się twarzą protestów przeciw embargo. Dziś myśli inaczej. – Kryzys zawsze jest szansą – tak Konstanze wyjaśnia swoją zmianę poglądów. – Wcześniej mieliśmy stabilne dostawy rosyjskiej ropy. Dlatego plany zielonej transformacji były długo odkładane. Za to teraz ruszyliśmy z tym znacznie szybciej. Dla niektórych może trochę za szybko. Ale ta transformacja to szansa dla całego regionu.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Dziękuję Isabelle de Pommereau za pomoc w tłumaczeniu.

NAJBOGATSZY LUD NA ŚWIECIE

Siali strach wśród innych Indian, unikali wojny z białymi. Dziesiątkowała ich seria mordów, gdy na ich ziemi odkryto ropę. Dziś honor Osedżom próbuje oddać Hollywood.

BARTOSZ HLEBOWICZ

JAKO PIERWSI ZETKNĘLI SIĘ Z OSEDŻAMI Francuzi w drugiej połowie XVII wieku u ujścia rzeki Arkansas. Ich przodkowie przybyli tu zapewne z doliny Ohio, wypchnięci przez Irokezów.

W wiekach XVII i XVIII Osedżowie dominowali w zachodniej dolinie rzeki Missisipi, czyli na preriach Arkansas i Missouri, kontrolując jedną z największych sieci handlowych w Ameryce Północnej. Trzymali na dystans Francuzów i Hiszpanów, siali postrach wśród Paunisów, Delawarów, Caddo i Czoktawów, walczyli z Komanczami i Czirokezami. Indiańscy niewolnicy chwytni przez Osedżów byli cennym towarem poszukiwanym przez Francuzów – Osedżowie wymieniali ich na broń palną, dzięki której podbijali kolejne ludy.

Za swoje uznawali też ziemię dzisiejszej Oklahomy i Kansas, docierali aż do Gór Skalistych, rzucając wyzwanie Siuksom. Byli co najmniej tak potężni jak lud Czerwonej Chmury, Siedzącego Byka i Szalonego Konia – równie jak on wojowniczy i okrutni. Mówili zresztą spokrewnionymi językami.

Jednak nawet w części nie zyskali podobnej chwały jak Siuksowie. W plemiennym rodowodzie nie mają ani bohaterów, ani rozpaczliwych walk z amerykańską kawalerią. Mimo to należą do największych ofiar chciwości białych Amerykanów.

Ale też Amerykanie nie kryli podziwu dla Osedżów. „Nie mogę nie wspomnieć o wyglądzie tych mężczyzn. Są wysocy, dobrze zbudowani i mają nie mniej naturalnej inteligencji, co inne ludy świata. Gołą wszystkie włosy z głowy z wyjątkiem małego miejsca z tyłu głowy wielkości dłoni” – notował amerykański handlarz w 1806 r.

Ich wzrost podziwiali też w pierwszej połowie XIX w. prezydent Thomas Jefferson i malarz George Catlin („Rasa najwyższych ludzi w Ameryce”). Catlin dodawał, że „ich ruchy są szybkie i pełne gracji”.

DALEJ I DALEJ | W 1825 r. Osedżowie zgodzili się opuścić ziemię w Missouri, Arkansas i Oklahomie i przenieść się do rezerwatu w południowym Kansas. Od wschodu i południa ich sąsiadami byli Czirokezi. Jedni i drudzy, podobnie jak wiele innych ludów tubylczych ze wschodniej części USA, migrowali na zachód, ustępując naporowi białych osadników i Waszyngtonowi. Ten za każdym razem przekonywał, że oddanie rodzimej ziemi jest jedyną gwarancją pokoju.

Niespełna pół wieku później Osedżowie zdecydowali się zamieszkać w rezerwacie w północnej Oklahomie. Określania „zdecydowali się” używam celowo, bo w odróżnieniu od wielu innych grup indiańskich, osadzonych siłą w rezerwach przez żołnierzy USA, Osedżowie



sami sobie wybrali ziemię i zapłacili za nią jej właścicielom – Czirokezom – własnymi pieniędzmi.

Opuszczali Kansas z powodu tłumnie wkraczających na ich ziemię osadników, głównie weteranów wojny secesyjnej, szukających dla siebie miejsca do życia. Biali kradli ich konie, ogradzali dla siebie kolejne kawałki ich terytorium, palili ich wioski.

„IDŹMY NA POŁUDNIE” | Dla Osedżów w ich własnym rezerwacie zabrakło miejsca. Wybierali między Wielkimi Równinami na Zachodzie a Terytorium Indian-skim na południu, czyli Oklahomą – ziemiami, które dobrze znali.

„Biali nie zdołają wsadzić tam swego żelaza. Tam jest mnóstwo wzgórz – przekonywał ich wódz Wah-Ti-An-Kah. – Biali człowiek nie lubi wzgórz i tu nie



LIBRARY OF CONGRESS

Grupa Indian Osedźów przed Białym Domem, 1921 r.

przyjdzie. Jeśli pójdziemy na zachód, gdzie ziemia jest równa jak podłoga naszego domu, zaraz przyjdzie biały człowiek, kupi ją od nas, posadzi różne rzeczy, ziemia szybko się skończy i Osedźowie zostaną bez domu. Idźmy na południe”.

Tak zrobili. Był rok 1871. Gdyby poszli na zachód, podzieliliby zapewne los swoich niedawnych rywali Siuksów i po kilku latach zaczęliby gnuśnieć w rządowych rezerwach. Ich przeznaczeniem było jednak zostać najbogatszym ludem świata – i najczęściej mordowanym.

Albowiem wbrew nadziejom Wah-Ti-An-Kaha biali przyszli i tutaj. Osedźowie drogo sprzedali rządowi USA ziemię w Kansas, dzięki czemu po raz pierwszy stali się bogaczami. To – i symboliczna obecność federalnego wymiaru sprawiedliwości – sprawiło, że na kilka kolejnych

dekad rezerwat Osedźów stał się magnesem przyciągającym nielegalnych osadników, handlarzy whisky, białych bandytów (do najsłynniejszych należeli bracia Daltonowie). Pojawili się też biali hodowcy bydła, którzy od Indian wynajmowali ziemię na wypas. A także zawodowi wyłudzacze indyjskiej ziemi.

ROPA, CZYLI PRZEKLEŃSTWO | Pod koniec XIX w. Osedźowie odkryli na swych ziemiach ropę. W ciągu kilkunastu kolejnych lat pojawiły się tu nowe kategorie białych: pracownicy naftowi, a także służący i szoferzy limuzyn pracujący dla bogatych Indian.

Sześć lat temu David Grann, reporter dziennika „New York Times”, napisał książkę „Czas krwawego księżyca” – thriller o serii morderstw sprzed wieku dokonanych wśród Osedźów. Dzięki tej

wstrząsającej opowieści świat się dowiedział o makabrze, która spotkała to plemię w latach 20. XX wieku, a reżyser Martin Scorsese postanowił książkę sfilmować.

W okresie zwanym przez ówczesną prasę Rządami Terroru Osedźowie ginęli dziesiątkami, setkami. W ciągu paru lat. Truto ich, strzelano do nich, wysadzano ich domy. Oficjalnie najczęstszą przyczyną śmierci było zapięcie się na śmierć albo samobójstwo. Tyle że koronerzy rzadko przeprowadzali sekcję zwłok, rzekomo z szacunku dla zmarłych.

Wydobycie ropy, która stała się przekleństwem Osedźów, ruszyło pełną parą w czasie I wojny światowej, a rezerwat najeżdżały coraz większe chmary przedsiębiorców i bandziorów, wietrzących szybki i łatwy zarobek. Trzeba było tylko znaleźć sposób na przeniknięcie w szeregi plemienia...



→ **BOGACTWO I TRAGEDIA** | Wcześniej, na przełomie XIX i XX w., rezerwat Osedżów został poszatkowany na parcele, zgodnie z ówczesną polityką przerabiania Indian na prywatnych właścicieli ziemskich. „Kapitalizm” równał się „cywilizacja”. Ale Osedżowie mieli przewagę nad innymi plemionami. Ponieważ za rezerwat zapłacili własnymi pieniędzmi, nie dali się oskubać rządowi w Waszyngtonie – w przeciwieństwie do większości innych grup, których rezerваты pokawalkowano, działki przypisano rodzinom, a nadwyżkę przekazano białym osadnikom. Osedżowie zatrzymali nadwyżkę dla siebie. A co najważniejsze, zachowali pełne prawo – jako plemię – do wszystkiego, co było pod ziemią.

Kilka dekad później okazało się to źródłem ich niezmierzonego bogactwa – i równie niezmierzonej tragedii. Według oficjalnych szacunków do 1923 r. zamordowano 60 Osedżów, ale w aktach FBI istnieje opinia jednego z wyższych rangą oficjeli, który mówi o „setkach morderstw” – w sytuacji, gdy plemię liczyło kilka tysięcy członków.

„Prawdziwa liczba zamordowanych nigdy nie będzie znana, ponieważ pracujący dla hrabstwa Osage lekarze regularnie fałszowali świadectwa zgonu” – podsumował Dennis P. McAuliffe Jr., dziennikarz „Washington Post” i autor książki „The Deaths of Sybil Bolton” z 1994 r. Książka jest zapisem jego prywatnego śledztwa w sprawie śmierci babki autora – Indianki Osage, która została zamordowana w 1925 r.

„OŻENIŁEM SIĘ Z INDIANKĄ” | Gdy na terenie rezerwatu odkryto ropę, każdy z Osedżów otrzymał równe prawo do dywidend z jej wydobywania. Nie mógł tego prawa odsprzedać, było dziedziczne w rodzinie. Ten przepis stał się źródłem tragedii Osedżów. Nagle zjawili się wielu chętnych do ożenku z Indianką – byleby należała do plemienia Osedżów. W gazetach pojawiły się ogłoszenia: „Chcę dobrą indiańską dziewczynę. Za każde pięć tysięcy, które jest warta, dam 25 dolarów”. Znana jest sytuacja, gdy biały, który w śledztwie przyznał się do zabijania Osedżów, zapytany przez sędziego o wykonywaną pracę, odparł: „Nie pracowałem. Ożeniłem się z Indianką”.

W 1907 r. sporządzono spis wszystkich Osedżów. Było ich dokładnie 2229 i każdy

z nich, niezależnie od wieku i „procentu” krwi indiańskiej, otrzymał równe prawo do zysku z wydobywania surowców spod plemiennej ziemi.

W ten sposób niemal z dnia na dzień każdy z tych 2229 Osedżów stał się milionerem – i potencjalnym celem bandytów, którzy pozazdrościli tego „niesprawiedliwego” bogactwa Indian. Od 1907 r. do 1 lipca 1923 r. zmarło aż 605 z nich. Podczas gdy rosła populacja wszystkich innych grup etnicznych w Stanach, i tak niewielki lud Osedżów kurczył się w zaskakującym tempie.

SIATKA OPRAWCÓW | W swojej książce David Grann opisuje część z tych zbrodni. A także siatkę oprawców, którzy wżenili się do osedżskich rodzin tylko po to, żeby likwidować ich członków jednego po drugim i przejmować ich *headrights*, prawa do ziemi i zysków z wydobywania ropy.

Najbardziej szokujące jest to, że w procedurze uczestniczyli przedstawiciele władz, szanowni obywatele miasteczek, burmistrzowie, adwokaci, lekarze, federalni agenci ds. Indian, których obowiązkiem było chronić Osedżów.

Książka McAuliffe’a wyprzedziła pracę Granna, który wykorzystał i rozwinął wiele zawartych w niej wątków (a także napisał wstęp do nowego wydania „The Deaths of Sybil Bolton”). Np. Grann opisał śledztwo agentów FBI skrupulatnie odszyfrowujących zbrodnicze powiązania w kraju Osedżów i demaskujących bandytów.

Jednak McAuliffe ocenia pracę FBI zgoła odmiennie: uważa, że ich opieszałość doprowadziła do śmierci jego babki. Przypomina, że udało się skazać zaledwie kilku najbardziej prymitywnych bandytów, podczas gdy zleceniodawcy i autorzy zabójstw setek Osedżów nigdy nie zostali ustaleni.

UZNANI ZA „DZIKICH” | Śledztwo McAuliffe’a rzuca światło na to, jak wyglądała rzeczywistość w kraju Osedżów w latach boomeru naftowego. Autor opisuje wymyślony przez Waszyngton w 1924 r. system białych „opiekunów”, którzy mieli pilnować, by Osedżowie nie szastali pieniędzmi. W kilka miesięcy „ochroną” interesów 2 tys. osedżskich bogaczy zajęło się aż 600 „opiekunów”.

Ci, których biali „opiekunowie” – mogli nimi być miejscowi adwokaci albo

urzędnicy federalnej Agencji ds. Indian – ocenili jako obywateli podążających słuszną chrześcijańską ścieżką, a więc rokujących nadzieje na ucywilizowanie, mieli wolną rękę w dysponowaniu swoim bogactwem. Z kolei uznani za „dzikich” otrzymywali tylko niewielką część przysługujących im pieniędzy. Resztą dysponowali „opiekunowie”, którzy za swoją pracę otrzymywali wynagrodzenie – nie od rządu, lecz pobierane z kont ich indiańskich „podopiecznych”.

Tak oto w imię strzeżenia interesów Indian rząd federalny pomógł ustanowić system wyzysku Indian – przez osoby, które miały ich chronić (przed nimi samymi). McAuliffe komentuje, że „w tamtych czasach nieznany był jeszcze koncept konfliktu interesów”.

Na Osedżach zdołało się wzbogacić nawet FBI, bo Edgar J. Hoover, szef agencji, bez skrupowania pobierał za czynności swoich agentów opłaty od władz plemienia. Te płaćli, bo zależało im na złapaniu morderców.

RODZINNE OPowieści | Jedną z ofiar tego systemu była Sybil Bolton, babka McAuliffe’a. Dziennikarz opisuje jednak coś więcej niż system przemocy instytucjonalnej zaaplikowany plemieniu indiańskiemu przez białych. Opowiada o Osedżach, o losach tego ludu i poniekąd zadaje pytanie, kim właściwie się oni stali.

Na przykładzie własnej rodziny pokazuje, jak bardzo w tkankę plemienia od przełomu wieków XIX i XX wrosli biali Amerykanie. Niektórzy tylko korumpowali urzędników, by dostać się na listę członków plemienia. Inni żenili się z Indiankami po to tylko, żeby otrzymać prawo do współudziału w bogactwie plemienia.

Ale podział na Osedżów-ofiary i białych-katów nie zawsze był jednoznaczny. Nie wszyscy biali wiązali się z Indianami w niecznych celach. Z kolei niektórzy członkowie plemienia przymykali oczy, gdy ich biali małżonkowie działali na szkodę plemienia.

McAuliffe odkrył np., że jego osedżska prababka Kate Conner najpierw wyszła za białego adwokata, wysłannika Waszyngtonu, Johna A. Gormana, który w 1894 r. usiłował namówić Osedżów do parcelacji ziem rezerwatu. Jako środka perswazji używał wódki. Jej kolejnym mężem był biały agent hodowców bydła



LIBRARY OF CONGRESS

Indianka z plemienia Osedżów z białą kobietą, 1923 r.

Sewell Beekman, który zbil fortunę na wyludzeniu plemiennych ziem. Trzecim zaś adwokat Arthur T. Woodward, któremu na początku XX w. rząd wyznaczył zadanie sporządzenia rejestru członków plemienia.

To on dopuścił, że znalazło się w nim kilkaset osób nieposiadających nawet kropli osedzkiej krwi. Współcześni historycy oceniają, że „napakowanie” plemiennych spisów nie-Osedżami oznaczało przejęcie 100-200 mln dolarów należnych plemieniu.

„JESTEŚ INDIANINEM. WYBACZ MI” | McAuliffe opowiada też, jak pielęgnowany w mieszanych rodzinach rasizm białych powodował wstyd i ukrywanie tubylczej tożsamości. On sam dopiero jako dorosły, wychowany w świecie białych na Wschodnim Wybrzeżu, dowiedział się od matki, że jest po części Osedżem. „Jesteś Indianinem. Wybacz mi” – wyznała zrozpaczona.

Dla niektórych, jak Sybil, która wyszła za białego, a także dla jej dzieci oznaczało to pasmo tragedii. Sybil, córka Kate z drugiego małżeństwa, została zamordowana w wieku 21 lat. McAuliffe nie ma wątpliwości, że stał za tym ojczym Arthur T. Woodward, ustanowiony jej opiekunem.

Fakty zebrane przez McAuliffe’a są takie: Waszyngton mianował Woodwarda „plemiennym doradcą”, a więc miał działać jako rzecznik interesów Osedżów. W istocie czerpał też zyski z bycia ich „opiekunem” – poza Sybil także czterech innych Osedżów. Żaden z tej czwórki nie dożył roku 1923.

Po śmierci Sybil jej prawa do plemiennych pieniędzy przeszły na matkę-Indiankę i na Woodwarda, jej ówczesnego męża. Uciekli oboje z Oklahomy w 1925 r., gdy zaczął im się palić grunt pod nogami. Nigdy nie zostali nawet oskarżeni.

W żyłach dzisiejszych Osedżów płynie krew zarówno ich indiańskich przodków, jak i ich białych prześladowców.

BIALI PRZYJACIELE INDIAN | Wróćmy do książki Davida Granna, będącej podstawą filmu Martina Scorsese „Czas krwawego księżyca”, który ma właśnie polską premierę [recenzję filmu opublikujemy w następnym numerze – red.].

Książka ta w sporej mierze koncentruje się na najbardziej bezwzględnych z bandytów, który kreował się na przyjaciela Indian, rzekomo pomagał w śledztwach mających ustalić winnych i brał udział w pogrzebach – choć to on wydawał zlecenia śmierci. William Hale był bogatym i wpływowym hodowcą bydła, bez jego poparcia nikt nie miał szans zostać wybrany szeryfem. Był też organizatorem ohydnych spisków: podstawiał swoich ludzi, by żenili się z Indiankami, a potem je zabijali. W filmie Scorsese w jego rolę wcielił się Robert De Niro.

Bardziej skomplikowana jest rola jego kuzyna Ernesta Buckhardta, który na polecenie Hale’a poślubił Indiankę Mollie Kyle. Hale i Buckhardt zabijali kolejnych członków rodziny Mollie, by przejąć ich prawa do zysków z ropy, a ona była systematycznie podtruwana. Ale z zapowiedzi wynika, że film skupia się na uczuciu, jakie połączyło Kyle i Buckhardta.

Leonardo DiCaprio miał zagrać Toma White’a, agenta FBI, który obnażył sieć Hale’a i doprowadził do skazania jego i Buckhardta (White jest też bohaterem książki Granna). W wywiadzie dla brytyjskiego pisma „Vogue” DiCaprio opowiada, że po przeczytaniu scenariusza „nie czuł, że dotarł do sedna sprawy”, że „nie wniknęliśmy w historię Osedżów”. Zażądał dla siebie roli Buckhardta.

„Była pewna niewielka scena między Mollie i Ernestem, która wywołała w nas takie emocje podczas czytania, że zaczęliśmy wnikać w to, czym była ta relacja, ponieważ była tak pokrecona i dziwaczna i niepodobna do niczego, czego kiedykolwiek wcześniej doświadczyłem” – mówił DiCaprio.

Dodał, że wraz ze Scorsese naciskali, by na pierwszy plan wysunęła się postać Mollie.

Można więc sądzić, że film Scorsese będzie mniej kryminałem, a bardziej rozprawą na temat skomplikowanych więzi oplatających Osedżów i hołdem dla umęczonego ludu. © BARTOSZ HLEBOWICZ

Pułapki publicystyki historycznej

JAN ŚRODOŃ

Opinia, która jest oskarżeniem ludzi o najokrutniejsze czyny – tutaj: o mord na ukrywanych Żydach – nie może być wywiedziona ze statystyki. Publikujemy kolejny głos w naszej debacie o Markowej.

TYTUŁ DRUGIEGO ARTYKUŁU ZUZANNY Radzik („Debata o Markowej”, „TP” nr 40) – który był polemiką z krytycznym tekstem Wojciecha Pięciaka („W Markowej nie było krwawej symetrii”, „TP” nr 39) – stanowił zaproszenie do rozmowy, z którego chcę skorzystać.

Rozumowanie Autorki wydało mi się w kilku aspektach co najmniej wątpliwe. Treść jej artykułu dotyczy w głównej mierze metodyki publicystyki historycznej i ogólnego obrazu relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej. W pierwszym zdaniu Radzik wycofuje się co prawda z kategorycznego stwierdzenia, że w Markowej w noc po zamordowaniu Ulmów doszło do zabójstwa 24 Żydów przez ukrywających ich gospodarzy („Nie mamy pewności, czy zdarzyło się to, co opisuje Jehuda Ehrlich” – pisze, nawiązując do jednego źródła, w którym pojawia się taka informacja). Jednak w dalszej części tekstu stara się uwiarygodnić swą pierwotną tezę.

CZYNI TO NA TRZY SPOSOBY. Po pierwsze, powołując się na przywołane ogólnie inne publikacje prasowe i naukowe omawiające świadectwo Ehrlicha. Po drugie, stosując wnioskowanie dedukcyjne, oparte na dostępnej dokumentacji dotyczącej denuncjowania i zabijania żydowskich współobywateli w całej Polsce (według logiki: skoro w wielu miejscach się to działo, to Markowa nie była zapewne wyjątkiem). Po trzecie, zarzucając krytykom ignorancję w tej dziedzinie („Wyczuwam, że ta trudność ze zmianą paradygmatu...” oraz ostatnie zdanie artykułu: „...czytelnikowi znającemu realia okupacji oraz inne relacje z okolic Łańcuta jego opowieść nie wyda się zaskakująca”).

Zrelacjonowałem sposób argumentacji Zuzanny Radzik, gdyż chcę się odnieść do jego prawomocności. Od ponad 50 lat publikuję prace naukowe. Wiem aż za dobrze, że autorzy prac naukowych mogą się mylić, bo sam się myliłem i odwoływałem później moje wcześniejsze wnioski. *Errare humanum est.* Dlatego bezkry-



tyczne powoływanie się na inne publikacje uważam za błąd warsztatowy, składający bardzo często z tego, że inni tak pisali, nie wynika, że jest to obowiązująca teza. Każdego autora obowiązuje krytycyzm i konfrontowanie źródeł.

WNISKOWANIE DEDUKCYJNE stanowi dla publikujących ogromną pokusę, gdyż ułatwia życie, pozornie zwalniając od mozolnego badania konkretnego przypadku. Jest to jednak pułapka, gdyż ze statystycznej prawidłowości nie da się prawomocnie orzec o konkretnym przypadku. Gdy nie ma twardych danych i trzeba posłużyć

się wnioskowaniem dedukcyjnym, należy to czynić z wielką ostrożnością.

Autorka zdaje się nie rozumieć, że opinia, która jest oskarżeniem ludzi o najokrutniejsze czyny, nie może być wywiedziona ze statystyki. W naukach przyrodniczych błędne wnioski szkodzą wyłącznie reputacji autora. W przypadku publicystyki historycznej ryzyko jest nieporównywalnie większe – nawet wydany w dobrej wierze niesprawiedliwy osąd wyrządza krzywdę konkretnym ludziom, niszczy dobre imię. Myślę, że m.in. do takich sytuacji odnosi się pouczenie Jezusa: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni” (Ewangelia wg św. Łukasza, 6, 37). Popełniony błąd trudno uznać, trudno się z niego wycofać, choć to jedyna droga, aby zminimalizować szkody.

Z kolei zarzucanie adwersarzom ignorancji jest zabiegiem popularnym w polskiej publicystyce, ale tak bardzo niewłaściwym, że nie będę z nim polemizował. Czyżnając to, Radzik definiuje się jako stronę polsko-polskiej batalii wokół stosunku Polaków do Żydów w czasie II wojny światowej i zdradza emocje, które nią kierowały przy pisaniu pierwszego tekstu o Ulmach, w którym przywołała relację Ehrlicha („TP” nr 37). Jak widać, emocje czasem prowadzą na manowce.

WARTO TEŻ może przy tej okazji uświadomić sobie, o co toczy się ta batalia. Przedmiotem sporu jest kształt krzywej rozkładu reakcji Polaków na eksterminację Żydów. Symetryści podejrzewają, że to rozkład normalny, jakże częsty w naturze, co oznacza podobną liczbę łotrów i samarytan oraz ogromną pasywną większość pośrodku. Natomiast dwie strony polskiej batalii próbują udowodnić, że jest to rozkład typu log-normalnego, także w przyrodzie obecny, który charakteryzuje się dużą asymetrią: jedno ramię krzywej jest znacznie większe od drugiego. Strony sporu starają się przekonać słuchaczy, że większy koniec krzywej to, odpowiednio, łotry lub samarytanie. Rzetelne dowiedzenie każdej z tych tez wydaje mi się szalenie trudne po upływie 80 lat.

Oczywiście warto te sprawy badać, ale pamiętając o Chrystusowym pouczeniu.

©

Autor (ur. 1947) jest profesorem Instytutu Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk; w czasach PRL działacz opozycji demokratycznej.

ELIZA

Kacka: Światło ćmiące, przyprószone



PARK MORSKIE OKO. SIADA CZŁOWIEK ZRE-
zygnowany ze słuchawkami w uszach.
Ciemno, prawie noc. Chłód od stawu,
jakby się było w Tatrach z halnym w pa-
kiecie, a to tylko warszawski tunel po-
wietrzny między Mokotowem Górnym
a Dolnym. Wieje. Próbuje czytać przy świetle latarni jak
przy lampie filującej. Światło ćmiące, przyprószone, niecią-
głe. Sąsiednia ławka obsadzona przez dwóch starszych,
wolno upalających swoje. „No i jak, Zygmunt, ostatnie tak-
kie”. „Nikt się stąd nie wynosi”. „Dobraaa. Uważaj, wieje”.
Męczą się z zapalniczką, wzniecają, pykają. „Ja ci powiem,
że to jest próg”. „Nie musisz mi mówić”. „Ciekawe, czy taka
tam to wie”. Łypią ku mnie. Reagować? Podrywam się, zbli-
żam o ławkę. „Myślimy o niedzieli?”. Patrzę, nie komentują.
Ja: „Owszem, próg”. Zygmunt zadowolony: „Rozumiemy
się”. Drugi: „Że też ja nie mogę takiego wielkiego wiatru zła-
pać. To by człowiekowi pomogło. Rozumie? Taki wiatr,
który zrywa łeb”. „Rozumiem”. „Ja bym sobie jednego ży-
czył, jak już będzie bardzo niedobrze. Wielkiego wiatru, wie
pani, mogę za to położyć głowę”. Uśmiecham się przez łzy.
„Wielkiego. Nie wiem, od morza, od gór, wszystko jedno.
Niech kosi. Ja już w sumie nic więcej do powiedzenia nie
mam”. Ruszył deszcz.

DWÓCH PRZY WIACIE AUTOBUSOWEJ MOKOTOWSKIEJ. „PRZE-
czytałem, że Ireneusz Kania zmarł”. „A kto to?”. „A taki tłu-
macz”. „Tłumacz? A co jeszcze?”. „W sensie?”. „No co jeszcze.
Bo chyba nie wszystko?”. „Hm? Genialny facet, znał chyba
z kilkanaście języków”. „Dobra, a poza tym?”. „Nie wiem”.
„No, jak nic, to nic. Nie mam w sumie uwag”. „Wiesz, rzadko
kto ma takie możliwości...”. Drugi na poirytowaniu: „Słuchaj,
po mojemu to trzeba wykonać pracę. Kolejny, co się bawił.
Klepsydra za nic”. „Ale co ty mówisz?!”. „No, właśnie mówię.
To jest zabawa. On się bawił”. „To kto tutaj pracuje?”. Dłuższa
pauza, namysł. „Chcesz wiedzieć?”. „Dawaj”. „Każda babka
klozetowa jest przy nim bogiem”. „Jak to?!”. „Tak to. Facet
miał rozrywkę przez kawał życia i jeszcze go za to szanujecie”.
„Ale wiedza...”. „Wiedza nie jest pracą”. „Jest”. „Dobradobra.
Cieszcie się, że nikogo nie sprowokował”.

LIBRUS, INTERNETOWY DZIENNIK SZKOLNY, OGŁOSZENIA (KO-
leżanka podesłała): „Szanowni Państwo, wielkimi krokami

zblizamy się do Wszystkich Świętych. Święto to należy do
narodowych dzięki Zmarłym. Każdy z nas ma takie osoby
w Rodzinie. Przypomnijmy dzieciom, że Zmarli żyją. Nie po-
zwólmy im nas opuścić! To ich dzień – niech czują się wy-
jątkowi. Ogłaszamy konkurs literacki na kanwie korespon-
dencji. Prace oddajemy polonistom lub katechecie w tygo-
dniu przed Zaduszkami. Niech Państwa dziecko wybierze
Zmarłego i w jego imieniu napisze list do całej Rodziny. Ele-
menty listu: opis szczęścia Zmarłego w Niebie, jego aktywno-
ści (należy puścić fantazję: może Zmarły ma nowe pasje,
marzenia), tęsknota za Rodziną, wyraz troski o to, by Rodzina
cała dostała się do Nieba. Są to elementy obowiązkowe. Po-
nad to dziecko może zawrzeć inwencję. Uprzejmie jednak
informujemy, że przyjmujemy tylko prace budujące. Każdy
uczestnik otrzyma oceny celujące z polskiego oraz religii.
Trzy pierwsze miejsca dostaną karty podarunkowe Salonu
Empik oraz skromne dewocjonalium. Zachęcamy również
do dołączenia fotografii osoby Zmarłej, która jest autorem li-
stu. Fotografie można zanosić księdzu katechecie na gazetkę.
Pomoże to uświadomić, że Zmarli to również my. Zespół
Pedagogiczny”.

AUTOBUS 116, JAZDA NA UNIwersYTET. DOSIADAM SIĘ DO STA-
ruszka, wyciągam z torby na kółkach wielkie „Dzieła dra-
matyczne Szekspira” (1875), by sprawdzić na szybko. „A co
tak paniénka studiuje?”. „A »Makbeta«”. „Makbet, Mak-
bet, było coś... to jest Homera?”. „Szekspira”. „Aaa, głupi je-
stem! Homer to było o człowieku, co zdradza żonę?”. „No, po-
wiedzmy, że nie może wrócić do domu”. Staruszek na wzmo-
żeniu: „No mówiłem! Czyli zdradza żonę!”. Celuje palcem
w dół strony, którą szczytuję. „A to o czym jest?”. „A o tym, jak
się z żoną dostaje amoku władzy”. Odpadł, myśli. „A ten Szek-
spir to w ogóle istniał?”. „W jakim sensie?”. „Bo było jakieś
dochodzenie, że to kilku ludzi...”. „A to o Homerze chyba”.
Ten w śmiech: „Patrz pani! Jakie to wszystko podobne!”. „?”.
„Tylko się przed żonami ukrywają. A taka niby wielka litera-
tura!”.

ŁÓDŹ, ŚCIANA DESZCZU. PÓZNOGODZINNY SKLEP SPOŻYWCZY.
Stoję w kolejce za panią ciut starszą ode mnie. „Tynk wam
złazi”. Ekspedientki najężyli się: „Wiadomo”. „Nie szkodzi, to
jest właśnie dowód życia”. „?”. „A tak. To miasto linieje jak
zwierzę, łuszczy się”. Tamci z zezem. „Dobra, przepraszam,
ja tu wróciłam z Berlina. Jestem stąd”. Ekspedientka: „Po co
pani wraca?”. „Zrozumieć”. „Nie polecam”. „Przeżyję. Chcę
zrozumieć ten organizm”. „Organizm?”. „Łodzi. Jest organi-
zmem. Warszawa nie, to cmentarz”. Nie wytrzymuję, wcho-
dę w rozmowę: „Warszawie przecięto arterie”. Patrzy się na
mnie: „Tak. Ale to trup”. „Hm”. „Nie ma o czym gadać. Niech
pani spojrzy w niebo nad Warszawą. Wczoraj tam nocowa-
łam”. „I?” – pytam. „Sztuczne. Papierowy księżyc”. „Może nad
hotelem”. „A gdzie indziej?”. „Łuna”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego
nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl



**Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.**

allegro

23 – 29.10.2023

TYGODNIK
POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 02

„TP” 43/2023

CONRADFESTIVAL.PL



Festiwal Conrada, 23 – 29 października 2023



GRZEGORZ JANKOWICZ

Wiosną 1923 r. Joseph Conrad podróżował parowcem „Tuscania” z Anglii do Stanów Zjednoczonych. Podczas rejsu obserwował zmiany, które zaszły w żegludze pasażerskiej. Nie podobały mu się nowe zwyczaje; był krytyczny wobec masowej formy transportu, którą zapewniały statki parowe. Postanowił napisać o tym krótki esej – od razu, jeszcze na morzu. Przede wszystkim po to, by przypomnieć swoim współczesnym epokę kliprów, na których sam pływał. Symbolem nowej ery morskich podróży był hotelowy wystrój okrętu: parowiec to według Conrada kołysząca się imitacja Ritza. Dawniej warunki panujące na statku były ascetyczne i to umożliwiało prawdziwe połączenie z morzem – doświadczenie pożądane, ale ryzykowne. Żeby nie stracić kontaktu z lądem, żeby podtrzymać na duchu tych, którzy mieli problem z aklimatyzacją, żeby zadbać o zdrowie dzieci, na pokład zabierano również... zwierzęta. Najważniejsza w tej pozaludzkiej kompanii była krowa, której mleko miało żywić podróżnych. Zamknięta w ciasnym boksie, który w czasie rejsu pełnił funkcję obory, znosiła wszystkie niedogodności z absolutnym spokojem. Każdego ranka dzieci biegly do „swojej krowy” – jak pisze Conrad – by ją pozdrowić, ale też po to, by dzięki niej poczuć się bliżej lądu, bliżej życia, którego rytm został przerwany zaoceaniczną wyprawą. W ten sposób można było odzyskać „urok i domowy nastrój ustabilizowanej egzystencji”.

Prerażająca scena. Zamknięte w klatce zwierzę spędzało na pokładzie wiele tygodni, czasem nawet miesięcy. To unieruchomienie miało je chronić – podkreśla Conrad – gdyż boks był przytwierdzony do masztu w taki sposób, by nie porwał go żaden sztorm. Najgorsze w tym jest to, że dzieci były absolutnie przekonane, iż „ich krowa” w oczywisty sposób należy do nich i musi im służyć, choćby swoją obecnością, poprawiając wszystkim nastrój w chwilach słabości.

Przypominam ten epizod z historii migracji, gdyż uważam, że jakakolwiek zmiana w naszym myśleniu o kryzysie uchodźczym będzie możliwa dopiero wtedy, gdy zaczniemy o nim myśleć, uwzględniając wszystkie istoty, które go doświadczały i doświadczaają – nie tylko ludzkie, ale także pozaludzkie. Więcej: będziemy mogli uporać się z kryzysem migracyjnym dopiero wtedy, gdy organizację systemowej pomocy zaczniemy od najsłabszych, najbardziej potrzebujących.

To jeden z tegorocznych tematów Festiwalu Conrada. Dlaczego podejmujemy go w kontekście literatury, na gruncie literatury? Bo to ona nieustannie testuje nowe możliwości społecznego działania, a właśnie one – te nowe możliwości – są nam dziś potrzebne.

© GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



65

BERNADETTA DARSKA
Każdy zasługuje
na swoją opowieść

68

GRZEGORZ JANKOWICZ
Asymulacja

71

DARIUSZ GZYRA
Wielkie otwarcie

74

MARIANNA LIS
Czy potraficie słuchać?

77

TOMASZ PINDEL
Podróż bez końca

80

PAULINA FRANKIEWICZ
Skrzynia pełna skarbów

83

RENATA KOPYTO
Przestrzeń świata Lilly Reich

REDAKCJA

Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny



Organizatorzy:



Partnerzy strategiczni:



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Każdy zasługuje na swoją opowieść

BERNADETTA DARSKA

Reporter może spróbować pokazać to, co jest udziałem jego bohaterów, towarzysząc im w trudnej drodze po to, by być jak najbliżej prawdy ich doświadczenia.

Zdjęcie kilkuletniego martwego chłopca, leżącego twarzą w mokrym piasku, wydawało się momentem zwrotnym, który zmieni negatywne podejście do ludzi szukających lepszego życia w innym miejscu. Niewielkie, bezwładne, nienaturalnie wygięte ciało, czerwona koszulka, granatowe spodenki – uwieczniony na fotografii obraz był czymś niewyobrażalnym, zbyt okrutnym, za bardzo angażującym emocjonalnie. Wiele osób deklarowało, że widoku tego nie zapomni. Zwłaszcza że jego uzupełnieniem było inne zdjęcie: wysokiego mężczyzny, funkcjonariusza podnoszącego chłopca i usuwającego go sprzed oczu dziennikarzy oraz innych obserwujących. Dziecko, przed którym było całe życie, nie doczekało wolności.

Nie doświadczyło także trwałości pamięci, bo zbyt szybko zostało zapomniane. Jednocześnie ten martwy chłopiec boleśnie uświadamia nam to, o czym pisze Susan Sontag w „Widoku cudzego cierpienia”: że musimy również zapytać o tych, których nie widać, o ich losy, o ich sytuację. Śmierć tamtego dziecka mogła coś zmienić, ale tak się nie stało. W międzyczasie przesunęliśmy kolejną granicę obojętności. Ten zwrot od zaangażowania do obojętności celnie pokazuje projekt Ai Weiweia, który odtwarza słynne zdjęcie. Mężczyzna kładzie się na plaży, przyjmując pozycję zmarłego dziecka. Gdzieś w tle obecne jest pytanie – czy chwilowe poruszenie związane z cierpieniem dzieci w jakikolwiek sposób dotyka również dorosłych?

Kim jesteśmy?

Konieczność zdefiniowania siebie na nowo dotyczy nie tylko tych, którzy wsiadają do przeładowanych łodzi lub zdają się na przewodnictwo przemytników,

prowadzących ich przez góry i miejsca nieuczeszczane, zawodzących ich zaufanie. Osamotnieni, zdani na siebie, unieruchomieni na jakiejś granicy, gdzie dla ludzi z obu stron są nielegalnymi obcymi. Samookreślenie jest również potrzebą osób, które zderzają się z potrzebującymi pomocy i szukającymi sposobu na rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Uciekinierzy określani są uchodźcami, tymczasem przyporządkowanie to nie dla wszystkich, których dotyczy, jest oczywiste i akceptowalne. Agus Morales w swoim reportażu „Nie jesteśmy uchodźcami. Życie w cieniu konfliktów zbrojnych” mówi wprost, że świat czasem to bagno. Unika czarno-białego portretowania rzeczywistości. Pokazuje, że zło może rodzić się wszędzie. Uświadamia, że biografie ludzi bywają wymazane bezpowrotnie. Śmierć podczas drogi do nowego życia staje się często przypieczoneciem anonimowości i poczucia zbędności, którym uciekający próbują się przeciwstawić. Ci, od których uchodźcy oczekują pomocy, zostają postawieni przed decyzjami wcześniej nieobecnymi w ich codzienności. Bywają tymi, którzy oferują wsparcie i nie zapominają o tym, że naprzeciwko nich stoi człowiek. Bywają też agresorami, ludźmi niebezpiecznymi, chronionymi przez mundury, ale niosącymi zagrożenie dla tych, którzy szukają pomocy prawnej, medycznej i humanitarnej.

Rozmowy Mikołaja Grynberga z tomu „Jezus umarł w Polsce” z tymi, którzy żyją przy granicy polsko-białoruskiej i którzy tam przyjechali, by pomagać, znakomicie to etyczne uwikłanie pokazują. Z kolejnych wywiadów bije przekonanie, że tego, co dzieje się dziś, nie można tak po prostu zapomnieć i wrócić do stanu nieświadomości poprzedzającego chwilę, w której trzeba było ratować czyjeś życie

lub odmówić pomocy. Ten, kto czegoś takiego doświadczył, nie zapomni ludzi szukających schronienia. Nie zapomni też cierpienia i okrucieństwa, z którym się zetknęli.

Tymczasowość na zawsze?

Katarzyna Boni i Wojciech Tochman w reportażu „Kontener” próbują uchwycić tylko fragment opisywanej rzeczywistości. Portretują jeden z największych znajdujących się w Jordanii obozów dla uchodźców z Syrii, odsłaniając paradoks istnienia tego miejsca. Zadari zamienia się w wielkie miasto tymczasowości. Uchodźcy otrzymują ratunek, opiekę, tytułowy kontener, ale mierzą się też z zagrożeniami i narastającym poczuciem bezsilności. To uwikłanie pokazuje również Ben Rawlence w „Mieście cierni”. Na podstawie nieoczywistych biografii swoich bohaterów odsłania specyfikę – takie określenie pojawia się w podtytule – „największego obozu dla uchodźców”. Chodzi oczywiście o Dadaab w Kenii. Ludzie, którzy tam docierają, funkcjonują w specyficznym rozdzieleniu: wierzą, że jest to tylko etap, tymczasem nie rysuje się przed nimi żadna perspektywa zmian. Są bezpieczni, bo udało im się uciec przed śmiercią, ale wśród tysięcy ludzi odtwarzane są wszystkie reguły życia społecznego, także te przestępcze. Mieli znaleźć się w raju, a niekiedy doświadczają piekła. Pojawia się też kontekst czerpania korzyści z pomocy humanitarnej i innych nadużyć. Pisze o tym chociażby Linda Polman w „Karawanie kryzysu”.

Podróż rozpacz

W jednym ze swoich tekstów Olga Stanisławska zauważa: „Jesteśmy uzależnieni od wyzysku innych”. Ta cierpka konstatacja współgra z wyrażanym często przez



GRAŻYNA MAKARA DLA POLSKIEJ MISJI MEDYCZNEJ

Zaatari – największy obóz dla uchodźców z Syrii. Sercem obozu jest długa ulica nazywana przez miejscowych Champs-Élysées. Jordania, lipiec 2018 r.

→ mieszkającą we Francji autorkę przekonaniem o odpowiedzialności Europejczyków za kolonializm i jego dzisiejsze konsekwencje. Pokazuje to również w swojej książce „Gorsze dzieci Republiki. O Algierczykach we Francji” Ludwika Włodęk. Pytanie o to, kto jest migrantem i kogo społeczeństwo chce uznawać za migranta, a więc pośrednio nadal obcego, wraca w wielu tekstach Stanisławskiej. Zamieszki na ulicach Paryża, gettoizacja na podstawie rasowej i klasowej przynależności – to wszystko zakorzenione jest nie tylko w „tu i teraz”, ale także w kolonialnej przeszłości, która pozostawiła ślad w relacjach międzyludzkich. Wyzysk wiąże się ze stygmatyzacją i łatwością klasyfikowania innych ludzi. Ma swoje źródło w obojętności na los drugiego człowieka i w przekonaniu, że wszystko może stać się towarem.

Taki sposób myślenia dramatycznie wpływa na los tych, którzy opuszczają na zawsze swój kraj i szukają nowych możliwości w Europie. Uchodźcy wyprzedają wszystko, co mają, na ich wyprawę składa się często cała rodzina. Z kolei kobiety narażone są na przemoc seksualną, stają się łatwym łupem dla tych, którzy chcą czerpać korzyści z ich ciał. Marzenie o wolności zostaje okupione niewyobrażalnymi wręcz kosztami i, jeśli zostaje spełnione, naznaczone jest

wcześniej upokorzeniem. Nie bez powodu więc Stefano Liberti w „Na południe od Lampedusy” używa sformułowania „podróże rozpacz”. Nie ma w nich pocieszenia, nie ma szansy na współczucie, nie ma też pewności, że to, czego się doświadczyło, faktycznie doprowadzi do celu. Bywa przecież nieraz, że przemytnicy oszukują i skazują swoich podopiecznych na pewną śmierć.

Niebieskie worki

W „Wielkim przyptywie” Jarosława Miłkołajewskiego pojawia się problem, który można by określić mianem mierzenia się z ostatecznością na co dzień. Nie chodzi bowiem o liczbę przybywających na wyspę uchodźców, ile raczej o brak miejsca na pochowanie tych, którzy niemalże osiągnąwszy swój cel, ostatecznie są od niego dalej niż wtedy, gdy ruszali w drogę. Brak miejsc na groby, brak możliwości zidentyfikowania ciał, wreszcie poczucie bezsilności i braku szans na poprawę sytuacji. Miłkołajewski nie nadużywa słów, ale jego opis cmentarza ludzi bezimiennych, bez historii, bez zakorzenienia, bez możliwości zachowania ciągłości z pamięcią bliskich, pozostaje wyjątkowo mocnym i poruszającym obrazem. Śmierć w tym przypadku przerywa cierpienie, ale jednocześnie wymazuje biografię konkretnego człowieka na zawsze.

Jednym z bohaterów tego nietypowego, bo łączącego różne gatunki literackie reportażu jest doktor Pietro Bartolo. Autor nazywa go „lekarzem żywych i martwych”. Medyk nie ukrywa swojego zaangażowania i niemożności pogodzenia się ze śmiercią tych, którzy docierają na Lampedusę. Mówi m.in. o niebieskich workach. W jednym znajduje małego chłopca, w innym kobietę, która urodziła, a jej dziecko jest wciąż związane z nią pępowiną. Siła życia zostaje unieruchomiona przez bezdusność śmierci. W „Lekarzu z Lampedusy. Opowieści o cierpieniu i nadziei” Pietra Bartola i Lidii Tilotty doskonale widać, jak destrukcyjne jest towarzyszenie cierpieniu, ale jednocześnie jak niezbędne i konieczne jest pozostanie człowiekiem w chwili, gdy drugi człowiek potrzebuje pomocy.

Przyjmujemy was do siebie

Wśród wielu dramatycznych historii natknijmy się i na takie, które pomagają uwierzyć, że porozumienie i wsparcie w chwili próby są możliwe – bez uprzedzeń, bez kalkulowania, bez szukania uzasadnienia dla pomocy. Przykładem może być mało znana historia: w latach 50. XX w. w Polsce zorganizowano pomoc dla ponad tysiąca koreańskich sierot. Dzieci przebywające w ośrodku w Płakowicach doczekały się nie tylko

przyjaznego przyjęcia i zrozumienia, ale też – do momentu aż zabrano je z powrotem do kraju – czuły się na obczyźnie jak u siebie. Tożsamościowe dylematy wynikające z rozpięcia pomiędzy dwoma krajami jako stan determinujący biografie bohaterów, uwikłanie w Wielką Historię, wreszcie walka o pamięć to tematy obecne w reportażu Jolanty Kryswatej „Skrzydło anioła. Historia tajnego ośrodka dla koreańskich sierot”.

Na Dolny Śląsk trafili także uciekający przed dyktaturą i walczący w wojnie domowej Grecy. Historia tej migracji to również osobista historia rodziny Dionisiosa Sturisa. Reporter wraca do niej w swoich książkach poświęconych drugiej ojczyźnie – w „Grecji. Gorzkich pomarańczach”, „Nowym życiu. Jak Polacy pomogli uchodźcom z Grecji” i „Zachodzie słońca na Santorini. Ciemniejszej stronie Grecji”. Perspektywa autobiograficzna zostaje zderzona z celnymi diagnozami na temat greckiego społeczeństwa, jego doświadczeń i czyhających na niego zagrożeń (np. działalność skrajnie prawicowej partii Złoty Świt). To, co historyczne, powiązane zostaje z tym, co dzisiejsze. Problem migracji najbardziej dominuje w „Nowym życiu”. Na plan pierwszy wysuwa się życzliwość i chęć pomocy okazywane Grekom przez Polaków. Sturis kładzie nacisk na kwestię pamięci i zobowiązań z nią związanych. Ci, którzy uciekali przed szykanami, torturami, pokazowymi karami śmierci, więzieniem, otrzymywali na uchodźstwie spokój i bezpieczeństwo. Najpierw przybywają dzieci, inwestuje się więc w przyszłość, potem dorośli. Książka Sturisa to próba zachowania minionego i utrwalenia historii, którą pamiętają dziś nieliczni. Ważnym momentem zwrotnym staje się likwidacja greckiego archiwum dotyczącego uchodźców. Reporter ma świadomość, że takie decyzje urzędnicze skutkują wymazaniem przeszłości.

Po co reportaż?

Co może zrobić reporter, kiedy widzi cierpienie lub kiedy dowiaduje się o tym, że gdzieś dzieje się komuś krzywda? Próbuje pomóc. Do tego celu używa nie tylko słów, choć głównie dzięki nim powstaje świadectwo dokumentujące czyjeś cierpienie, historię, przeżycia. Może również towarzyszyć swoim bohaterom – wysłuchać, być obok, nie dać się zwieść na ma-

■ Zamieszki na ulicach
Paryża, gettoizacja
na podstawie rasowej
i klasowej przynależności
– to wszystko
zakorzenione jest nie tylko
w „tu i teraz”, ale także
w kolonialnej przeszłości,
która pozostawiła
ślad w relacjach
międzyludzkich.
Wyzysk wiąże się
ze stygmatyzacją i łatwością
klasyfikowania innych
ludzi.

nowce, stanąć po stronie prawdy, przezwyciężyć milczenie i opowiedzieć taką wersję historii, która będzie najbliższa dziejącym się wydarzeniom. Jak ważna to rola, widać chociażby na przykładzie tego, co działo się po ludobójstwie w Rwandzie, kiedy setki tysięcy Hutu uciekały do Konga. Olga Stanisławska wspomina o tym we wstępie do „Strategii antylop” Jeana Hatzfelda. Niektóre media właśnie o nich opowiadały jako o ofiarach. Tymczasem uciekinierami byli zabójcy, a tymi, których zabijano, przedstawiciele Tutsi. Jak w takiej sytuacji zdefiniować tożsamość uchodźcy?

Reporter może również opowiedzieć o tym, czego nie chcemy wiedzieć i o czym nie chcemy słyszeć. Przykładem niech będzie „Najważniejszy wrzesień świata” Marka Rabija, książka dokumentująca przeżycia Rohingów w Birmie. Przebywający w obozach dla uchodźców opowiadają o swojej dramatycznej ucieczce przed systemowo zaplanowaną śmiercią. „Wszystkie ziarna piasku” Bartka Sabeli to z kolei opowieść o tym, co dzieje się w Saharze Zachodniej. Sytuacja polityczna bez wyjścia skutkuje ucieczką rdzennej ludności do Algierii i zamieszkaniem w obozach dla uchodźców.

Dzięki pracy reporterek i reporterów dowiadujemy się również, że konflikty, które wydają się często zakończone, nadal

trwają i niewiele brakuje, by zło zaczęło znowu triumfować. Widać to chociażby w reportażach dokumentujących czas po wojnie w byłej Jugosławii oraz rodzaj „wygaszenia” tego wszystkiego, co tamte wydarzenia uruchomiły: wiedzy o miejscach pochówku, potrzeby zadośćuczynienia, wybaczenia, pychy tych, którzy mają władzę. W „Grabarkach” Tainy Tervonen pojawia się motyw opuszczonego z powodu ucieczki domu. Choć jego właściciele od lat przebywają na emigracji, nie sprzedają ziemi i czasami odwiedzają to miejsce, by zobaczyć ślad po dawnym, niemożliwym do odtworzenia życiu.

Reporter może również spróbować pokazać to, co jest udziałem jego bohaterów, towarzysząc im w trudnej drodze po to, by być jak najbliżej prawdy ich doświadczenia. Szymon Opryszek w swoim cyklu „Moja zbrodnia to mój paszport” odtwarza drogę tych, którzy docierają do polsko-białoruskiej granicy. Jest blisko, ale mimo swojego zaangażowania nie porzuca pozycji uważnego obserwatora i dokumentalisty. W materiałach zapowiadających czteroodcinkowy projekt Opryska pojawia się pytanie, czy autor jest reporterem, czy może aktywistą. Kto wie, czy w przypadku spraw wymagających opowiedzenia się za człowiekiem, za jego życiem i bezpieczeństwem, właśnie aktywizm nie jest konieczną reakcją.

Słowo bywa bardzo skuteczne. Powiązane z działaniem pozwala na marzenie o tym, że okaże się również trwałe i że realnie wpłynie na zmianę świata na lepsze.

© BERNADETTA DARSKA

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się debata z udziałem **SZYMONA OPRYSZKA**, **OLGI STANISŁAWSKIEJ** oraz **DIONISIOSA STURISA** pt. „Ktoś musi opowiedzieć tę historię”, którą poprowadzi Bernadetta Darska. Porozmawiamy m.in. o tym, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej, o tym, w jaki sposób Europa (nie) radzi sobie z przybierającą na sile migracją z krajów globalnego Południa, a także o tym, jak wygląda życie ludzi, którzy w Polsce – z wyboru lub z konieczności – postanowili zostać na dłużej, dla których właśnie Polska stała się drugim domem. I jak o migracji opowiadają współczesne reportaże.

Asymulacja

GRZEGORZ JANKOWICZ

**Debiutancka książka
Natashy Brown
„Przyjęcie” jest
powieścieoesejem,
który obnaża brytyjski
system społeczny
z jego pozorną
otwartością
na migrantów.
Za fasadą inkluzywności
kryje się bezwzględna
brutalność.**



W jednej ze scen główna bohaterka – jednocześnie narratorka – odwiedza szkołę, by wygłosić pogadankę o zaletach pracy w instytucjach finansowych. Jako przedstawicielka dużego londyńskiego banku musi regularnie uczestniczyć w takich zgromadzeniach. Oficjalny cel to inspirowanie młodych ludzi (przede wszystkim dziewcząt). Bank myśli strategicznie: trzeba zadbać o przyszłość i już teraz pozyskać dla sprawy choćby kilka nowych osób, trzeba je przekonać, że pracując dla Instytucji, będą nie tylko wspierać system finansowy kraju i świata, ale także spełniać wszystkie „swoje” marzenia. Bohaterka wygłasza okragłe zdania o tym, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli tylko ciężko pracujemy i przekraczamy własne ograniczenia.

Jednak nie wierzy w ani jedno swoje słowo. Ma poczucie, że oszukuje młodych ludzi, a nawet więcej: że jest roznosicielką wirusa, który obezwładnia ich umysły i dusi w zarodku krytyczny potencjał ich myśli. Ale nie potrafi się temu przeciwstawić. Zajmuje określone miejsce w strukturze potężnej Instytucji, a to oznacza, że musi realizować założony plan. Forma i sens wypowiedzianych przez nią komunikatów – nie tylko oficjalnych, także prywatnych – zostały z góry ustalone. Ona ma je tylko prezentować (w szkołach, na uniwersytetach, w organizacjach kobiecych, podczas targów pracy, ale także

w codziennych rozmowach, gdy ktoś zapyta ją, czym się zajmuje i dlaczego warto to robić). Pozycja w strukturze determinuje granice jej języka. Nikt nie musi jej przypominać, że tych granic należy się trzymać. System przenika wszystkie sfery jej życia – przejął nad nią kontrolę i przekształcił w oddaną sprawie funkcjonariuszkę.

Medium doskonałe

Natasha Brown opowiada historię czarnej Brytyjki, która wychowała się w rodzinie jamajskich migrantów. Z wielką determinacją pokonała wszystkie szczeble awansu. Ukończyła dobre szkoły, co pozwoliło jej zdobyć pracę w londyńskim banku. Świetnie zarabia, kupuje mieszkanie, ma chłopaka, który pochodzi z szacownej brytyjskiej rodziny. Trajektoria jej życia wydaje się wręcz doskonała. W rzeczywistości bohaterka nie czuje się spełniona. Mimo że nie daje tego po sobie poznać, z wolna narasta w niej przekonanie, że świat, do którego należy, jest na wskroś niesprawiedliwy i przemocowy. Większość osób uczestniczących w tej społecznej grze w ogóle nie widzi problemu, nawet wtedy, gdy na własnej skórze doświadcza wykluczenia czy wyzysku. Pewne rzeczy po prostu się dzieją. Pewne gesty są po prostu wykonywane. Pewne słowa po prostu padają. Wszystko to składa się na rodzaj toksycznej chmury, która każdego dnia przechodzi przez miasto i zatrzuwa

umysły oraz ciała zamieszkujących je osób.

Jako czarnoskóra Brytyjka narratorka ma do odegrania bardzo ważną rolę. Nie tylko w banku, ale w ogóle w przestrzeni publicznej. Instytucja wysyła ją na szkolenia i pogadanki z potencjalnymi pracownikami nie tylko dlatego, że znakomicie włada angielszczyzną i łatwo nawiązuje kontakt, ale przede wszystkim dlatego, że poprawia wskaźniki wizerunkowe. Jest dowodem na to, że bank dba o różnorodność, że ma w swoich szeregach ludzi reprezentujących różne nacje i kultury, że realizuje program społeczny, którego celem jest powszechny dobrobyt, że wyrównuje szanse, zajmując się tymi, którzy kiedyś byli ciemniejsi. Z perspektywy Instytucji bohaterka jest medium doskonałym: nie do końca transparentnym, a jednak znakomicie przekazującym ideę przewodnią, zgodnie z którą odpowiednio pomnażany pieniądz jednocy ludzi pochodzących z odmiennych światów. Ta idea ma działać jak zasłona, pod którą skrywana jest więzka interseksjonalnych wykluczeń. Jej przełożony nieustannie daje jej do zrozumienia, że są do siebie podobni (on, mimo że biały, też wychowywał się w biednej okolicy i musiał walczyć o pozycję). Podobieństwo losów nie przekłada się jednak na równe prawa. Nawet wtedy, gdy bohaterka otrzymuje awans, nie przestaje być traktowana jak „asystentka”, której można zrzucić na głowę dodatkowe za-



KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE

NATASHA BROWN – brytyjska pisarka. Jej debiutancka powieść „Przyjęcie” (edycja polska Wydawnictwo Poznańskie 2023, tłum. Martyna Tomczak) była nominowana do wielu nagród, m.in. Folio Prize, Goldsmiths Prize i Orwell Prize for Fiction. Autorka została uznana za jedną z najlepszych debiutujących powieściopisarek w 2021 r. przez magazyn „Observer” oraz za jedną z najlepszych młodych brytyjskich powieściopisarek roku 2023 przez magazyn „Granta”.

dania. Jako kobieta ciągle musi bronić się przed gestami przekraczającymi jej granice (mentalne i cielesne), mimo że otwarcie je wskazuje. Jej koleżanki i koledzy (głównie koledzy) nie traktują jej poważnie. W ich ocenie awansowała tylko dlatego, że jest czarna – firma prowadzi inkluzywną politykę kadrową, więc po prostu to konkretne miejsce w instytucjonalnej hierarchii musiało zostać wypełnione „taką” osobą.

Medium doskonałe ma przepuszczać wszystko: z jednej strony idee, które leżą u podstaw firmy, z drugiej – każdą szykanę. Póki ten obustronny ruch odbywa się w niezakłócony sposób, póty system może ekspandować.

Beztroska brutalność

Akcja powieściego Brown rozgrywa się na przestrzeni kilkudziesięciu go-

dzin, które poprzedzają przyjęcie organizowane przez rodziców chłopaka głównej bohaterki. Wyobraźcie to sobie: duży dom na brytyjskiej prowincji, w zasadzie zameczek z przepięknym ogrodem. W środku salon, sypialnie, biblioteka... Wystrój wewnątrz adekwatny do statusu społecznego właścicieli.

No właśnie, jacy są ci właściciele? Konserwatywni, bo trzeba stać na straży porządku; nie można pozwolić, by struktura rozchwiejała się na skutek nieodpowiedzialnych posunięć politycznych. Jednak otwarci, może nawet postępowi, czego wyrazem ma być akceptacja dla obecnej partnerki ich syna. Należy ważyć słowa: rodzina mówi w tym kontekście o „relacji”, gdyż nie jest wcale pewne, czy nie będzie to jedynie sezonowa miłość. Dla niego – młodego, przystojnego, wykształconego, a przede wszystkim białego – byłoby lepiej, gdyby nie trwało to zbyt długo. Ma przecież czas, żeby poukładać sobie życie. Oczywiście, nikt nie mówi tego na głos. Poza tym w ogóle nie chodzi o kwestie rasowe. To byłoby niczemne! Ale rodzina (zwłaszcza matka) uważa, że różnica klasowa może stać się przyczyną wielu nieporozumień, a nawet konfliktów. Zatem w towarzystwie chwalimy się, że syn ma czarną dziewczynę, zachowując dystans, który przejawia się w mikrogestach, w pojedynczych słowach, w subtelnej pobłażliwości wobec „tej” osoby.

Co według „właścicieli” jest subtelnym dystansem charakteryzującym ludzi z klasą, bohaterce jawi się jako „beztroska brutalność”. Brown wybrała doskonałe określenie: to rodzaj przemocy, który zadawany jest niemal mimowolnie. Nie chodzi o to, że ktoś chce zrobić narratorce intencjonalną krzywdę. Idzie o to, że system, w granicach którego nagle się znalazła, narzuca jego głównym użytkownikom określony – podszyty przemocą – sposób działania. Na najgłębszym poziomie sposób ten jest wykluczający wobec ludzi, którzy zostali oznaczeni jako obcy.

Świat, do którego należy jej chłopak, świat jego rodziny, świat tego towarzystwa jest tak naprawdę zamknięty. Przekraczając jego granice, bohaterka musi się liczyć z tym, że w każdej chwili ktoś będzie mógł zakwestionować jej pozycję, jej prawo do bycia wewnątrz. Jej obecność najbardziej doskwiera matce chłopaka. Ojciec jest po prostu dziedzicem.

Jego forma życia została wykuta ze szlachetnego kamienia wielki temu. Przejął ją i nigdy nie musiał się zastanawiać nad sensownością swoich decyzji i czynów. Od samego początku wszystko było oczywiste i dzięki temu pracowało na jego korzyść. Samooczywistość egzystencji daje mu tak wielką siłę, że w kontakcie z ludźmi przybywającymi do wrót jego zameczku z innych światów może sobie pozwolić na luz.

Inaczej podchodzi do tego matka. Wznieła się w tę rodzinę, więc dla niej – choć do perfekcji opanowała sztukę mimikry – bogactwo (społeczne, kulturowe i ekonomiczne) nie jest oczywiste. Gdy na horyzoncie pojawia się osoba reprezentująca inną klasę, matka czuje, że budzi się w niej pierwotna niepewność. Zaczyna się obawiać o szczelność swojej tożsamościowej powłoki, swojej maski społecznej i swojej emocjonalnej tarczy. Zagrożenie jest urojone, gdyż bohaterka nikogo nie prowokuje, ale to nie ma znaczenia. W rozmowie ze znajomymi rodziny matka przedstawia narratorkę jako „najmowszą przyjaciółkę” swojego syna. Skoro jest tylko jedną z wielu, skoro jest tylko elementem szeregu, to znaczy, że jej relacja miłosna nie jest wyjątkowa i nigdy nie przekształci się w prawdziwy związek. To będzie sezonowa fanaberia.

Rezygnacja

Mimo że bohaterka nie protestuje otwarcie wobec tych wszystkich form przemocy, jest coraz bardziej świadoma swojej sytuacji. Nie jest tak, że w środku pozostaje niezależna, a udawane formy akceptacji dla opresyjnego porządku pojawiają się wyłącznie na zewnątrz jako część jej strategii przetrwania. W jednym z najbardziej przejmujących fragmentów podkreśla, że nigdy nie przestaje cenzurować swych myśli. Brown zapisuje te słowa jak wiersz – rozbija je na wersy i umieszcza w przypisie: „To niebawem, że nawet / w pozornym zaciszu własnej głowy / czuję / (nadal) / potrzebę / cenzurowania swoich myśli” (przeł. Martyna Tomczak). Toksyna przeniknęła do najgłębszych pokładów jej umysłu i ciała, dlatego opór wobec systemu rodzi się powoli i nie przyjmuje rewolucyjnych form.

W pewnym momencie dowiadujemy się, że bohaterka choruje na raka. →

→ Powinna natychmiast poddać się terapii, by zneutralizować zagrożenie. Tego oczekuje jej chłopak, który sam codziennie przyjmuje tabletki na polepszenie nastroju. W ten sposób Brown daje sygnał, że forma życia, w którą wyposażyla go bogata patriarchalna rodzina, nie jest wcale zdrowa, że trzeba za nią zapłacić określoną cenę. Ani chłopakowi, ani jego rodzinie nie przychodzi jednak do głowy, by zakwestionować fundamenty tego porządku społecznego. Nikt spośród nich nie chce trwałej zmiany. Wybierają – by tak rzec – leczenie zachowawcze, które synowi (duszącemu się w cieniu ojca) pozwala nadal uczestniczyć w grze.

Bohaterka nie chce udawać. Nie ma siły na radykalne gesty, nie potrafi uderzyć w fundamenty systemu, ale ma sposób na to, by choć na chwilę zaciąć tę monstrualną maszynę: postanawia zrezygnować z leczenia. Brytyjscy recenzenci mieli z tym fabularnym rozwiązaniem ogromny problem. Zarzucali Brown, że wybrała melodramatyczne zakończenie, by silniej oddziaływać na czytelników. Dlaczego mielibyśmy paść trupem – pytał jeden z krytyków – zamiast rzucić to wszystko w diabły? Według mnie te reakcje były symptomatyczne. Rak, który toczy ciało bohaterki, to metafora choroby społecznej, na którą cierpią wszyscy. Zgoda na leczenie byłaby równoznaczna z akceptacją warunków świata, w którym osoba oznaczona metką „obcy” może funkcjonować tylko o tyle, o ile pozostanie na zawsze w stanie „skulenia”. U Brown brytyjskie społeczeństwo włącza innych w swoje granice tylko po to, by wskazać im ostatnie miejsce wewnątrz. To rodzaj włączającego wykluczenia albo wkluczającego wyłączenia. Owszem, można być w środku, ale tylko w określonym obszarze, można myśleć, działać i żyć, ale nigdy swobodnie. Taka egzystencja jest równoznaczna z ciągłym poczuciem zagrożenia, które skutkuje niepewnością i monstrualnym stresem. Żeby się go pozbyć, trzeba by zmienić warunki społeczne. Ale na to nikt nie pozwoli, dlatego pozostaje farmakologia jako działanie zastępcze. Bohaterka wybiera trzecią drogę: całkowitej rezygnacji (co oczywiście nie znaczy, że Brown namawia nas do tego, byśmy przestali się leczyć; wskazuje tylko, że pełne ozdrowienie jest zależne nie tylko od farmaceuty-

■ Bohaterka Brown ciągle musi bronić się przed gestami przekraczającymi jej granice (mentalne i cielesne), mimo że otwarcie je wskazuje. Jej koleżanki i koledzy (głównie koledzy) przy każdej okazji dają do zrozumienia, że nie traktują jej poważnie. W ich ocenie awansowała tylko dlatego, że jest czarna.

■ Brown opisuje skutki „beztroskiej brutalności”. To rodzaj przemocy, który zadawany jest niemal mimowolnie. Nie chodzi o to, że ktoś chce zrobić bohaterce intencjonalną krzywdę. Idzie o to, że system, w granicach którego nagle się znalazła, narzuca jej głównym użytkownikom określony – podszyty przemocą – sposób działania.

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **NATASHĄ BROWN** o różnych formach wykluczenia, którym podlegają migranci oraz ich dzieci, o klasowości dzisiejszego społeczeństwa brytyjskiego, o konsekwencjach życia w toksycznej kulturze, o możliwych formach oporu wobec współczesnych mechanizmów społecznych, które odpowiadają za nierówności, a także o roli, jaką w tej walce może odegrać literatura.

ków, ale też od neutralizacji destrukcyjnej kultury).

Nie jest to jednak gest „intymny”, gest pozbawiony skutków społecznych. Jeśli dziś system potrzebuje „właściwego rodzaju różnorodności”, by ekspandować, to wypisanie się z niego musi wywołać wstrząs. Owszem, jest to wstrząs lokalny, ale zauważalny. Nie sposób go przeoczyć. Czy on może zapoczątkować ogólniejszą zmianę? To zależy już od nas.

Zgromadzenie

Mam problem z polskim tytułem książki Natashy Brown. „Przyjęcie” naprowadza nas na dwa tropy: z jednej strony chodzi o imprezę, którą organizują rodzice chłopaka głównej bohaterki, z drugiej o proces przyjmowania jej do grupy uprzywilejowanych – do klasy, która rządzi całym tym światem. Jednak w oryginale mamy rzeczownik „assembly”, który oznacza „zgromadzenie” (np. kontrahentów czy uczniów). Dawniej używano tego słowa jako synonimu związku lub małżeństwa. Do angielszczyzny trafiło ono za pośrednictwem języka francuskiego, ale wywodzi się z łaciny, gdzie czasownik „assimilare” oznaczał „czynić kogoś lub coś podobnym”, ale także „udawać”, „naśladować kogoś”. Brown wybrała „assembly”, by wywoływać przez to słowo skojarzenia skonstruować z wiązką znaczeń, które niesie rzeczownik „assimilation”. Jego droga do angielszczyzny była bardzo podobna, a czasownikowa podstawa łacińska jest niemal taka sama: „assimilare”. Różnica jednej samogłoski, ale różnica niezwykle istotna.

Bohaterka Brown podkreśla, że w Anglii na każdym kroku ktoś zachęca migrantów do asymilacji. System społeczny wywiera na przybyszkach i przybyszach ogromną presję, tworząc złudzenie inkluzywności. W rzeczywistości jednak mamy do czynienia z permanentną asymulacją, czyli pozorowaną otwartością i wykluczającym włączeniem. Gromada nigdy nie będzie wspólnotą równych! Główna bohaterka wypisuje się z życia, gdyż nie akceptuje tej reguły i nie chce dłużej funkcjonować w toksycznym środowisku, które wampirycznie karmi się jej energią.

Jeśli to widzimy i rozumiemy, to coś powinniśmy z tym wreszcie zrobić, prawda? © GRZEGORZ JANKOWICZ

Wielkie otwarcie

DARIUSZ GZYRA:

Ucieczka z powodu zagrożeń klimatycznych będzie doświadczeniem coraz większej liczby ludzi i innych zwierząt, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. A już dziś nie radzimy sobie z tym problemem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy zwierzęta mogą być uchodźcami?

DARIUSZ GZYRA: Po eskalacji konfliktu w Ukrainie w przestrzeni medialnej pojęcie uchodźstwa w naturalny i nieplanowany sposób rozszerzyło się także na zwierzęta.

Nieplanowany?

Na szczęście nie mieliśmy innego słowa, które opisywałoby doświadczenie ucieczki przed przemocą i zagrożeniem życia w odniesieniu do zwierząt innych niż ludzie. Spontanicznie użyliśmy więc pojęcia dotychczas zarezerwowanego dla ludzi. Niestety, jego szersza wersja wciąż funkcjonuje jedynie w rozumieniu potocznym, bo do zmian prawnych, choćby związanych z regulacjami konwencji genewskiej, jeszcze bardzo daleka droga.

Ale problem jest już dyskutowany?

Na razie w środowiskach akademików, głównie filozofów. Pojawiły się już pierwsze publikacje naukowe postulujące oficjalne rozszerzenie definicji uchodźstwa na inne zwierzęta, jak również uwzględniania ich w rozważaniach o tzw. wojnie sprawiedliwej. Trwające dyskusje dotyczą choćby możliwości wykorzystania istniejących kryteriów, na podstawie których uznajemy kogoś za uchodźcę, uchodźczynię lub za ofiarę wojny.

Potrzebujemy nowych kryteriów?

Moim zdaniem te obecne, dotyczące ludzi, są w dużym stopniu użyteczne.



VADIM GHIROA / AP / EAST NEWS

Ewakuacja mieszkańców Irpienia obleganego przez wojska rosyjskie. Ukraina, 5 marca 2022 r.

Zwierzęta stają się uchodźcami z podobnych powodów co my, a są wyłączone spod ochrony prawnej z przyczyn kulturowych. Problem leży więc głębiej i obawiam się, że możemy nie dożyć finalizacji samego procesu prawnego. Niemniej cieszy mnie, że przynajmniej o tym rozmawiamy. Wszelkie zmiany w tym zakresie zaczynają się właśnie od dyskusji, a konkretniej od przełamywania tendencji do zawężania podstawowych pojęć polityczno-etycznych wyłącznie do sfery ludzkich doświadczeń.

Czy nasza reakcja na obrazy przedstawiające ludzi uciekających przed wojną wraz ze swoimi zwierzętami oznacza zmianę w naszej wrażliwości?

Trudno jest rozdzielić ludzki i pozaludzki wymiar wojny. Nasze losy od zawsze spletały się z losami przedstawicieli innych gatunków. W przypadku konfliktu w Ukrainie różnica polega przede wszystkim na tym, że w końcu zaczęliśmy otwarcie i powszechnie o tym mówić. Jest nadzieja, że obrazy pojawiające się w mediach są przejawem dużo głębszego

procesu społecznego. W pierwszych miesiącach konfliktu o zwierzętach mówiliśmy bardzo dużo – bywały wręcz jego symboliczną ilustracją, uosabiały niewinność ofiar. Niestety, dziś znów pojawiają się jedynie okazjonalnie, tak jakbyśmy wrócili do poprzednich, fatalnych wzorów myślenia.

Wojna zbliżyła ludzi do zwierząt?

To chyba zbyt daleko idące stwierdzenie. Teoretycznie możemy wyobrazić sobie taki mechanizm empatii: skoro ktoś cierpi i musi uciekać, to potrafi dzięki temu lepiej zrozumieć krzywdę innych istot. Niestety, w praktyce to nie jest takie proste. Przede wszystkim sama kategoria „zwierzę” jest wewnętrznie bardzo zróżnicowana. Np. zakwalifikowanie danego gatunku jako zwierzę domowe albo gospodarskie definiuje to, jak będzie wyglądało całe jego życie, włącznie ze sposobem, w jaki umrze. Mówi się czasem, że wojna znosi dotychczasowe porządki, niszczy istniejące relacje, jednak nie w tym przypadku. Gdy w jej kontekście mowa o uchodźstwie zwierząt, chodzi głównie o psy i koty, czasem o konie, →

→ sporadycznie o inne zwierzęta. Na pewno również o zwierzęta z ogrodów zoologicznych – np. poznańskie zoo przyjęło ponad 200 zwierząt ewakuowanych z Ukrainy. Więc jedno tak, ale inne, tzw. gospodarskie, już nie – ich nikt nie nazwie uchodźcami, nikt ich też nie będzie ratował, bo na trwałe wyłączały w kategorii „użytkowe”. Jeśli więc zbliżyliśmy się do zwierząt, to do tych, z którymi wcześniej już byliśmy relatywnie blisko. W odniesieniu do zwierząt gospodarskich używano czasem terminu „relokacja” – przenoszono je w inne miejsca na terytorium Ukrainy, ale nie po to, aby je ratować przed wojną, ale by móc je dalej eksploatować w niezakłócony sposób. Tak więc gdy rozmawiamy o „zwierzętach”, musimy pamiętać o skomplikowanej i niewygodnej strukturze tego pojęcia.

Czyli takie wybiórcze zbliżenia to ślepa droga w kontekście poszerzania międzygatunkowej empatii?

To zależy. Kulturowe mechanizmy, które ułatwiają nam empatię wobec zwierząt domowych, da się wykorzystać na dwa sposoby. Z jednej strony może to jedynie prowadzić do pogłębienia szowinizmu gatunkowego, z drugiej to potencjalna furtka dla poszerzenia naszego myślenia etycznego, zgodnie z zasadą „podobne traktuj podobnie”. Dzisiejsza nauka, choćby etologia czy zoopsychologia, mówią wprost, że zwierzęta domowe i gospodarskie nie różnią się między sobą w żaden istotny moralnie sposób. Podobnie cierpią, odczuwają strach i inne emocje, nie ma więc dobrych powodów, aby traktować je inaczej. Jednak za sprawą czynników kulturowych, można je też nazwać ideologicznymi, jedne gatunki przeznaczamy na przyjaciół i towarzyszy, drugie po wsze czasy uznajemy wyłącznie za źródło mięsa, mleka czy jajek.

Jak zatem, choćby na poziomie samego języka i kategorii, którymi się na co dzień posługujemy, osłabiać ten podział?

Powinniśmy pracować nad zmianą słownika, przy pomocy którego konfrontujemy się z innością w ogóle, bo mamy problem z zarządzaniem naszymi emocjami wobec wszelkich istot, które postrzegamy jako odmienne niż my sami – dotyczy to także innych ludzi. Taki językowy kodeks z pewnością

Powinniśmy pracować nad zmianą słownika, przy pomocy którego konfrontujemy się z innością w ogóle, bo mamy problem z zarządzaniem naszymi emocjami wobec wszelkich istot, które postrzegamy jako odmienne niż my sami – dotyczy to także innych ludzi.

ułatwiłby nam budowanie nowych relacji społecznych, a także zasypanie kulturowej przepaści między ludźmi i innymi zwierzętami.

Chociażby używając terminu „zwierzęta pozaludzkie”?

To dobry przykład prostej i zgrabnej interwencji językowej. Jeszcze jakiś czas temu to określenie wydawało się egzotyczne. Co prawda w dyskusjach akademickich funkcjonuje już od dekad, ale w przestrzeni medialnej zdomowało się dopiero niedawno. Dzięki niemu możemy przypominać, że ludzie także są zwierzętami. To z jednej strony zasypuje różnice, z drugiej sprawia, że określenie „zwierzę” przestaje być obelgą.

Inne przykłady takich interwencji?

Powinniśmy przestać paranoicznie bronić niektórych słów jako przynależnych wyłącznie relacjom międzyludzkim, np. wspólnota, rodzina czy sprawiedliwość. Ich rozszerzenie wciąż może brzmieć nieco egzotycznie, ale nie ma innej drogi. Istotne pojęcia, które konstytuują nasze życie społeczne, mają sens wyłącznie wtedy, gdy są powszechne i inkluzyjne. Co ważne, praca w języku to dość łatwa, a jednocześnie skuteczna i dająca satysfakcję forma aktywizmu, którą każdy może praktykować w życiu codziennym.

Pisze Pan też często o problematyczności pojęcia „ochrona zwierząt”.

W przestrzeni dyskursu publicznego ten termin jest niemalże całkowicie wyprany ze znaczenia. Bo co z tego, że mamy ustawę o ochronie zwierząt, skoro w Polsce co roku zabija się miliardy zwierząt dla zaspokojenia potrzeb człowieka? Słowo „ochrona” jest więc w tym kontekście bardzo kontrowersyjne, jego bezrefleksyjne stosowanie utrudnia dostrzeżenie zwierzęcej krzywdy. Dla mnie w każdym razie jest ono nie do przyjęcia, gdyż rzeczywista systemowa ochrona zwierząt po prostu nadal nie istnieje.

Powinniśmy zamiast tego rozmawiać o prawach zwierząt?

Tak, to dobry przykład międzygatunkowego rozszerzenia pojęcia, które tradycyjnie było zarezerwowane wyłącznie dla ludzi. Bardzo ważne, żebyśmy rozumieli, co ono oznacza. Gdy mówimy o prawach człowieka, nie dyskutujemy przecież o tym, jakie formy eksploatacji innych ludzi są dopuszczalne, a jakie uważamy za zbyt drastyczne. Zamiast tego mamy raczej na myśli, że każdy człowiek jest podmiotem, a nie przedmiotem – i z tego powodu ma pewne niezbywalne prawa, może ustanawiać nieprzekraczalne granice w relacjach z innymi. Na najbardziej podstawowym poziomie sprowadza się to do tego, że mamy prawo do niebycia krzywdzonym. Na tej podwalinie nadbudowane są kolejne prawa, np. obywatelskie.

Prawa zwierząt powinny wyglądać analogicznie?

Niektóre prawa mają sens wyłącznie w odniesieniu do ludzi, inne mogą dotyczyć wszystkich zwierząt zdolnych do odczuwania. Analogiczne powinno być np. prawo do życia, jego kontynuacji aż do naturalnego końca w możliwie najlepszych warunkach. Oczywiście również wiele praw szczegółowych, jak prawo do kontaktów społecznych, do dobrego środowiska lub opieki zdrowotnej itd. Ciekawym przykładem są prawa polityczne, a więc zapewnienie, że interesy danego zwierzęcia zostaną wzięte pod uwagę w procesie decydowania o kształcie życia społecznego. Tak rozumiane prawa, które stanowiłyby jedyną rzeczywistą ochronę zwierząt, niestety jeszcze nigdzie na świecie

cie nie zostały w pełni skodyfikowane. To wciąż jedynie koncepcja etyczno-polityczna.

Gdy w zachodnim świecie w XVIII wieku rodziły się ruchy abolicjonistyczne, zniesienie niewolnictwa wydawało się projektem utopijnym. Z kolei w książce „Dziękuję za świńskie oczy” użył Pan określenia „oswajanie utopii”.

Możemy tu szukać analogii?

Wydaje mi się to uzasadnione. Niewolnictwo ludzi przez wieki wydawało się doskonale umocowane w kulturze, nie tylko ekonomicznie, ale przede wszystkim w codziennych praktykach społecznych. W pewnym momencie ta „normalność” została jednak zakwestionowana, co pokazuje, że wielkie zmiany są możliwe. Aczkolwiek w przypadku zwierząt będzie to znacznie trudniejsze, bo normalizacja krzywdy zwierząt jest mocniej ugruntowana. Co więcej, należy pamiętać, że wraz z prawnym zniesieniem niewolnictwa wcale nie zakończyły się praktyki drastycznego wyzysku jednych ludzi przez drugich. Nie mówiąc już o innych problemach, jak choćby o rasizmie w jego najróżniejszych formach. Nie mam więc złudzeń, że w przypadku zwierząt, o ile taki przewrót kiedykolwiek się wydarzy, byłoby inaczej.

Czyli jednak utopia, i to nieoswojona?

Z pewnością utopijne byłoby myślenie, że jako cywilizacja dojdziemy kiedyś do punktu, gdy nikt już nigdy nie będzie krzywdzony. Taki program polityczno-społeczny jest absurdalny. Natomiast nie jest utopijne dążenie do zaprzestania systemowej przemocy względem innych cyfujących istot, choćby poprzez stopniową delegalizację konkretnych praktyk. To jest możliwe.

Kiedy?

Niestety, jeszcze nie teraz, o czym świadczyć mogą chociażby programy wyborcze wszystkich liczących się w Polsce partii politycznych, gdzie w poważny sposób o prawach zwierząt właściwie nawet się nie wspomina. A intelektualne i etyczne koncepcje istnieją już od lat. Co więcej, są już wystarczająco dopracowane, aby po prostu z nich korzystać. Łatwo oczywiście zrzucić całą winę na po-

lityków, ale prawda jest taka, że wciąż za mało jest wyborców, którzy wymagaliby od nich bardziej zdecydowanych działań.

Wracamy do punktu wyjścia, czyli wspólnoty, która staje przed decyzją o poszerzeniu swoich granic.

Tego typu decyzje u wielu ludzi zawsze budzą niepokój. Gdy jedni chcą zmian, od razu pojawiają się inni, którzy twierdzą, że wspólnota tego nie przetrwa, że naruszy to jej fundamenty i doprowadzi do katastrofy.

Lęk to naturalna część tego procesu?

Z historycznego punktu widzenia wydaje się, że tak. Dlatego warto przypominać, że tego typu poszerzanie moralnych granic to przede wszystkim wyzwanie, które może przynieść wiele korzyści, a także otworzyć nowe możliwości rozwoju. Wyobraźmy sobie świat, w którym wszystkim zwierzętom żyłoby się lepiej. Potrzebowalibyśmy w związku z tym nowych profesji, nasz system edukacji wymagałby poważnych zmian, podobnie nasze myślenie o przestrzeni, zarówno miejskiej, jak i wiejskiej. Musielibyśmy wyjść poza ciasny krąg ludzkich spraw. Byłoby to nowe, wielkie otwarcie w naszym myśleniu o świecie.

Stalibyśmy się lepszymi ludźmi?

Oczywiście. I byłibyśmy ludźmi b a r d z i e j. Wiele obszarów naszej egzystencji, które dziś są tłumione przez opresyjne wzory kulturowe, mogłoby rozkwitnąć. Proszę wyobrazić sobie, jak wspaniale wyglądałyby nasze miasta, gdybyśmy kształtowali je z myślą o innych gatunkach. Co za wyzwanie! A literatura i historia pisane z uwzględnieniem pozaludzkiego punktu widzenia? A nowy system edukacji? No i polityka, choćby ta żywieniowa lub związana z bezpieczeństwem. Ileż twórczych osób mogłoby się przy okazji realizować. Odrzucenie antropocentrycznego gorsetu byłoby niezwykle uwalniające. Podział na rzeczywistość ludzką i pozaludzką jest nie tylko sztuczny, ale też szkodliwy dla naszego myślenia.

A może to postępujące zmiany klimatyczne wymuszają na nas zmianę w odnoszeniu się do zwierząt?

Wracamy do problemu uchodźstwa. Ucieczka z powodu zagrożeń klimatycznych będzie doświadczeniem coraz

większej liczby ludzi i innych zwierząt, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. A już dziś nie radzimy sobie z tym problemem. Badania z całego świata pokazują, że gatunki zagrożone zmianami klimatycznymi masowo migrują, szukając nowych siedlisk. Powszechnie używa się określenia „gatunki inwazyjne”. To kolejny przykład pojęcia do wymiany. Zamiast o „inwazji” powinniśmy w takich przypadkach mówić raczej o desperackich próbach ratowania życia. Wiąże się to z głębszą zmianą myślenia o świecie. Nie powinniśmy kurczowo trzymać się znanej z przeszłości wizji świata, bo na naszych oczach staje się ona zwyczajnie nieaktualna. Musimy mieć w sobie większą otwartość na zmiany, bo będą one, czy tego chcemy, czy nie, następować coraz szybciej. Mówienie o uchodźstwie zwierząt pozwala nam też przeformułować nasze myślenie o świecie, choćby w kontekście granic. Te państwowe, do których jako ludzie jesteśmy tak przywiązani, są tylko jednymi z wielu, do tego w kontekście międzygatunkowym wyjątkowo mało istotnymi. Dla zwierząt nie istnieją Polska lub Ukraina, pozaludzkie granice przebiegają gdzie indziej. To jeden z wielu przykładów na to, że będzie lepiej, i to wszystkim, jeśli zaczniemy myśleć poza wąskimi kategoriami naszego gatunku.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada porozmawiamy z **DARIUSZEM GZYRĄ** o wpływie wojny, która toczy się w Ukrainie, na los zwierząt, o zmianach społecznych i politycznych, które są niezbędne, by w pełni, a nie tylko częściowo, chronić istoty pozaludzkie, a także o tym, jak może funkcjonować świat, w którym nie ma hierarchii między istnieniami. Moderatorką rozmowy będzie Beata Prokopczuk-Daab.

DARIUSZ GZYRA

(ur. 1967) – filozof, publicysta, działacz społeczny. Prowadzi zajęcia na wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego na kierunku antropozoologia. Współtworzy kadrę dydaktyczną interdyscyplinarnych studiów podyplomowych „Prawa zwierząt” na Uniwersytecie SWPS.

Czy potraficie słuchać?

MARIANNA LIS

W powieści Intan Paramadithy pierwsza decyzja – rozpoczęcie wędrówki – należy do głównej bohaterki. Każda kolejna – do osób czytających książkę, którym autorka powierzyła trud budowania narracji i tworzenia znaczeń.

Wyobraźmy sobie, że nasze „ja” zostaje zwielokrotnione i możemy doświadczyć różnych wersji siebie podróżujących poprzez alternatywne, istniejące równoległe światy. Część z tych światów jest zupełnie zwyczajna, jednak część wypełniona jest horrorem i grozą krwawych mitów oraz mrocznych baśni, przemilczanej i znormalizowanej przemocy czy wymazanych wspomnień o nieodległej przeszłości i nierozwiązanych konfliktach. Wyobraźmy sobie, że możemy wpływać na trajektorię naszej wędrówki. Że wszystkie światy, do których możemy dotrzeć, układają się w gigantyczną mapę pokrytą siecią ścieżek i rozwidleń, a my możemy wracać do kluczowych skrzyżowań, nie zastanawiając się „co by było, gdyby”, bo możemy przemierzać wszystkie dostępne trasy. Że nawet jeśli dotrzemy do napisu KONIEC, nie będzie to wcale realny koniec.

Wreszcie wyobraźmy sobie, jak nasze zwielokrotnione, coraz bardziej pofragmentowane „ja” zmienia się w trakcie tych wędrówek. W jaki sposób doświadczają i postrzegają siebie w zależności od miejsca, w którym jest, a jak jest postrzegane przez innych, przez ich poznawcze filtry i uprzedzenia. W jaki sposób nawiguje, negocjuje swoją tożsamość, odkrywa własną historię, w jaki sposób raz oddala się, raz przybliża do swoich korzeni, rodziny czy tradycji. Jak mniej lub bardziej świadomie odrzuca część z nich, przepoczwacza się. Czy kiedykolwiek uda mu się zatrzymać? Tak wygląda świat powieści zatytułowanej „Wędrówka”.

Niewygodna lektura

Jej autorka, Intan Paramaditha, indonezyjska pisarka i naukowiec, zbudowała uniwersum pozornie nieskończonych możliwości. Wyposażyła swoją bo-

haterkę, znudzoną młodą kobietę z Dżakarty (która chciałaby podróżować, ale niestety jej paszport nie otwiera przed nią zbyt wielu drzwi), w diabelsko-magiczne czerwone buty, dzięki którym będzie mogła przemierzać świat. A jednak każda pojawiająca się na jej drodze możliwość, każdy wybór powoduje konsekwencje. Rozpoczęcie podróży jest równoznaczne z wejściem w stan permanentnego ruchu. Kolejne odwiedzane miejsca budzą coraz silniejsze poczucie wykorzenienia. Pierwsza decyzja – założenie czerwonych butów i rozpoczęcie wędrówki – należy do bohaterki. Każda kolejna – do osób czytających książkę, którym autorka powierzyła trud budowania narracji i tworzenia znaczeń.

Spojrzenie na świat z perspektywy młodej Indonezyjki jest z jednej strony zaproszeniem do podróży wypełnionej cytatami z lokalnego i globalnego folkloru oraz (pop)kultury, z drugiej zaś szansą na rozmowę na temat dziedzictwa kolonializmu, wszechobecnego rasizmu, patriarchy i znormalizowanej przemocy wobec kobiet oraz wszelkich przywilejów, z których istnienia często nie zdajemy sobie sprawy. To lektura, która być niewygodna, wytrąca z równowagi, zwracając uwagę na nierówności społeczne, na przepaść między globalną Północą a Południem, wreszcie na to, jak traktowane są kobiety i wszystkie osoby nieuprzywilejowane, uciszane i niewidoczne.

Katalizatorem twórczości Intan Paramadithy od początku jej kariery pisarskiej były, jak sama mówi, złość i gniew. Na to, co działo się wokół niej, na to, co widziała w swojej własnej rodzinie, w pracy, a przede wszystkim na to, jak traktowane były i są kobiety oraz ich praca. Jeśli spojrzymy na historię literatury indonezyjskiej, bardzo szybko okaże się, że kobiety pozostają w niej na marginesie, a wszelkie podejmowane przez nie

próby zawalczenia o należną im uwagę przez dziesięciolecia były ignorowane i lekceważone. Pozycja kobiet w świecie literackim, podobnie jak współczesny indonezyjski feminizm, ukształtowana została, jak podkreśla Intan, przez historię wymazywania ich obecności.

Uciszone

Indonezja jest krajem niezwykle zróżnicowanym kulturowo, językowo i religijnie, ale w jej centrum od stuleci umieszczana jest Jawa i kultura jawajska, kształtowana m.in. przez stojące na straży tradycji kratony, pałace sułtańskie w Yogjakarcie i Surakarcie. Tworzona w nich na przestrzeni wieków poezja idealizowała pojęcie kobiecej skromności, wypierając powoli starożytną, związaną z ziemią koncepcję kobiecości, której seksualność i moce prokreacyjne były uzupełnieniem męskiej siły, niezbędnym do utrzymania kosmicznej równowagi.

Wraz z rozwojem władzy skoncentrowanej wokół kratonów i wcześniejszym przyjęciem takich religii, jak hinduizm i islam, potencjalnie niebezpieczne siły autonomicznej kobiecej seksualności zostały oswojone i poddane męskiej kontroli, co doprowadziło do powstania istniejącego do dzisiaj ideału kobiety zależnej i podporządkowanej. I chociaż krótko po odzyskaniu przez Indonezję niepodległości w kraju funkcjonował Ruch Kobiet Indonezyjskich, czyli Gerwani, który zrzeszał półtora miliona członkiń, będąc tym samym jedną z największych organizacji kobiecych na świecie, to ze względu na swoje powiązania z Komunistyczną Partią Indonezji został, po roku 1965, rozwiązany i zakazany, a jego działaczki przez dekady były więzione i poddawane represjom.

W „Wędrówce” Intan Paramaditha pokazuje, w jaki sposób propaganda prze-



KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE

INTAN PARAMADITHA (ur. 1979) – pisarka indonezyjska, autorka powieści i opowiadań, współautorka dramatów. Stopień doktorski otrzymała na New York University.

Wykłada na Macquarie University w Sydney. Proza Intan Paramadithy łączy współczesny zglobalizowany świat i indonezyjski folklor. Autorka jest feministką, głośno wypowiada się o problemach kobiet, bada tematykę gender i tożsamości, porusza kwestie związane z socjologią i polityką. W 2023 r. ukazała się po polsku jej powieść „Wędrówka” w przekładzie Marianny Lis (Wydawnictwo Tajfuny).

tworzyła wizerunek Gerwani, czyniąc z nich szalone, zagrażające życiu mężczyzn kobiety żądne krwi i zemsty. Wprowadzony w drugiej połowie lat 60. Nowy Porządek prezydenta Suharto podtrzymał ideę kobiety mającej być przede wszystkim strażniczką tradycji, oddanej mężowi i rodzinie, pozbawionej wszelkich innych społecznych, politycznych i/lub ekonomicznych ról. Ideał kobiety-matki oparty był w dalszym ciągu na wzorcach jawajskiej klasy średniej, wykluczających dużą część kobiet zamieszkujących zarówno Jawę, jak i pozostałe wyspy.

Podobnie marginalizowana, ignorowana i wymazywana była obecność kobiet w świecie literackim. Jest to szczególnie ważne dla Intan, która w swoich wypowiedziach bardzo często powraca do pytania o kobiety, które wywarły największy wpływ na jej twórczość. I, jak podkreśla, umiejętność wskazania imion swoich po-

przedniczek, prześledzenia genealogii pisarek oraz intelektualistek, które ukształtowały ją jako autorkę, naukowczynię i działaczkę, jest dla niej świadomą praktyką feministyczną. Literatura indonezyjska była bowiem przez niemal całą swoją historię postrzegana jako domena mężczyzn. Jej początki nie uwzględniają istniejących na terenie dzisiejszej Indonezji zróżnicowanych językowo tradycji ustnych i pisanych (najstarsze zachowane manuskrypty pochodzą z IX wieku), a jedynie teksty powstające w języku malajskim, rozprzestrzeniającym się po archipelagu już od czasów przedkolonialnych. Powiązane są również z rozwojem druku, przemysłu wydawniczego i prasy (to właśnie druk miał odróżniać literaturę współczesną od dawnej). Początki literatury indonezyjskiej (narodowej) datowane są na lata 70. XIX wieku, a jej rozwój wiąże się przede wszystkim z pojawieniem się

w drugiej połowie lat 20. XX wieku języka indonezyjskiego, który stał się kluczowym dla idei nacjonalizmu i projektu budowania jednego, zjednoczonego, niepodległego państwa.

Okres formowania się języka i pisanej w nim literatury był jednocześnie okresem decydowania o tym, które tematy, dzieła i autorzy mogą wejść do kanonu, a które należy odrzucić. Nowo powstająca literatura indonezyjska została zdominowana przez głosy należące do wykształconych według holenderskich/kolonialnych wzorców elit, mężczyzn wypowiadających się na tematy związane z polityką i nowymi ideami, rekonstruujących mity narodowe i należących do ruchów antykolonialnych.

Walka o głos

Odzyskanie niepodległości nie zwiększyło widzialności kobiet w świecie literackim. Publikowane przez nie dzieła uważane były za nie dość poważne i wartościowe. Pisana przez nie literatura miała bowiem przede wszystkim charakter autobiograficzny, koncentrowała się na tematach związanych z niewidzialną pracą, domem i macierzyństwem. Indonezyjski świat literacki zwrócił uwagę na głosy kobiet dopiero na początku XXI wieku za sprawą takich autorek jak Ayu Utami, Nukila Amal, Dewi Lestari, Fira Basuki czy Djennar Maesa Ayu. Ich prace dotyczyły tematów związanych z ciałem, seksualnością i pożądaniem, rzucając wyzwanie normom zakorzenionym w indonezyjskim społeczeństwie. Twórczość dawnych pisarek jest dzisiaj odkrywana na nowo – stanowi ważne świadectwo tego, jak ówczesne kobiety postrzegały otaczającą je rzeczywistość, w jakich przestrzeniach i ramach mogły funkcjonować, jak negocjowały swoją obecność, gdzie szukały wolności, spełnienia czy szczęścia. To, co osobiste, i to, co polityczne, łączy się i przenika, skłaniając do refleksji nad tym, czyje głosy kształtowały nasze postrzeganie historii i współczesności, kto jest słyszany, a kto uciszany.

Poszerzanie reprezentacji o głosy, które do tej pory były pomijane, jest jedną z najważniejszych cech działalności Intan Paramadithy. Kluczem jest rozpoznanie własnej pozycji, własnych przywilejów oraz zadanie sobie pytań o to, czy jestem gotowa/y słuchać innych, czy jestem otwarta/y na nowe perspektywy, →

→ na poznanie świata oczami osób o odmiennym pochodzeniu i innych doświadczeniach. Platformą, dzięki której Intan mogła zaangażować się w budowanie sieci wzajemnej wymiany, stała się zainicjowana w 2018 r. Sekolah Pemikiran Perempuan, Sekolah Mypili Perempuan. W jej sercu stoją kobiety z tzw. Trzeciego Świata i wytwarzana przez nie wiedza. Wytwarzanie tej ostatniej odbywa się z pominięciem kolonialnego centrum i stanowi wyzwanie dla dotychczasowych ośrodków władzy, reprezentowanych przez państwo, tradycję czy religię.

Już w debiutanckim zbiorze opowiadań „Sihir Perempuan” („Jabłko i nóż”) wydanym w 2005 r. autorka przedstawia bohaterki sprzeciwiające się patriarchalnym normom narzucanym im przez państwo, społeczeństwo, religię, obyczaje i rodzinę. Intan interesują mity, historie zaczerpnięte z lokalnego i zachodniego folkloru wymieszane z popkulturą oraz horrorami. Tworzy z nich krzywe zwierciadło, w którym obserwuje społeczeństwo i zachodzące w nim przemiany. Jej bohaterki często uciekają się do przemocy – krew staje się tu symbolem życia, które nie daje się zamknąć w ciasnych ramach oczekiwań, oraz synonimem złości, gniewu, pożądania i cielesności. Kobiety dążą do przejęcia budowanych przez innych narracji, do odzyskania kontroli nad własnymi ciałami, nad sobą i swoim życiem.

Być sobą i inną

W „Wędrowce” kontrolę pozornie sprawują czytelnicy decydujący o wyborze ścieżek, jakimi ma się poruszać bohaterka. A jednak autorka raz po raz zaburza ten układ sił, budując skomplikowany labirynt lustrzanych światów, wytykając nam brak gotowości do kontynuowania wędrowki czy kwestionując naszą potrzebę znalezienia idealnego zakończenia. Ostrzega, że ciekawość zaprowadzi nas w ślepią uliczkę, że nasza potrzeba bycia w ciągłym ruchu i podejmowania ciągłych wyborów jest klątwą, a nie błogosławieństwem. Sprawdza naszą otwartość na nowe perspektywy, nowe głosy. Skłania nas do tego, byśmy spojrzeli na być może dobrze nam znany Berlin, Nowy Jork czy Amsterdam oczami nielegalnych emigrantów, pracowników seksualnych lub osób należących do mniejszości. Ślady, które zostawia, są często bar-

■ Książki Paramadithy to lektury, które potrafią być niewygodne, wytrącają z równowagi, zwracając uwagę na nierówności społeczne, na przepaść między globalną Północą a Południem, wreszcie na to, jak traktowane są kobiety i wszystkie osoby nieuprzywilejowane, uciszane i niewidoczne.

■ Jej bohaterki często uciekają się do przemocy – krew staje się tu symbolem życia, które nie daje się zamknąć w ciasnych ramach oczekiwań, oraz synonimem złości, gniewu, pożądania i cielesności. Kobiety dążą do przejęcia budowanych przez innych narracji, do odzyskania kontroli nad własnymi ciałami, nad sobą i swoim życiem.

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **INTAN PARAMADITHA** o podróżowaniu jako przywileju, o zawsze pozornej wolności wyboru mieszkańców skolonizowanych niegdyś krain, o wyzwajającym potencjale opowieści, która daje głos wykluczonym i upomina się o ich należytą reprezentację we wszystkich sferach życia społecznego, a także o tym, jak zmienić zachodniocentryczną perspektywę i spojrzeć na świat – własny świat – oczami wykluczonych. Spotkanie poprowadzi Marianna Lis.

dzo subtelne, np. świadectwem kolonialnej przemocy stają się pochodzące z Indonezji przyprawy, zawłaszczone i przetworzone przez Holendrów, obecne dziś w każdym holenderskim sklepie czy kuchni. Zdobyte dzięki nim bogactwo pozwoliło zbudować imperium i stało się jednym z zaczątków światowego systemu kapitalistycznego. Opresja kolonialnego dziedzictwa nie skończyła się jednak wraz z odzyskaniem przez Indonezję niepodległości. Przyprawy również i dzisiaj cieszą się większymi przywilejami niż bohaterka: wędrują po całym świecie nie przejmując się granicami, paszportami czy wizami.

Proponowana przez autorkę perspektywa młodej kobiety z tzw. Trzeciego Świata kwestionuje narracje dotyczące opowieści o/z podróży. Bohaterka nie zakłada czerwonych butów, by uleczyć złamane serce (lub inny, dowolny problem), „zbawić” lokalnych mieszkańców, pławić się w niekończących się przyjemnościach czy odtwarzać scenariusze wytworzone przez poprzedników. Nie musiała wyjeżdżać, nie była prześladowana, jej życiu, rodzinie, domowi nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Zwyciężyło pragnienie wędrowki obciążonej klątwą rozszczepiającego się na każdym rozdrożu „ja”, pragnienie pozostania na zawsze trochę swoją i trochę obcą, inną.

■ ■ ■

Wyobraźmy sobie na koniec, że zwielokrotnione, fragmentaryczne, rozszczipione na wiele równoległych światów „ja” jest swoistym zaproszeniem. Intan Paramaditha często przytacza pytanie pochodzącej z Papui Zachodniej aktywistki Rode Wanimbo: „Czy naprawdę jestem gotowa/y słuchać?”. To pozornie proste pytanie jest dla mnie istotą „Wędrowki”. Czy naprawdę jesteśmy gotowi wejść w buty innych, przemyśleć własną, uprzywilejowaną pozycję i porzucić towarzyszące nam uprzedzenia oraz stereotypy? Czy jesteśmy gotowi przyjąć zaproszenie oferowane przez autorkę i nie tylko dobrze się bawić, odkrywając kolejne nawiązania filmowe i literackie, ale też wysłuchać głosów innych, migrantek i migrantów, ofiar przemocy? Czy jesteśmy gotowi uczyć się od nich? Zmienić swoją perspektywę, wrócić do punktu wyjścia i raz jeszcze rozpocząć wędrowkę?

© MARIANNA LIS

Podróż bez końca

TOMASZ PINDEL

Powieści i opowiadania Eduarda Halfona przedstawiają skomplikowane losy migrantów poszukujących źródeł tożsamości lub tę tożsamość tworzących za pomocą dostępnych narzędzi: wspomnień, lęków, uprzedzeń i pragnień.

Publikuje krótkie powieści, tomy opowiadań, zbiory autobiograficznych szkiców. W sumie na jedno wychodzi: czasami opowiadania zrastają się w powieści, z powieści można by wyłuskać opowiadania, różnica zaś między opowiadaniem a autobiograficznym szkicem jest niemal niezauważalna. Piszze zawsze o sobie i o swoich bliskich; o tym, co przeżył i co zobaczył; o losach rodziny. Materiału mu nie brak. Jest Gwatemalczykiem i Żydem. Mieszkał w kilku krajach na dwóch kontynentach. Jeden jego dziadek pochodzi z Łodzi, drugi z Libanu. Jedna babcia wywodzi się z Egiptu, druga z Syrii. I wszyscy jakimś cudem trafili do Gwatemali.

Paryż

Mekka artystów? Stolica literackiego świata? Nie no, jasne, ale tak z pół wieku temu. Pisarze latynoskiego boomu i ich starsi koledzy marzyli o francuskiej stolicy, pielgrzymowali do niej, wpadali w zachwyt albo wracali rozczarowani. Halfon, obczytawszy się z neofickim zapalem w literaturze światowej, uznaje pod koniec lat 90., że żeby zostać pisarzem, musi pojechać do Paryża. Rzuca posadę w wyuczonym fachu inżyniera i za zebrane pieniądze wyprawia się do Francji. Zdrowie mu szwankuje, ale czyta i pisze, pisze i czyta. Wrócił z Paryża w kiepskiej kondycji fizycznej i z plikiem opowiadań, o których dziś wypowiada się z ciepłą pobłażliwością. Jednak to właśnie tam coś się zaczęło, faktycznie narodził się pisarz.

Gwatemala

Wcześniej jednak musiał narodzić się czytelnik.

„Nie byłem czytelnikiem. Nigdy nie lubiłem książek. W dzieciństwie czytałem tylko lektury zadawane w szkole, chyba że udało mi się znaleźć jakieś nie-

złe streszczenie albo jakiś pilny kolega zechciał przeczytać i mi streścić. No bo po co?”. Zaskakujące wyznanie jak na kogoś, kto dziś żyje z pisania – a w każdym razie pisaniem. Przemiana nastąpiła po studiach, kiedy to młody inżynier Halfon wylądował w swoim kraju, którego w zasadzie już nie znał i nie pamiętał, słabo mówiąc po hiszpańsku i pracując w zupełnie go nieinteresującym zawodzie. Brakowało mu w życiu celu, poszedł więc na uniwersytet i zapytał o możliwość studiowania filozofii. Owszem, można, ale kursy z filozofii należy robić jednocześnie z kursami z literatury, taki program. Halfonowi było wszystko jedno, zapisał się i... wsiąkł. Najpierw miał fazę „czytelnika ćpuna”: pochłaniał książki w upojeniu. Potem przeszedł do fazy „czytelnika rzemieślnika”: analizował, podglądał. „Jak ten Cheever osiąga tak pełne wigoru zdania? Co robi Kafka, żeby jego opowiadanie brzmiało tak dusząco?”. Ostatecznie osiąga trzeci poziom – „czytelnika sukinsyna”: ma już na koncie trochę swoich tekstów, więc teraz kaprysi, kręci nosem, niesatysfakcjonujące książki odrzuca po kilku stronach.

USA

Mimowolny powrót do Gwatemali był rezultatem zakończenia studiów inżynierskich: Halfonowi wygasła wiza, innej opcji nie miał. Do Stanów rodzina wyniosła się – acz chyba trafniej powiedzieć: uciekła – ładnych parę lat wcześniej. W Gwatemali trwała *de facto* wojna domowa, strzelaniny i wybuchy stanowiły naturalny akompaniament dni i nocy. Po jednym z gwałtownych starć w stolicy rodzice oświadczyli dzieciom, że wszyscy wyjeżdżają. To zamożna rodzina, z kontaktami, stać ich było na wynajęcie ładnego domu, umieszczenie dzieci w dobrych szkołach. Nastoletni Eduardo wraz z młodszym bratem i siostrą lądują w ży-

wiole nowego języka. Coś tam po angielsku mówią, ale słabo. To wtedy przyszły pisarz otrzymuje pierwsze poważne zadanie literackie: miss Pennybaker, nauczycielka, każe mu przygotowywać cotygodniowe referaty, na różne tematy, po angielsku. Halfonowie szybko wchodzą w nowy język, nawet w domu, między sobą, przestają rozmawiać po hiszpańsku. A jednak potem, i dziś, Halfon tworzy literaturę w tym właśnie języku. Może dlatego, że „pisarz, jak powiada Roland Barthes, to ktoś, dla kogo język jest problemem”.

Stany to wspomnienia z dzieciństwa, w miarę beztroskiego, w każdym razie w kontekście Gwatemali, ale Halfonowi przyjdzie jeszcze nie raz tu wracać, także w dorosłości, gdy wieść będzie życie nieco wagabundzkie. I tam też, w szpitalu w Nebrasce, urodzi się jego syn, a pisarz stanie wobec pierwszego dylematu, ojcowskiego i tożsamościowego, na wskroś praktycznego i bardzo ideologicznego: obryzać noworodka czy nie obryzać?

Izrael

Żydowskość to lejtmotyw w prozie Halfona, co u twórcy o tym pochodzeniu nie dziwi. Może przez to, jakim geograficzno-historycznym splotem są dzieje jego rodziny, a może też dlatego, że patrząc z Gwatemali ma się specyficzną perspektywę, a może jeszcze z innych przyczyn – Halfon na swoją żydowskość spogląda z dystansem, ale zarazem z powagą.

Chyba najlepszym tego przykładem jest finał powieści „Klasztor”, jednej z dwóch wydanych (w jednym tomie) po polsku. Narrator – czyli Halfon po prostu – jest na plaży, nad słoną wodą, ze zmysłową Tamarą, w strojach kąpielowych. Prowadzą rozmowę, niby ot, tak sobie, podszytą flirtem, ale rozmawiają o Zagładzie, o przetrwaniu, o śmierci. →

EDUARDO HALFON

(ur. 1971) – prozaik i eseista.

Opublikował piętnaście książek beletrystycznych, przetłumaczonych na ponad dwanaście języków.

W 2011 r. otrzymał stypendium Guggenheima, a w 2015 r. – prestiżową Nagrodę Rogera Caillois dla literatury latynoamerykańskiej publikowanej we Francji. Jego powieść „Żałoba” została nagrodzona Premio de las Librerías de Navarra (Hiszpania), Prix du Meilleur Livre Étranger (Francja), Edward Lewis Wallant Award (USA) i International Latino Book Award (USA). Po polsku ukazały się dwie jego krótkie powieści zebrane w jednym tomie zatytułowanym „Klasztor. Żałoba” w przekładzie Tomasza Pindla.



DAVID HERRANZ / KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE

→ Cała ta powieść osnuta jest wokół rodzinnego wyjazdu do Jerozolimy, gdzie siostra Eduarda ma wziąć ślub, tradycyjny, bo stała się ortodoksyjną żydówką. W Izraelu narrator jest jak ciało obce: patrzy na wszystko z dystansem. Siostra jest w zasadzie kimś, kogo nie zna, szwagier wywołuje w nim uczucie zażenowania. Zapytany przez taksówkarza Halfon odpowiada, że Żydem jest tylko czasami. Identyecznej odpowiedzi udziela na pytanie, czy pali. W obu przypadkach reakcja jest taka sama: przecież tak się nie da! Ale to nie jest odrzucenie, to jest zaangażowanie, tylko że na wielu poziomach problematyczne.

Tokio

Bo tożsamość to jest w ogóle skomplikowana sprawa.

„Pisarz żydowski, tak. Pisarz gwatemalski, jasne. Pisarz latynoamerykański, oczywiście. Pisarz środkowoamerykański, coraz rzadziej. Pisarz amerykański, coraz częściej. Pisarz hiszpański, kiedy akurat pasuje podróżować na ten paszport. Pisarz polski, raz, w jednej z barcelońskich księgarni, w której upierali się – wciąż się upierają – żeby stawiać moje książki na półce z literaturą polską. Pi-

sarz francuski, od kiedy przez jakiś czas tam mieszkałem, a niektórzy sądzą, że dalej mieszkam”. Halfon pisze te słowa, referując podróż do Tokio, dokąd zaproszono go jako pisarza... libańskiego. Zaproszenie przyjął, bo nigdy wcześniej nie był w Japonii (przy tej okazji odwiedza Hiroszimę i staje w miejscu zagłady innej niż ta, która dotknęła jego rodzinę, ale przecież podobnej: dziadek przewodniczki Aiko ma na skórze wypalone ślady po promieniowaniu, trochę tak, jak polski dziadek Halfona numer obozowy z Auschwitz na ręce). W Libanie zresztą też nie był, o co pretensje mają do niego niektórzy ze współuczestników wydarzenia. Kiedy zaś Halfon dodaje, że był za to w Izraelu, czyli niedaleko, atmosfera jeszcze się zagęszcza. Epizod jest zabawny (a mnie przypomina, jak sam znalazłem się na targach książki w Algierze jako reprezentant Hiszpanii; ot, przykład silnej identyfikacji z autorem), ale nie błahy: bo arabskość, bliskowschodniość to także część przyjętej tożsamości.

Kraje arabskie

Babcia od strony matki była córką Syryjczyków z Aleppo, którzy uciekli do Ameryki, a kolejne dzieci rodziły im

się w Meksyku, w Panamie, na Kubie i w Gwatemali. Babcia od strony ojca urodziła się w egipskiej Aleksandrii, przepłynęli ocean i wylądowali w Gwatemali, ale ponoć przez pomyłkę, bo myśleli, że to Panama, gdzie mieli jakąś rodzinę. Dziadek od strony ojca uciekł z Bejrutu, określał się jako Libańczyk, choć wtedy jeszcze Liban jako państwo nie istniał, a poszczególni członkowie rodziny urządzili się w Paryżu, w Cali, w Limie, w Hawanie, w Nowym Jorku, w Miami oraz w meksykańskiej i gwatemalskiej stolicy, w ramach strategii, że gdzieś się komuś na pewno powiedzie, że gdzieś będzie bezpiecznie i w razie czego reszta będzie miała schronienie. Bliskowschodniość była klimatem dzieciństwa Halfona. Opisy rodzinnych spotkań w domu – a właściwie pałacu – libańskiego dziadka wypełnia aromat kawy, woń orientalnych przypraw, smaki i zapachy arabskich potraw łączących się ze specjami gwatemalskiej kuchni szykowanymi przez gospozię. „W sumie w trzech czwartych [jestem] Arabem, a w jednej czwartej Polakiem” – myśli o sobie Halfon w jerozolimskiej taksówce, wysłuchując diatryby kierowcy o konieczności wybicia Arabów.

Atitlán

Zmysłowość – to jedna z tajemnych broni pisarza. Nie wiem, jak on to robi, przecież używa tak niewielu słów, jego teksty są zwięzłe, opisy krótkie, a ma się wrażenie, jakby się czuło te zapachy i smaki, jakby się na własne oczy oglądało pejzaże. Jakoś nie mogę uwierzyć, że nigdy nie byłem nad jeziorem Atitlán w Gwatemali, ale nie, nie byłem, tylko czytałem o nim u Halfona: w „Żałobie” (druga z wydanych po polsku powieści) wraca do miejsc wakacji z dzieciństwa, szukając tropów związanych z tajemniczą śmiercią krewnego, który utopił się jako kilkuletnie dziecko.

Halfon odmalowuje Gwatemalę małymi pociągnięciami pióra, subtelnie, bardzo plastycznie, z czułością niedeklarowaną, ale wyczuwalną. Może nam się kojarzyć z najlepszymi stronami Andrzeja Bobkowskiego, zakochanego po uszy w gwatemalskim pejzażu.

Tyle że Atitlán nie jest już błękitny jak kiedyś, tylko brudnozielony i cuchnący. A na sielankowe wspomnienia z dzieciństwa nakłada się obraz topielca, rebelianta przesłuchiwanego przez wojskowych, którego ciało po sesji tortur wrzucano do wody.

Gwatemala 2

Rodzinny kraj to zapach kawy i *tamales*, to kukurydziany atol i prażone *zompos* (jadalne odwłoki owadów), to jezioro i wulkany, rodzina i wspomnienia, ale także, a może przede wszystkim, pamięć o koszmarze wojny domowej.

Konflikt miał klasyczny dla regionu schemat: reformatorski prezydent (uznawany przez USA za komunistę, opodatkował United Fruit, bananowego molocha, i odebrał mu część ziem, acz tylko nieużytki, i to za odszkodowaniem) zostaje obalony w wyniku wojskowego puczu i przez następne półwiecze autorytarne władze wojskowe prowadzą bezpardonową walkę z lewicowymi partyzantami. Jak zwykle największą cenę płaci ludność cywilna, jak zwykle – rdzenna. Halfon pisze o tym wszystkim: o masakrach dokonywanych przez oddziały specjalne, o amerykańskim ambasadzie Main zastrzelonym podczas próby porwania, o śmierci ambasadora RFN von Spre-tiego zabitego przez partyzantów przy obojętności władz (nazwisko nieobecnie czytelnikom Ryszarda Kapuścińskiego),

■ Żydowskość to lejtmotyw w prozie Halfona. Co u twórcy o tym pochodzeniu nie dziwi. Może przez to, jakim geograficzno-historycznym splotem są dzieje rodziny, a może też dlatego, że patrząc z Gwatemali ma się specyficzną perspektywę, a może jeszcze z innych przyczyn – Halfon na swoją żydowskość spogląda z dystansem, ale zarazem z powagą.

o bestialskich torturach. Ale dla niego ta historia ma wymiar osobisty, splata się ze wspomnieniami. To przed tym uciekli do Stanów, to dlatego widział trupa w jeziorze. Do tego dochodzi jeszcze opowieść o porwaniu dziadka, którego partyzanci przetrzymywali ponad miesiąc w zamknięciu. Wrócił cały i zdrowy, po przekazaniu okupu, ale potem, przez lata, rodzina widywała na ulicy czy w restauracji ludzi, którzy brali udział w tym porwaniu. O tym wszystkim Halfon pisze bez gniewu, refleksyjnie, ze smutkiem.

Polska

„69752. Że to jego numer telefonu. Że go tu sobie wytatuował, na lewym przedramieniu, żeby nie zapomnieć. Tak mi mówił dziadek. I w dzieciństwie w to wierzyłem. W latach siedemdziesiątych numery telefonów w kraju miały pięć cyfr”.

Świadomość Zagłady, nieuchronna część dziedzictwa, szczególnie dla kogoś, kogo dziadek przeszedł cały szlak obozów koncentracyjnych, łącznie z Sachsenhausen, Neuengamme, Buna Werke i Auschwitz, gdzie polski współwięzień, bokser, „przez całą noc uczył go, jak się bronić i zadawać ciosy słowami”. Dziadek trafił do Gwatemali i nigdy więcej nie

chciał mówić po polsku, a tym bardziej do Polski wracać. „Polacy nas zdradzili” – powtarzał. Cała reszta rodziny – rodzice Ma-sza i Samuel, rodzeństwo Rachela, Raizel i Salomon – pomarli w gettach i w obozach. Kiedy Eduardo zdradził, że chcejechać do Polski, dziadek zeżłościł się i wyjął wycinki ze współczesnych gazet: zdjęcie graffiti z polskiego miasta z gwiazdą Dawida na szubienicy, antysemickie hasła na polskich stadionach. Później jednak wcisnął wnukowi do ręki karteczkę z adresem swojego domu w Łodzi. O podróży po Polsce pisze Halfon w „Klasztorze” i w opowiadaniu „Getto, moja miłość” (niepublikowanym po polsku). Pi-sze zgodnie ze swoją metodą, w swoim duchu: maskowane wzruszenie miesza się z pozorowaną obojętnością, trzeźwy dystans ze spostrzegawczością, jest obóz w Auschwitz i bar mleczny z naleśnikami.

W jednym z opowiadań, na gwatemalsko-belizeńskiej granicy narrator zapytany przez pogranicznika, dokąd zmierzają, chce mu odpowiedzieć, że „wszystkie nasze podróże to tak naprawdę jedna podróż, z licznymi przystankami i przesiadkami. (...) żadna podróż nie jest linearna, nie przebiega po okręgu, nigdy się nie kończy”. Ostatecznie jednak woli zamilczeć. Niekolista i nielinearna podróż Halfona trwa. © TOMASZ PINDEL

W tekście pojawiają się cytaty z: „Klasztor. Żałoba” (Czarne, 2023), „Un hijo cualquiera” (Libros del Asteroide, 2022), „Canción” (Libros del Asteroide, 2021), „Signor Hoffman” (Libros del Asteroide, 2015), „El boxeador polaco” (Pre-Textos, 2008), w moim przekładzie.

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **EDUARDEM HALFONEM** o pisaniu, które wyrasta ze skomplikowanego splotu doświadczeń i historycznych wydarzeń. Czym jest tożsamość dla kogoś, kto nieustannie się przemieszcza i nie czuje związku z żadnym konkretnym miejscem, a zarazem wiele miejsc uznaje za ważne z perspektywy rodzinnej historii? Dlaczego czasem literatura jest największą przeszkodą, z jaką musimy się zmierzyć, by odpowiedzieć na pytanie, kim jesteśmy i gdzie chcemy żyć? Spotkanie poprowadzi Tomasz Pindel.

Skrzynia pełna skarbów

PAULINA FRANKIEWICZ

Pisać to dla Judith Schalansky utrwalac i porządkować to, co samodzielnie odkryte. Książki sygnowane jej nazwiskiem są w pełni autorskimi projektami: jej woli poddają się słowa, fonty, ilustracje, kolory, format i oprawa. Wszystko się zgadza, jak w encyklopedii.

Sehnsucht to po niemiecku pragnienie czegoś odległego, nieobecnego, przeszłego lub utraconego. To tęsknota rozmywająca granice między fantazją a tym, co naprawdę istnieje. Zmysłowe obcowanie z mapą może tę tęsknotę łagodzić, czasem bardziej nawet niż fizyczna migracja. Atlas rozbudza głód świata jako całości, którego nie da się zaspokoić ekskluzywną wycieczką na egzotyczną wyspę. *Sehnsucht* to tęsknota przekraczająca rozmiarem zadowolenie wynikające z osiągnięcia tego, za czym tęsknimy. To wreszcie, zdaniem Judith Schalansky, najpiękniejsze niemieckie słowo.

Pragnienie eksploracji tej rozproszonej przestrzeni tęsknoty można realizować poprzez pisanie. Tą drogą niemiecka pisarka, projektantka książek i redaktorka realizuje swój zew włóczęgi. Wyrazem jej nostalgii są wydane w Polsce książki: „Atlas wysp odległych” (przeł. Tomasz Ososiński, Dwie Siostry, Warszawa 2020) i „Spis paru strat” (przeł. Kamil Idzikowski, Ha!art, Kraków 2022). „Atlas” opowiada o czytelnicznych podróżach po lądach istniejących, na których autorka „nigdy nie była i nigdy nie będzie”. To namacalne świadectwo symbiozy kartografii i literatury, pochwała intymnego poznawania rzeczywistości na własne potrzeby i na własnych warunkach. „Spis” jest gabinetem osobliwości, w którym znajdujemy obiekty przyrodnicze i kulturowe realnie utracone dla świata, ale w pewnym sensie ożywione za pomocą kunsztownie dobranych środków literackich. Inwentarz zawiera m.in. rajską wyspę Tuanaki na Pacyfiku, tygrysa kapsjijskiego, miłosne wiersze Safony, debiutancki obraz Caspara Davida Friedricha, dawny Pałac Republiki NRD i, najbardziej chyba nieoczywistą w tym zestawieniu, przemijającą urodę Greta Garbo.

To, co utracone, Schalansky przenosi w przestrzeń mitu i za pomocą literatury poddaje ocenie, dowodząc, że brak można przekształcić w zysk.

Atlas dla każdego

W nowym miejscu moje nogi zawsze prowadzą mnie do księgarni. Nie powstrzymają mnie przed tym ograniczony bagaż, zapas własnych lektur czy bariera językowa. Obecność zadrukowanych literami tomów budzi we mnie poczucie bezpieczeństwa i ekscytację, prawdopodobnie znane również Judith Schalansky, której debiut to kompendium typografii „Faktur mon Amour”. Od dobrych kilku lat w księgarniach różnych części świata znajduję genialnie opracowane „Mapy” Aleksandry i Daniela Mizelińskich. Naprawdę rzadko spotykaną w takiej skali ekspansję książki obrazkowej uważam za nieprzypadkową. Moją intuicję potwierdza „Atlas dla każdego”, jak nazywał się pierwszy zestaw map niemieckiej autorki. I choć był to wolumin geograficzny odpowiedni dla młodszej czytelniczki, jego tytuł dobrze oddaje ideę atlasu – najbardziej egalitarnej z książek. Do odkrywania świata z jego pomocą nie trzeba nawet umieć czytać. Dzieciństwo w NRD uniemożliwiało rzeczywiste podróże w przestrzeni, dlatego ekspedycje małej Judith rozpoczęły się od wodzenia palcem po papierowych lądach i wodach. Linie, kolory i nazwy zastępowały jej prawdziwe niedostępne miejsca. „I nic się nie zmieniło, kiedy zmieniło się wszystko” – pisze w przedmowie do „Atlasu wysp odległych”. Może poza przestrzenią tego doświadczenia: teraz to już nie salon rodziców, ale biblioteki i archiwa, w których Schalansky pasjami prowadzi swoje badania.

Niedużo późniejsza (bo jeszcze z czasów szkolnych) refleksja pozwoliła jej za-

uważyć, że ta egalitarna mapa nigdy nie jest niewinna. Każde graficzne rozwiązanie – jak umiejscowienie RFN i NRD na dwóch różnych stronach – jest emanacją obowiązującej ideologii. Kiedy rodzinny kraj Schalansky znika z mapy świata, dziewczyna traci zaufanie do politycznej kartografii i zwraca się w stronę tych map, na których natura pozostaje nieupamiętniona. I tam zdarzają się zniknięcia, a także objawienia, ale podyktowane innymi względami niż dominacja nad danym obszarem. Góry, wulkany, zatoki na „jej” wyspach noszą nadane przez człowieka nazwy, to jasne. Intencją pisarki nie jest jednak wyrugowanie ludzkiej obecności ze świata, ale przypomnienie, że jesteśmy częścią natury. Schalansky nie fascynują lądy nietknięte (których już w zasadzie nie ma), nie szuka taniej egzotyki, choć w albumie zamieszcza wyspy niezamieszkane. Pociągają ją miejsca niedostępne, nieużyteczne i na pierwszy rzut oka nieatrakcyjne (przynajmniej z perspektywy kryteriów, którymi posługujemy się na co dzień). Pozostaje sceptyczna wobec tezy, zgodnie z którą jako ludzie jesteśmy zdolni do nieantropocentrycznego spojrzenia na świat, jednak u Schalansky człowiek nie jest centrum rzeczywistości, nie jest miarą wszystkiego.

Czytać, by porządkować

W powieści „Misja: Encyklopedia” Arturo Pérez-Reverte opowiada o bibliotekarzu i admirałce, których zadaniem jest odnalezienie francuskiej encyklopedii. Księga może – rzekomo – podważyć dotychczasowy porządek świata. Kontrowersyjne dzieło zostało uznane za heretyckie i zakazane przez Kościół, co przypomina znaną od zarania dziejów prawdę, że wiedza niesie zagrożenie dla utrzymania *status quo*.



RENÉ FIETZEK / KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE

JUDITH SCHALLANSKY (ur. 1980) – niemiecka pisarka.

Studiowała historię sztuki i projektowanie komunikacji wizualnej. Jej twórczość została przetłumaczona na ponad 25 języków i była wielokrotnie nagradzana. Jest redaktorką serii książek „Naturkunden” i „Wildes Wissen” (wyd. Matthes & Seitz Berlin). Mieszka w Berlinie i na terenie Marchii Wkrzańskiej.

Jedną z odnotowanych przez Schallansky strat jest leśna encyklopedia Armanda Schuthessa, który w wieku pięćdziesięciu lat porzucił pracę urzędnika i osiadł w szwajcarskim Valle Onsernone. Tam, w kasztanowym gaju obsesyjnie porządkował ludzką wiedzę według obszarów tematycznych, spisując ją na ponad tysiącu tabliczek. Kiedy zmarł, spadko-

bierni zdecydowali o spopieleniu tego monumentalnego projektu (ostało się jedynie kilka artefaktów). Schallansky wchodzi w buty Schuthessa, prawdopodobnie nie musząc zdejmować swoich własnych, i opisuje metody jego pracy: 1. Podobne zestawiaj z podobnym. 2. Spisuj inwentarz, aby utrwalać. 3. Czytaj, aby porządkować.

Pisać to dla niemieckiej autorki utrwalac i porządkować to, co samodzielnie odkryte. Książki sygnowane jej nazwiskiem są w pełni autorskimi projektami: jej woli poddają się słowa, fonty, ilustracje, kolory, format i oprawa. Wszystko się zgadza, jak w encyklopedii. W „Atlasie wysp odległych” to pięćdziesiąt wysp, każda zilustrowana w skali 1:125 000 na parzystej stronie (format książki wyznaczała wypełniająca całą kartkę Wyspa Wielkanocna). Na lewo od wyspy jej pozycja względem innych ziem oraz zwarty opis, nieprzekraczający dwudziestu pięciu wersów. W „Spisie paru strat” to dwanaście historii utraconych wycinków rzeczywistości, każda licząca dokładnie osiem kartek i przetknięta starannie wybraną grafiką z finezją wydrukowaną na ciemnoszarej stronie. Obie książki wieńczą indeksy, „Atlas” – także glosariusz. Z podziwem i onieśmieniem doświadczam pedantycznej wirtuozerii tych dzieł nauki i sztuki. Sądję, że gdyby Schuthessowi i Schallansky dane było się spotkać, zostaliby przyjaciółmi.

Pérez-Reverte pyta w swej powieści, gdzie kończy się fikcja, a gdzie zaczyna prawda? Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie ciekawie komplikuje znajomość oryginalnego tytułu powieści. Hiszpańska syntagma *hombres buenos* to dosłownie: dobrzy ludzie. Dobrzy, czyli jacy? Walczący o prawdę? Oddani idei? Realizujący najgłębsze pragnienia? Twórczość Schallansky podważa myślenie kategoriami fikcji i faktów. Jej książki domagają się uznania kartografii za literaturę, a atlasu za gatunek poetycki. Mapa jest artystyczna i naukowa zarazem, a przy tym abstrakcyjna i konkretna. Nie odzwierciedla rzeczywistości, lecz stanowi jej interpretację. Nauka i poezja wypływają z tego samego źródła: pozwalają nam (nie) radzić sobie ze światem, opowiadać o fenomenach życia i konfrontować się ze świadomością, że nie jesteśmy tu na zawsze. „Życie znaczy przeżywać straty”.

Schallansky nazywa wyspy poetycko przypisanymi do głównych lądów. Autorka odkrywa je, utrwała i porządkuje, także dla siebie, mając świadomość, że nie da się opowiedzieć wszystkiego. Dlatego nie stawia sobie totalnych celów. W przeszłości szuka skarbu, który tkwi w detalu historii, i fantazjując o nim, snuje wyjątkową opowieść.

Cielesność globusa

→ Uwadze Schalansky nie uszedł fakt, że podróże są do granic zmysłowe. Szum strumienia, syfność piasku, wiatr we włosach, smak lodów z miejscowej lodziarni, zapach wrzosowiska – te związane z fizyczną obecnością w przestrzeni odczucia łatwiej odnotować. Autorka koncentruje się na migracji wyobrażonej. Linie map dbają o cielesność Ziemi: siatka południków i równoleżników tnie lądy i wody, poziomice wybrzuszają wzniesienia i wgniatają zapadliska. Schalansky opisuje doświadczenie obcowania z „atlasem pornograficznym” – należącym do zbiorów Biblioteki Państwowej w Berlinie globusem odzwierciedlającym głębiny Rowu Mariańskiego i pasm Himalajów obscenicznym kształtem. Ruch palca przesuwającego się po modelu świata może budzić skojarzenia erotyczne. To kolejny przejaw zacierania granic między faktem i fikcją. Podróże podniecają, także wtedy, gdy dzieją się „tylko” pod opuszkami palców i w wyobraźni.

Cielesne fascynacje wybrzmiewają również w nazwach geograficznych będących przede wszystkim odbiciem pragnień i tęsknot osób osiedlonych na danym terenie. Schalansky podaje przykład wyspy Amsterdam, której mieszkańcy jeden z jej przyłasków nazwali „Dziewicą”, dwa wulkany „Piersiami”, trzeci krater zaś – „Wenus”. Mówimy czasem o cielesności, metaforycznie łącząc jego materialną formę z wyobrażeniem ludzkiej fizyczności. Tak samo krajobraz może być rodzajem erotycznej fotografii.

Na powszechne odcielesnienie codziennego życia, wynikające z automobilizacji i suburbanizacji, zwraca uwagę Rebecca Solnit. By objaśnić przyczynę tego stanu rzeczy, autorka „Zewu włóczędzy” przywołuje fakt, że pod koniec XVIII w. chodzenie przestało być koniecznością i zaczęło być świadomym wyborem. Decyzja o prowadzeniu życia flanerki stanowiła wówczas odważną reakcję na doświadczenie wyobcowania, które było konsekwencją rewolucji przemysłowej. Ten fizyczny akt buntu wyrósł na antycznych tradycjach: perypatetyckiej, buddyjskiej, pielgrzymiej czy bajarskiej. Później zaś przekształcił się w ideę życia w ruchu, a następnie – już w latach 60. ubiegłego wieku – koncept wędrówki jako dzieła sztuki. Píše Solnit: „Od czego wszystko się zaczyna? Od napięcia mięśni. Jedna

■ NRD uniemożliwiało rzeczywiste podróże w przestrzeni, dlatego ekspedycje małej Judith rozpoczęły się od wodzenia palcem po papierowych ładach i wodach. Linie, kolory i nazwy zastępowały jej prawdziwe niedostępne miejsca.

■ Kiedy rodzinny kraj Schalansky znikł z mapy świata, przysłała pisarka straciła zaufanie do politycznej kartografii i zwróciła się w stronę tych map, na których natura pozostaje nieupaństwowiona. I tam zdarzają się zniknięcia, a także objawienia, ale podyktowane innymi względami niż dominacja nad danym obszarem.

noga niczym filar, na którym wspiera się wyprostowane ciało rozpięte między ziemią a niebem. Druga niczym wahadło kołyszące się do tyłu”.

Włóczęga na zawsze pozostanie aktem amatorskim, a przez to dostępnym każdej i każdemu. Ta świadoma rezygnacja z „dobrodziejstw” postępu, ten sprzeciw wobec automobilizacji i wybór wolności doskonale korespondują z postulatami Schalansky, która namawia nas do oczyszczenia wyobraźni za pomocą innego spojrzenia na mapę. Paradoksalnie – dzięki niekonwencjonalnemu studiowaniu kartografii można uwolnić świadomość i naprawdę wyruszyć w podróż bez celu.

Luneta zorientowana w przyszłość

W 2014 r. zainaugurowano projekt Biblioteki Przyszłości według pomysłu szkockiej artystki Katie Paterson. Najpierw posadzono tysiąc świerków norweskich w lesie nieopodal Oslo. Co roku jedna osoba autorska proszona jest o przygotowanie dzieła literackiego. Prace nie są udostępniane, tylko trafiają do specjalnego archiwum w bibliotece Deichmana w Oslo. Za sto lat zasadzone drzewa zostaną wycięte i przerobione na papier, na którym jakieś wydawnictwo wydrukuje teksty z tej literackiej kapsuły czasu. W ubiegłym roku do udziału w tym organicznym projekcie zaproszono Judith Schalansky. Jej wybór uzasadniono następująco: na uznanie zasługuje hołd, jaki autorka składa ginącemu światu przyrody, entuzjazm budzi fakt, że próbuje odzyskać przeszłość dla teraźniejszości, podejmując refleksję nad doświadczeniem utraty języków, kultur i krajobrazów. Tematyka zdeponowanego tekstu pozostaje tajemnicą, jednak podejmując prace nad jego tworzeniem Schalansky zapowiedziała sięgnięcie do jednego ze „starożytnych gatunków”, takich jak kronika, hymn czy lament. Tworzenie opowieści dla nieznanych (*de facto* jeszcze nie narodzonych) czytelniczek i czytelników kojarzy mi się z próbą odpowiedzi na pytanie: Co zabrał(a)byś na bezludną wyspę? Po lekturze „Atlasu wysp odległych” i „Spisu paru strat” wyobrażam sobie, że dzieło Schalansky będzie połączeniem lamentu nad utraconym światem i zarazem apologią refleksyjnej formy życia. Taka opowieść może przynieść ukojenie, nawet wtedy, gdy trafimy na odległą wyspę, niekoniecznie realną, lecz tę, którą nosimy w głowie. © PAULINA FRANKIEWICZ

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada porozmawiamy z **JUDITH SCHALANSKY** o powodach, dla których warto studiować stare, nieużywane mapy, także o uroku niedostępnych wysp, na które trudno się dostać, a jeszcze trudniej na nich żyć. Jaką prawdę o świecie odsłaniają przed nami takie miejsca? Czy mogą być punktem odniesienia dla ludzi Zachodu, dla mieszkanki i mieszkańców współczesnych miast? Spotkanie poprowadzi Paulina Frankiewicz.

Przestrzeń świata Lilly Reich

RENATA KOPYTO

Była znakomitą designerką i projektantką, która zmieniła nasze podejście do architektury wnętrz. Jej dzieło przez lata znajdowało się w cieniu. Dziś powraca jako źródło inspiracji dla kolejnych pokoleń.

Zaraz po wybuchu II wojny światowej Lilly Reich, podówczas bliska współpracowniczka jednego z największych architektów XX wieku, Ludwiga Miesa van der Rohe, zaczęła pakować plany, szkice, rysunki, fotografie, listy, makiety – słowem całą dokumentację najważniejszych realizacji, jaka znajdowała się w berlińskich biurach jej i osiadłego już wtedy w USA Miesa. Skrzynie wraz ze spisem zawartości opatrzone nazwiskiem nadawczyni zostały ukryte w Turynii, w domu zaprzyjaźnionego architekta, gdzie przetrwały wojnę. W 1963 r. niekompletne dotarły do Chicago, gdzie niemiecki mistrz modernizmu mieszkał i pracował. Nigdy do nich nie zajął. Po śmierci architekta w 1969 r. jego spuściznę przejęło Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Tam przez lata też nikt nie zainteresował się zawartością pudeł nadanych przez Lilly Reich. Dopiero na początku lat 80. ubiegłego wieku, najprawdopodobniej na potrzeby przygotowywanej przez MoMA wystawy „Mies van der Rohe Centennial”, otworzono zakurzone paczki, odkrywając ponad 800 rysunków i projektów mebli oraz prawie 100 fotografii dokumentujących realizacje architektoniczne i wystawieniowe, w tym m.in. szkice pawilonu niemieckiego z wystawy światowej w Barcelonie w roku 1929.

Droga na szczyt

O ile Lilly Reich zawdzięczamy zachowanie berlińskiego dorobku Miesa van der Rohe, o tyle sam architekt niewiele uczynił, by świat nie zapomniał o jego genialnej współpracowniczce i partnerce. Urodziła się 16 czerwca 1885 r. w Berlinie. Po ukończeniu szkoły średniej zdobyła zawód hafciarki i początkowo zajmowała się projektowaniem tkanin i tekstyliów. W 1908 r. praktykowała w słynnych Wiedeńskich Warsztatach, a po po-

wrocie do Berlina rozpoczęła współpracę z Else Oppler-Legband, dyrektorką Wyższej Szkoły Technicznej Sztuk Dekoracyjnych. Jej pierwsze indywidualne zlecenia obejmowały projekty witryn oraz ekspozycji wystawowych dla sklepów i domów towarowych. To doświadczenie zaowocuje później przy tworzeniu wielkich stoisk targowych i wystaw. Ważnymi zleceniami na początku jej kariery jako designerki były projekty wyposażenia wnętrz w berlińskim Centrum Młodzieży oraz udział w wystawie „Die Frau in Haus und Beruf” („Kobieta w domu i pracy zawodowej”). Dzięki nim Lilly Reich została przyjęta do Niemieckiego Związku Twórczego (Deutscher Werkbund), organizacji skupiającej architektów, designerów i inżynierów związanych z budownictwem. W 1924 r. dołączyła do zespołu projektantów pracujących dla Frankfurckich Targów i wyjechała do heskiej stolicy. Tam spotkała Miesa van der Rohe, stając się na kolejne 13 lat jego najbliższą współpracowniczką i partnerką życiową.

Ich pierwszą wspólną realizacją była kawiarnia Samt und Seide (Aksamit i Jedwab), która powstała na berlińskiej wystawie noszącej tytuł „Die Mode der Dame” (Moda damska). Zleceniodawcą był Hermann Lange, przedsiębiorca i kolekcjoner sztuki, dla którego w późniejszym czasie Lilly Reich wykonała jeszcze pięć innych projektów. Wspomniana wyżej kawiarnia zajmowała powierzchnię około 300 m kw. i została podzielona zawieszonymi na metalowych rurach zasłonami. Aksamity i jedwabie o różnych długościach, strukturze i kolorach utworzyły wspaniałą abstrakcyjną instalację przestrzenną. Tkaninę zasłaniającą ściany, okna lub dzielącą przestrzeń Lilly Reich wykorzystywała później wielokrotnie w projektowanych wspólnie z Miesem van der Rohe domach, stała się ona jednym z jej znaków rozpoznawczych.

W 1927 r. w Stuttgarcie na zlecenie Niemieckiego Związku Twórczego powstało osiedle mieszkaniowe Weißenhof, pomyślane jako przykład nowoczesnego budownictwa. Wystawa, w której udział wzięło aż 17 modernistycznych architektów, była odpowiedzią na ogromne potrzeby mieszkaniowe po I wojnie światowej i miała zaprezentować projekty niedrogich i nowoczesnych mieszkań. Budynki, jakie wtedy powstały, były znakomitą przykładem klasycznego modernizmu i stały się impulsem dla realizacji podobnych osiedli we Wrocławiu, Brnie, Pradze, Wiedniu oraz Zurychu i do dzisiaj stanowią inspirację dla wielu rozwiązań architektonicznych i designerskich. W marcu 2020 r. wyróżniono je Znakiem Dziedzictwa Europejskiego (European Heritage Label). Wśród architektów zaproszonych do współpracy przy tym przedsięwzięciu był także Mies van der Rohe, który tak komentował ideę stuttgarckiej wystawy: „Problemy z nowym mieszkaniem wynikają ze zmieniającej się struktury materialnej, społecznej i duchowej naszych czasów. (...) Walka o nowe mieszkanie jest częścią walki o nowy styl życia”.

Wspólny sukces

Do wykończenia powstałych mieszkań zaproszono architektów wnętrz, także Lilly Reich, której, jako jedynej kobiecie, powierzono projekt całego mieszkania. To tutaj można było zaobserwować charakterystyczne dla niej rozwiązania: miękkie, zakrywające całe ściany tkaniny kontrastowały z użyciem takich materiałów jak stal, lakier czy kryształowe szkło, tworząc znakomicie wyważoną całość. Obok wzorcowego osiedla w Stuttgarcie zaprezentowano też wystawę nowoczesnych urządzeń gospodarstwa domowego, mebli, materiałów budowlanych i wykończeniowych, której Reich była główną projektantką. To tu powstał →



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Lilly Reich, lata 30. XX w.

→ słynny „szklany pokój”, powtarzający ideę aksamitno-jedwabnej kawiarni. Tkaniny zastąpiono w nim taflami szkła o różnej przezroczystości i barwie.

Spektakularny sukces wystawy w Stuttgarcie przyniósł parze architektów zlecenie na wykonanie niemieckiego pawilonu na wystawie światowej w Barcelonie w 1929 r. Lilly Reich została dyrektorką artystyczną całej prezentacji, Mies van der Rohe objął funkcję głównego architekta, a oboje wymieniani byli jako autorzy całości ekspozycji, w tym Pawilonu Barcelona, i dopiero z czasem udział Reich w tym przedsięwzięciu został pominięty.

W tym samym mniej więcej okresie para pracowała nad realizacją projektów domów dla prywatnych zleceniodawców: Josefa Estersa i Hermanna Lange w Krefeld oraz willi dla rodziny Tugendhatów w Brnie. Ten ostatni budynek tak w swojej książce „Odkrywanie nowocze-

snej Europy – próba archeologii” opisuje Karl Schlögel: „Wspaniałość otwartego, płynnego, przestrzennego kontinuum robi wielkie wrażenie. Niebo nad Brnem, rozległa dolina, potężne zbocza ze wspaniałymi drzewami wlewają się do mieszkania. Wrażenie wzmacniają solidność i prostota materiału. Jednobarwne podłogi – z linoleum? Chromowane kolumny nie dzielą przestrzeni, lecz ją powiększają. Ścianki wykonane są z egzotycznych i bardzo szlachetnych materiałów: z palisandru czy pochodzącego z gór Atlasu onyksu w kolorze miodu. Przestrzeń, w której nie ma okien, lecz są tylko ściany ze szkła, jest jak jaskinia, w której można się ukryć, jest najpiękniejszym z możliwych domostw”. (przeł. Tomasz Ososiński, Anna Wołkowicz). Rodzina Grety i Franza Tugendhatów, żydowskich przedsiębiorców, nie cieszyła się swoim pięknym domem zbyt długo. Ukończoną w 1930 r. willę musieli opuścić 8 lat później. Odrestaurowany po

dewastacji przez dwa totalitarne systemy budynek został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO i jest udostępniony do zwiedzania. W gablotach można obejrzeć oryginalne meble zaprojektowane przez Lilly Reich i już jej przypisane. Jej zasługą był też dobór materiałów i aranżacja kolorystyczna wnętrza willi.

Budować społeczność

Do najważniejszych realizacji projektowych Reich należał jej udział w ekspozycji „Mieszkanie naszych czasów” w ramach berlińskiej wystawy budowlanej w 1931 r., której kierownictwo objął Mies van der Rohe. W poszukiwaniu najlepszych rozwiązań mieszkaniowych zaangażowanych było wielu znanych architektów. Twórca Bauhausu Walter Gropius tak charakteryzował stojące przed nimi idee: „nasza przestrzeń jest inna, niż nam się wydaje: jest punktem oparcia dla ruchu, spoczynku, spokoju, odde-

chu, jest punktem zbierającym potoki wrażeń; ale nie jest już sceną naszego życia, ponieważ nasz byt rozgrywa się na zewnątrz, w dużo większej przestrzeni. Żyjemy dziś w wielkiej przestrzeni świata, a świat wchodzi za pomocą techniki do naszych małych pomieszczeń”.

Częścią wystawy był tzw. *boardinghaus* – forma domu, w którym pojedyncze mieszkania przeznaczone były dla różnych odbiorców: singli, kilku współlokatorów, małżeństw czy pracowników umysłowych. Na parterze budynku zaprojektowano przestrzeń wspólną: restaurację, pokój do gier i czytelnię. Architektami wnętrz zostali Josef Albers i Lilly Reich, która zaprojektowała wyposażenie dwóch mieszkań. Pojawiają się w nich rozwiązania, które funkcjonują do dzisiaj: otwarta przestrzeń z niszą kuchenną, proste regały na książki, fotele, sofy i stoły, których konstrukcję oparto na giętych stalowych rurach. Jej pomysły były przełomem w podejściu do budownictwa mieszkaniowego, a pomysły, jakie wtedy zaproponowano, powracają. W rozmowie Pauliny Januszewskiej z Joanną Aleksandrowicz i Ewelina Jaskulską z kolektywu Architektoniczki, która ukazała się na łamach „Krytyki Politycznej”, czytamy, że budynki powinny być dzisiaj projektowane „w taki sposób, żeby sprzyjały naturalnemu kontaktowi człowieka z człowiekiem”, i „pod takim kątem, żeby budować lokalne społeczności”. Pokazany w Berlinie prawie 100 lat temu *boardinghaus* uosabiał podobną ideę.

Wyjście z cienia

W 1930 r. Mies van der Rohe został nowym, trzecim z kolei, dyrektorem założonego w 1919 r. przez Waltera Gropiusa Bauhausu – szkoły, która w założeniu twórcy miała łączyć kształcenie w takich dziedzinach jak: sztuki piękne, architektura, projektowanie i rzemiosło artystyczne. Lilly Reich objęła kierownictwo warsztatów tkackich. Oboje pracowali na uczelni aż do jej zamknięcia przez nazistów w 1933 r. Ze względu na sytuację polityczną w Niemczech Mies van der Rohe wyjeżdża na stałe do USA. Reich odwiedziła go krótko przed wybuchem wojny, włączając się w jego prace projektowe i uczestnicząc w zajęciach ze studentami architekta. Wróciła do Berlina we wrześniu 1939 r., podobno aby reprezentować Miesia w procesie o prawa autorskie, jaki

■ W projektach Lilly Reich pojawiają się rozwiązania, które funkcjonują do dzisiaj: otwarta przestrzeń z niszą kuchenną, proste regały na książki, fotele, sofy i stoły, których konstrukcję oparto na giętych stalowych rurach. Jej pomysły były przełomem w podejściu do budownictwa mieszkaniowego i wciąż są wykorzystywane.

■ Krytycy sztuki i architektury od lat zastanawiają się, jaki wpływ na twórczość Miesia van der Rohe miała Lilly Reich i które z projektów do dzisiaj jemu przypisywanych były jej autorstwa.

Tegorocznej edycji Festiwalu Conrada towarzyszy cykl wydarzeń poświęconych twórczości **LILLY REICH**, których organizatorem jest Dom Norymberski. W Galerii Domu Norymberskiego zaprezentowana zostanie wystawa pt. „Uchylić fałdy zasłon. Lilly Reich” (czynna od 23 października do 17 listopada 2023). 24 października w krakowskiej ASP odbędzie się spotkanie z Christiane Lange, które poprowadzi Anna Bas. W paśmie filmowym Festiwalu Conrada będziemy mogli obejrzeć film „Haus Tugendhat” w reżyserii Dietera Reifarth. Szczegółowe informacje na temat programu znajdują się na stronach internetowych Festiwalu Conrada oraz Domu Norymberskiego.

ten wytoczył firmie Mauser. Wojnę przeżyła projektując i szyjąc ubrania. Zmarła na raka w 1947 r.

Krytycy sztuki i architektury od lat zastanawiają się, jaki wpływ na twórczość Miesia van der Rohe miała Lilly Reich i które z projektów do dzisiaj jemu przypisywanych były jej autorstwa. W ciągu swojej kariery designerka wielokrotnie miała okazję współpracować z różnymi projektantami i architektami, a działalność ta nie przysłoniła jej twórczości i wkładu we wspólne realizacje. Zmiana w narracji nastąpiła po tym, jak Reich stała się wyłącznie współpracowniczką Miesia van der Rohe. Jej nazwisko pojawia się jeszcze przy okazji ich współpracy w Stuttgarcie, potem znika. Wspólne zlecenia wydają się mieć tylko jednego autora: architekta Ludwiga Miesia van der Rohe. Ludwig Glaeser, kurator pracujący dla nowojorskiego MoMA i zajmujący się od 1977 r. projektami mebli Miesia, wskazuje, że jego zainteresowanie projektowaniem wnętrza i wystaw zaczęło się wtedy, gdy prywatnie i zawodowo związał się z Reich.

Badacze zaczęli porównywać opatrzone licznymi uwagami i notatkami plany oraz rysunki, które designerka wykonała samodzielnie w latach 1938-1943 dla rodziny Hermanna Lange, z wcześniejszymi, ostemplowanymi przez biuro Miesia van der Rohe. Zatrudniono grafologów, którzy stwierdzili, że wiele szkiców sporządzonych przy projektach domów Lange, Esters i Tugendhat wykonanych zostało ręką Reich. Ona także korespondowała ze zleceniodawcami, ustalając szczegóły dotyczące doboru materiałów i kolorów. W listach używa naprzemiennie form „ja”, „my”, „Mies”. We wspomnieniach Greta Tugendhat czy córki Hermanna Lange to ona była osobą odpowiedzialną za projekty wnętrz, często podejmowała decyzje samodzielnie, a kiedy podejmował je Mies, to zawsze po konsultacjach z nią. Trzeba też dodać, że Lilly Reich nigdy nie była pracowniczką biura Miesia van der Rohe. Posiadała własne studio, a na ówczesnych listach płac figuruje niezależnie od wynagrodzenia, jakie za wspólne projekty otrzymywał słynny architekt. Wiele mebli, które dzisiaj stały się ikonami designu i są nadal produkowane, przypisuje się Miesowi, choć bez wątplenia to Reich była ich projektantką.

© RENATA KOPYTO

SZCZEPIONKA NA RAKA. POLSCY NAUKOWCY WALCZĄ Z NOWOTWORAMI

Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi Uniwersytetu Gdańskiego (ICCVS) prowadzi badania, które mogą pomóc w walce z rakiem. Centrum powstało w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, finansowanego ze środków pochodzących z funduszy europejskich, z programu Inteligentny Rozwój (POIR).

Dlaczego rak jest tak trudnym przeciwnikiem?

PROF. DR HAB. NATALIA MAREK-TRZONKOWSKA: Jest bardziej zmienny niż kameleon. Konkretny typ nowotworu może wyglądać całkiem inaczej u różnych pacjentów, mogą pojawiać się inne jego mutacje. Do tego każdy nowotwór zmienia się z upływem czasu – nawet jeśli opracujemy terapię dla wcześniej rozpoznanego nowotworu, to nie znaczy, że będzie ona równie skuteczna w dalszych fazach rozwoju choroby.

Czy jest w takim razie nadzieja, że uda nam się z rakiem wygrać?

To możliwe. Istnieją już pierwsze szczepionki przeciwnowotworowe. Na przykład szczepionka przeciw wirusowi HPV, która w Wielkiej Brytanii praktycznie wyeliminowała raka szyjki macicy w szczepionej populacji. W przypadku nowotworów, których nie wywołują wirusy, będzie to trudniejsze. Tu należy się skupić w wczesnych stadiach rozwoju choroby, kiedy układ immunologiczny jeszcze dobrze funkcjonuje.

W Waszej pracy chodzi o to, by sam układ odpornościowy likwidował zagrożenie. Dlaczego system immunologiczny ma z nowotworami aż tak poważny problem?

Po pierwsze, sami często sprawiamy, że nasz układ odpornościowy działa słabiej. Nie wysypiamy się, palimy papierosy, prowadzimy siedzący tryb życia, stresujemy się. Każdego dnia w naszych komórkach mogą pojawiać się mutacje i chociaż mamy różne mechanizmy korekacji błędów lub uśmiercania nieprawidłowych komórek, to organizm po jakimś czasie po prostu nie daje rady naprawiać wszystkiego.

Po drugie, nowotwory są w stanie oszukiwać układ odpornościowy czy wręcz wykorzystywać go do własnych ce-



PROF. DR HAB. NATALIA MAREK-TRZONKOWSKA – immunolożka, dyrektorka Międzynarodowego Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi przy Uniwersytecie Gdańskim. Prowadzi badania dotyczące terapeutycznego zastosowania komórek układu immunologicznego. Jej prace koncentrują się na zagadnieniu immunomodulacji, tolerancji immunologicznej oraz interakcjach międzykomórkowych.

łów. Produkują też tzw. pęcherzyki zewnątrzkomórkowe. Za ich pośrednictwem wysyłają do odległych miejsc naszego organizmu substancje, które jeszcze bardziej upośledzają odpowiedź układu immunologicznego i przygotowują tkanki do przyjęcia przerzutów. Te pęcherzyki oraz opracowanie obrony przed nimi są także przedmiotem badań naszego zespołu.

W jaki sposób można wesprzeć układ odpornościowy?

Nasz zespół na początku sprawdza, jakie unikatowe cechy ma dany nowotwór oraz które komórki układu immunologicznego go rozpoznają. Kiedy już je zidentyfikujemy, staramy się ustalić, w jaki sposób nowotwór je unieszkodliwia. Kolejnym etapem będzie genetyczna modyfikacja tych komórek w taki sposób, aby były niewrażliwe na działania raka. W bardziej zaawansowanych stadiach choroby może pojawić się jednak problem. Czasem komórki układu immunologicznego pacjenta, które potrafią rozpoznać nowotwór, są już unieszkodliwione do takiego stopnia, że nie nadają się do terapii. Jednym z roz-

wiązań, jakie bierzemy pod uwagę, jest pobieranie komórek od osób zdrowych i modyfikowanie ich w celu wykorzystania w procesie leczenia. To inżynieria na poziomie molekularnym, bardziej precyzyjna przebudowa. Najważniejsze, żeby dokładnie ustalić, gdzie znajdują się słabe punkty naszego układu immunologicznego oraz nowotworu.

Wspominała Pani, że każdy nowotwór jest nieco inny. To zapewne utrudnia tworzenie takich terapii.

To prawda, ale w przypadku naszej metody sposób postępowania za każdym razem jest taki sam. Wybieramy inny zestaw komórek dla danego pacjenta, ale procedura wyboru, sposób hodowli komórek czy ich podania są stałe.

To oznacza, że szczepionki na konkretny rodzaj nowotworów nie będzie można po prostu kupić w aptece. Każdorazowo będzie musiała być przygotowywana dla konkretnego pacjenta.

Na razie jeszcze tak. Jestem jednak przekonana, że jeśli zbierzemy wystarczająco dużo informacji, pewnego dnia okaże się, że możliwe będzie też stworzenie bardziej uniwersalnej szczepionki. Choć może nie za mojego życia.

Na czym konkretnie skupia się więc teraz praca ICCVS?

W ciągu ostatnich trzech lat złożyliśmy dziewięć wniosków patentowych dotyczących ochrony opracowanych przez nas sposobów identyfikacji unikatowych cech nowotworu, monitorowania stanu zdrowia pacjentów i prowadzenia hodowli komórkowych. W najbliższej przyszłości będziemy niewątpliwie optymalizować te metody i sprawdzać ich bezpieczeństwo, aby rozpocząć badania kliniczne. Ważny kierunek naszych badań rozwinął się na bazie wiedzy, że wszystkie komórki jądrzaste, w tym komórki nowotworowe, prezentują antygeny. Tzn. mają na swojej powierzchni receptory, które pokazują układowi immunologicznemu fragmenty białek (peptydy). Komórki układu odpornościowego rozpoznają je i wiedzą, czy taki zestaw peptydów charakteryzuje komórkę swoją czy obcą lub nieprawidłową.

To taki dowód osobisty komórki?

Tak, identyfikator. Na jego podstawie komórki układu immunologicznego tolerują bądź niszczą napotkane tkanki. Nowotwory są w stanie oszukać układ odpornościowy, ale my w laboratorium umiemy to oszustwo wykryć. Upraszczając, odczepiamy wszystkie te identyfikatory z usuniętego podczas operacji guza oraz zdrowej tkanki i porównujemy je ze sobą. Na tej podstawie wiemy, jakie mutacje zaszły w danym nowotworze i który identyfikator (peptyd) jest nieprawidłowy.

Następnie przy pomocy tych zmutowanych identyfikatorów możemy wyszukać i wysortować z krwi pacjenta komórki, które je rozpoznają, i dzięki temu mogą zostać użyte do walki z rakiem. Fakt, że jesteśmy w stanie odczepić te znaczniki i rozpoznać potencjalne cele dla układu odpornościowego, to już bardzo ważny krok. Warto tu wspomnieć, że nasza metoda nie jest równoznaczna z analizą genomu. W genomie może zająć wiele mutacji, ale nie wszystkie będą widoczne dla układu immunologicznego. My koncentrujemy się na tych, które mają wpływ na strukturę identyfikatorów, które komórki prezentują układowi immunologicznemu.

W kolejnym etapie planujemy pomóc tym komórkom, które potrafią rozpoznać nowotwór, by były w stanie go zniszczyć i stały się niewrażliwe na jego hamujące działanie. Myślimy też o tym, żeby zmodyfikować środowisko guza. Warto pamiętać, że nowotwór modyfikuje to, co go otacza. W takim środowisku komórki układu immunologicznego czują się źle. Nie mają odpowiedniej ilości substancji odżywczych, zmienia się ich metabolizm, sposób zachowania. Gną albo po prostu nie robią niczego, co mogłoby zaszkodzić guzowi. Próbuje więc to środowisko zmieniać w taki sposób, by sprzyjało komórkom, które mają zabić nowotwór.

Jak ważne jest to, że Wasz ośrodek działa w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawczej?

To kluczowe. Ogromną przewagą centrów takich jak nasze jest multidyscyplinarność i międzynarodowość. Spotykają się tu naukowcy z różnych dziedzin, różnych kultur i z różnym kapitałem doświadczeń. Dzięki temu wiele możemy zrobić u siebie, co bardzo skraca czas i ułatwia pracę. Oczywiście prowadzimy także współpracę międzynarodową. Kontakty ze specjalistami spoza własnego ośrodka są niezwykle ważne i rozwijają zarówno badania, jak i potencjał zespołu. Chcemy się uczyć od najlepszych w danej dziedzinie, ale wielokrotnie i my uczymy innych. Współpraca naukowa opiera się na wzajemności.

Potrzebujemy jeszcze trochę czasu, by nasze idee przekuć w badanie kliniczne, ale jesteśmy na najlepszej drodze ku temu. Warto też zaznaczyć, że 60 proc. naszych pracowników to osoby z zagranicy. To istotne nie tylko w kontekście naszego Centrum, ale ma też duże znaczenie dla Uniwersytetu. Na polskich uczelniach wciąż jeszcze bardzo mało jest zagranicznych wykładowców. Dzięki międzynarodowym agendum badawczym uczelnie mają ich w swoich strukturach, a oni wnoszą nową jakość do całego systemu.

Uniwersytet Gdański bardzo dobrze rozumie potrzebę umiędzynarodowienia i aktywnie prowadzi ten proces, m.in. poprzez liczne programy wymiany kadry naukowej i administracyjnej. Bardzo kibicuję tym zmianom. Jestem przekonana, że są nieuniknione, ale jednocześnie uważam, że to właśnie międzynarodowe agendy badawcze były katalizatorem tego trendu. UG ma w swojej strukturze aż dwa takie centra: Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi oraz Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych. To sprawiło, że uczelnia miała możliwość dobrze poznać złożoną sytuację zagranicznych naukowców i zaczęła wdrażać rozwiązania, które pomagają im zaadaptować się w pracy, zintegrować czy poznać polską kulturę. To początek zmian na polskich uczelniach, które realnie otwierają je na świat. ©

Program Międzynarodowe Agendy Badawczej jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (PO IR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowe Agendy Badawczej.



Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl

NAJCIEMNIEJ POD GWIAZDĄ

Kosmolodzy mają nową zagwozdkę: czy obiekty wypatrzone przez Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba są prastarymi galaktykami, czy może hipotetycznymi gwiazdami zbudowanymi z ciemnej materii?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TELESKOP JAMESA WEBBA, WYSTRZELONY w kosmos w grudniu 2021 r., sięga dalej w głąb Wszechświata niż jakikolwiek wcześniejszy instrument. Również dlatego, że obserwuje kosmos w świetle podczerwonym, które łatwiej przebiega się przez kosmiczne przeszkody i jest emitowane nawet przez chłodniejsze obiekty. W czerwcu naukowcy realizujący projekt JADES ogłosili odkrycie najstarszych znanych dotąd galaktyk, które uformowały się zaledwie 320 mln lat po narodzinach Wszechświata.

Jednak zdaniem innej grupy astronomów trzy spośród odkrytych obiektów mogą być czymś o wiele dziwniejszym. Wstępna wersja ich artykułu, udostępniona przed recenzją i publikacją w specjalistycznym czasopiśmie, sugeruje, że teleskop mógł dostrzec „ciemne gwiazdy”. Te jak dotąd hipotetyczne twory, napędzane ciemną materią, miałyby we wczesnym Wszechświecie przyciemniać swoim blaskiem całe galaktyki.

Silnik gwiazdy

Klasyczne gwiazdy to dynamiczne twory, których cykl życia napędzany jest przez dwie siły: grawitację i promieniowanie. Gwiazda rodzi się, gdy wielka chmura gazu i pyłu zaczyna zapadać się pod wpływem siły ciężenia. Protogwiazda staje się coraz masywniejsza i gęstsza, aż jej grawitacja jest na tyle silna, że zaczyna zginać znajdujące się w jej sercu atomy wodoru i helu.

Wówczas proste jądra zaczynają łączyć się w procesie fuzji jądrowej, który uwalnia ogromne ilości energii. Morze promieniowania z jądra gwiazdy zaczyna odpychać opadające w jego stronę masy gwiazdnej materii. Dopóki grawitacja i promieniowanie pozostają w równowadze, gwiazda świeci. Kiedy ten wewnętrzny silnik zaczyna szwankować, gwiazda zapada się w sobie i eksploduje (to tzw. supernowa) lub zmienia się w czarną dziurę.

Zgodnie z obecnymi modelami kosmologicznymi ten proces zaczął się, kiedy tylko Wszechświat ostygł po bardzo gorącym Wielkim Wybuchu. Powstała w jego trakcie materia składała się głównie z wodoru i helu. Pierwsze gwiazdy, złożone z tej pierwotnej mieszaniny, żyły szybko

i umierały młodo – choć w międzyczasie wytworzyły kolejne pierwiastki.

Mroki młodego Wszechświata

Są jednak astronomowie, którzy sądzą, że pierwotny Wszechświat mógł być zaludniony dziwnymi kosmicznymi potworami. Wystarczająco dużymi, by pochłoniąć niemal cały nasz Układ Słoneczny. I zasilanymi nie przez fuzję jądrową, lecz przez tzw. ciemną materię.

Pomysł budzi spore kontrowersje. „Podśledzałam jakichś doktorantów, którzy nazywali nas świrami” – mówiła magazynowi „New Scientist” Katherine Freese, astrofizyczka teoretyczna z University of Texas w Austin. To ona w 2007 r. jako pierwsza przedstawiła koncepcję ciemnych gwiazd.

Ciemna materia jest jednym z najbardziej kłopotliwych elementów modeli kosmologicznych. Jej istnienie jest uznawane za fakt przez większość astronomów, bo widzimy efekty jej oddziaływania – jak wpływa na formowanie się galaktyk, obserwujemy wywołane przez nią grawitacyjne efekty. Ale nie mamy pojęcia, czym jest.

Wiemy tylko, że jest jej mnóstwo. Zaledwie 5 proc. Wszechświata to klasyczna materia, z której składają się Ziemia, Słońce, smartfon czy egzemplarz „Tygodnika Powszechnego”. 27 proc. to właśnie ciemna materia, która wydaje się oddziaływać z normalną niemal wyłącznie za pomocą grawitacji. Reszta to jeszcze bardziej zagadkowa ciemna energia.

WIMP-y i aksjony

Pomysłów na to, z czego składa się ciemna materia, jest mnóstwo. W modzie są obecnie m.in. aksjony – hipotetyczne, lekkie cząstki, których istnienie zaproponował jeszcze w latach 70. noblista Frank Wilczek [pisaaliśmy o nich w „TP” nr 28/2023 – red.].

Innym czołowym kandydatem są tzw. słabo oddziałujące masywne cząstki (WIMP), niemal tysiąc razy cięższe od protonów, które miałyby oddziaływać na klasyczną materię i siebie nawzajem jedynie poprzez grawitację i tzw. oddziaływanie słabe.

Poszukiwania WIMP-ów nie przyniosły jak dotąd rezultatów, dlatego wielu naukowców postanowiło skupić się na aksjonach. Ale z perspektywy kosmologii WIMP-y mają ciekawą właściwość.

Stanowiłyby dla siebie nawzajem zarazem cząstki i antycząstki. Dlatego zetknięcie dwóch z nich doprowadziłoby do gwałtownej anihilacji, której produktem byłaby emisja dużej ilości bardzo energetycznych promieni gamma.

Jedną z nielicznych rzeczy, które wiemy o ciemnej materii (prawie) na pewno, jest to, że porusza się bardzo powoli. 13,8 mld lat temu, tuż po Wielkim Wybuchu, Wszechświat był wypełniony mieszaniną cząstek, które poruszały się chaotycznie, nie tworząc żadnych struktur. Powolna, ciemna materia powinna więc zacząć skupiać się o wiele wcześniej niż rozbiegana materia klasyczna. W ciągu pierwszych 200 mln lat historii Wszechświata ciemne cząstki stworzyłyby ogromne zbiory, określane terminem „halo”. A one swoim oddziaływaniem grawitacyjnym miałyby zacząć przyciągać klasyczną materię, co mogło spowodować powstanie pierwszych galaktyk.

Freese obliczyła, że jeśli te zgrupowania ciemnej materii zbudowane były z WIMP-ów, to mógł w nich zachodzić proces podobny do tego, który prowadzi do tworzenia gwiazd. A ten proces mógłby doprowadzić do powstania nowego typu obiektu.

Ciemne tylko z nazwy

Gdyby gęstość ciemnej materii była wystarczająca, anihilacja WIMP-ów mogłaby wyprodukować tyle energii, że normalna materia nigdy nie osiągnęłaby gęstości wystarczającej do rozpoczęcia fuzji atomowej – promieniowanie z anihilujących WIMP-ów po prostu rozdmuchałoby zwykłą materię i nie pozwoliło na jej skupienie. Zamiast tego powstałoby coś o wiele dziwniejszego od gwiazdy. Obiekt, który pozornie by ją przypominał, ale byłby o wiele większy, jaśniejszy – i nietrwały.

Ciemna gwiazda wbrew nazwie byłaby niezwykle jasna. Nawet miliardy razy jaśniejsza i milion razy masywniejsza od Słońca. Gdyby umieścić ją w centrum naszego Układu Słonecznego, jej powierzchnia znajdowałaby się daleko za orbitą Saturna.

Ciemna materia stanowiłaby stosunkowo niewielki odsetek jej masy, może nawet zaledwie 0,1 proc. Resztę stanowiłby wielki, stale rosnący obłok helu i wodoru. Ale to wystarczyłoby, by w jej wnętrzu dochodziło do bilionów bilionów anihilacji na sekundę. W ich skutek powstawałyby →

*Narodziny gwiazdy w obiektywie
Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba.*

→ fotony, neutrina i pary elektronów i pozytonów. Neutrina, niemal nieoddziałujące ze zwykłą materią, opuściłyby chmurę gazu prawie natychmiast. Pozostałe cząstki zaczęłyby jednak zderzać się z atomami gazów tworzących większą część gwiazdy, przekazując im energię i podgrzewając rodzącą się strukturę.

Ich ciśnienie sprawiłoby, że analogicznie jak w przypadku klasycznych gwiazd, cały obiekt przestałby zapadać się w sobie i uformowałby świecącą kulę. Ale jako że „ciemna gwiazda” byłaby stosunkowo chłodna i nie emitowałaby wysokoenergetycznych fotonów, które powstają w wyniku reakcji fuzyjnych, mogłaby osiągać o wiele większe rozmiary.

„Otrzymujemy coś dziwnego. Ten obiekt ma temperaturę powierzchni bliską temperatury Słońca, ale jest miliard razy jaśniejszy. Może dorównywać jasnością całej galaktyce gwiazd zasilanych przez fuzję” – pisze Freese.

Podziurawione galaktyki

Symulacje kosmologiczne wskazują, że ciemne gwiazdy powinny zacząć powstawać krótko po Wielkim Wybuchu. Co dawałoby szansę na wyjaśnienie ważnej astronomicznej zagadki.

Kiedy przyglądamy się obiektom z odległego Wszechświata, widzimy młode galaktyki, liczące mniej niż miliard lat, w których centrach znajdują się gigantyczne czarne dziury, o masach miliardy razy większych od masy Słońca. Tyle że w zasadzie nie powinno ich tam być. Nie upłynęło wystarczająco dużo czasu, by takie obiekty uformowały się wskutek działania znanych nam mechanizmów.

Ciemne gwiazdy pomogłyby rozwiązać ten problem. Mogłyby być jak ziarna, z których powstawały gigantyczne czarne dziury. Te gwiazdy żyłyby zaledwie miliony lat. Gdy ich anihilacyjny silnik wyczerpałby paliwo, zapadłyby się w sobie. Mniejsze mogły zmienić się w zwykłe gwiazdy – spadając do centrum materia mogłaby po prostu odpalić proces fuzji jądrowej i znów zabłysnąć. Ale najmaszywniejsze ciemne gwiazdy, wielkie jak Układ Słoneczny, mogły błyskawicznie zmienić się w ogromne czarne dziury – protopłastów potworów czyhających dziś w sercach większości galaktyk.

Problemy są dwa. Po pierwsze, nie wiemy, czy ciemna materia składa się

Napędzane ciemną materią gwiazdy

byłyby miliony razy jaśniejsze
i maszywniejsze niż Słońce,
ale również bardzo nietrwałe.

z WIMP-ów. Jeśli jej podstawowym składnikiem są aksjony, proponowany przez astrofizyków proces nie mógłby zaistnieć. Po drugie – do tej pory nie zaobserwowano żadnej ciemnej gwiazdy. Przy najmniej tak się wydawało do niedawna.

Starożytne mgiełki

Można by uznać, że odróżnienie pojedynczej gwiazdy od galaktyki, na którą składają się ich miliardy, jest zadaniem dość trywialnym. Jednak by dostrzec obiekty, które powstały na początku ewolucji Wszechświata, astronomowie muszą przyglądać się najdalszym obiektom w kosmosie – nawet dla najlepszych teleskopów stanowiących zaledwie punkcik.

Co oznacza, że odróżnienie galaktyki od pojedynczego obiektu o porównywalnej jasności jest trudne. Freese jednak wierzy, że jej zespołowi udało się zidentyfikować kilka obiektów, które mają niemal wszystko, co naukowcy spodziewaliby się zobaczyć, gdyby patrzyli nie na galaktykę, tylko na ciemną gwiazdę.

Badacze przejrzeni katalog odnalezionych przez Webba obiektów pochodzących sprzed niemal 14 mld lat. Trzy z nich uznano za mocnych kandydatów na ciemne gwiazdy. Wydają się zaokrąglone jak gwiazda i nie mają otaczającej galaktyki „mgiełki”, a ilość wytwarzanego przez nie światła jest zgodna z przewidywaniami wynikającymi z modeli. Dwa z obiektów mają masy około milion razy większe od Słońca. Trzeci jest o połowę od nich mniejszy.

Badacze nie mogą jeszcze udowodnić, że obiekty te są ciemnymi gwiazdami – mogą jedynie wykazać, że ich charakterystyka wskazuje na to, że istnieje taka możliwość. Zapewniają jednak, że to wyłącznie kwestia dodatkowych obserwacji. „Mamy nadzieję, że uda nam się znaleźć ciemne gwiazdy jeszcze za czasu działania Teleskopu Webba” – mówił w „New Scientist” Cosmin Ilie, astrofizyk z Colgate University, który współprowadził obserwacje.

Dowody na istnienie

Aby ostatecznie ustalić, czy mamy do czynienia z ciemną gwiazdą czy małą, starą galaktyką, badacze muszą dokładnie przyjrzeć się światłu emitowanemu przez obiekt. Modele przewidują bowiem, że w świetle ciemnych gwiazd powinny się znaleźć charakterystyczne ślady pozostawione przez hel-2: lekki, ale nietrwały izotop tego pierwiastka.

„Absorpcja helu-2 byłaby »dymiącym pistoletem« ciemnej gwiazdy, bo w galaktykach podobne zjawisko nie występuje. Jeśli jednak odkryjemy obecność pierwiastków innych niż wodór i hel, wtedy wiemy, że taki obiekt ciemną gwiazdą nie jest” – pisze Freese.

Badacze mają nadzieję, że zagadkę uda się rozwiązać już wkrótce. W październiku zespół eksperymentu JADES ma opublikować drugi pakiet danych obserwacyjnych, w tym szczegółową analizę spektralną obiektów. Jeśli te dane nie dadzą odpowiedzi, zagadka może jednak zostać z nami na dłużej. Potwierdzenie natury obiektów wymagałoby wielu miesięcy obserwacji, a biorąc pod uwagę, jak długa jest kolejka astronomów czekających na skorzystanie z Teleskopu Webba, taka okazja prędko się nie pojawi.

Otoczeni przez dziwy

Bezpośrednia obserwacja ciemnej gwiazdy byłaby „nieziemsko niesamowita” – mówiła „Scientific American” Pearl Sandick, fizyczka teoretyczna z University of Utah. Nie tylko pozwoliłoby to nam lepiej zrozumieć, jak kształtował się wczesny Wszechświat, ale też byłoby wyjątkową okazją do bezpośredniej obserwacji tego, jak ciemna materia wchodzi w reakcje z materią klasyczną i z samą sobą. „To dostarczyłoby nowych informacji na temat natury ciemnej materii jako cząstki” – podkreśla fizyczka.

Nie wszyscy badacze są jednak przekonani. Wyjątkowe hipotezy wymagają mocnych dowodów. „Większość ludzi woli zachować się konserwatywnie i nie odwoływać się do jakichś dziwnych rzeczy, takich jak ciemne gwiazdy – mówi magazynowi „New Scientist” Bernard Carr, astronom z Queen Mary University w Londynie. – Ale z drugiej strony, nasz kosmos jest pełen nieprawdopodobnych obiektów, od czarnych dziur po magnetary. Otaczają nas dziwy”.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nierówności są w cenie

ANNA ZACHOROWSKA-MAZURKIEWICZ

Amerykańska ekonomistka, badaczka historii aktywności zawodowej i międzypłciowej luki płacowej Claudia Goldin została trzecią kobietą w historii uhonorowaną ekonomicznym Noblem.



Claudia Goldin

ALFRED NOBEL, USTANAWIAJĄC w 1895 r. pięć nagród za wybitne zasługi dla ludzkości, nie wskazał ekonomii. Ekonomicznego Nobla ufundował Bank Szwecji w 1968 r., co zresztą odzwierciedla oficjalna nazwa nagrody. W tym roku przyznano ją Claudii Goldin, która jako pierwsza kobieta otrzymała tę nagrodę samodzielnie – jej dwie poprzedniczki podzieliły wyróżnienie łącznie z trzema mężczyznami.

Goldin pracuje na Uniwersytecie Harvarda, prowadzi badania z zakresu historii gospodarczej i ekonomii pracy. Karierę naukową rozpoczęła na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie napisała doktorat pod opieką Roberta W. Fogela (laureat tej samej nagrody z 1993 r.) na temat niewolnictwa przed amerykańską wojną secesyjną. Dowodziła, że wbrew powszechnie przyjętym opiniom spadek wykorzystania niewolników w miastach nie wynikał z nieefektywności tego systemu, lecz z ograniczenia wielkości popytu z powodu rosnących cen.

W dalszych badaniach skupiła się jednak na innych nierównościach i to właśnie prace dotyczące kobiet i ich sytuacji na rynku pracy przyniosły jej rozpoznawalność. Profesor Goldin interpretuje rzeczywistość za pomocą perspektywy historycznej, w której wykorzystuje dane statystyczne. Samo gromadzenie danych historycznych dotyczących kobiet na rynku pracy nie jest proste i wymagało specjalnych procedur związanych z licznymi brakami. Goldin pracując w archiwach dane zbierała, opracowywała, uzu-

pełniała, a czasami wręcz poprawiała. Przykładowo, analizując aktywność zawodową zamężnych kobiet w okresie dwustu lat odkryła, że w spisach ludności i danych publicznych kobiety często określane były wyłącznie jako „żony”, choć pracowały u boku swoich mężów w prywatnych firmach czy na farmach.

Najważniejsze publikacje Goldin, przywołane przez Komitet Noblowski, dotyczą dyskryminacji kobiet na rynku pracy, aktywności zawodowej, edukacji i międzypłciowej luki płacowej. Jej badania odkrywają główne źródła nierówności kobiet i mężczyzn na rynku – a wnioski są często zaskakujące. Tak jest choćby w przypadku aktywności zawodowej kobiet zamężnych. Badania noblistki pokazują bowiem, iż wbrew powszechnemu przekonaniu aktywność zawodowa kobiet wcale nie jest wyjątkowo wysoka w ostatnich dziesięcioleciach. Już na początku XIX w. procentowy udział mężatek w pracy odpłatnej był podobny do dzisiejszego. Jednak nie zawsze tak było. W okresie rozwoju gospodarki kapitalistycznej wraz ze wzrostem zamożności społeczeństwa udział ten początkowo spadał, by w XX w. ponownie się zwiększyć. Ograniczenie udziału kobiet w zatrudnieniu według Goldin wynikało z uprzemysłowienia oraz zwiększenia zamożności gospodarstw domowych, a ponowny przyrost zatrudnienia kobiet związany jest ze zwiększeniem udziału sektora usług, ale również dostępu do wykształcenia. Wyniki badań Goldin można powiązać z rozwojem gospodar-

czym i choć ona sama bada głównie Amerykanki, wpływ jej teorii wykracza poza granice tego kraju.

Noblistka zajmowała się także tematem wynagrodzenia za pracę – badała przyczyny międzypłciowej luki płacowej. Według niej nierówność w wysokości wynagrodzeń pomiędzy mężczyznami i kobietami można tłumaczyć decyzjami podejmowanymi przez same kobiety, a dotyczącymi wykształcenia czy też zaangażowania w opiekę i rodzinę. Na początku swoich karier zawodowych kobiety otrzymują wynagrodzenia porównywalne z płacami mężczyzn, jednak zmienia się to wraz z pojawieniem się obowiązków opiekuńczych w rodzinie. Kobiety podejmują decyzje większego zaangażowania się w opiekę kosztem pracy, co doprowadza do różnic w zarobkach.

Dysproporcje pojawiają się również w zarobkach kobiet i mężczyzn wykonujących podobne zawody, co jest wskazaniem odmiennym niż popularne przekonanie, iż za międzypłciową lukę płacową odpowiedzialna jest wyłącznie feminizacja pewnych zawodów. Pisząc o zróżnicowanym wynagrodzeniu kobiet i mężczyzn, Goldin wskazuje, że po okresie wyraźnego ograniczania luki płacowej związanego z coraz lepszym wykształceniem kobiet nastąpiła pewna stagnacja – międzypłciowa luka płacowa przestała się zmniejszać. Jedną z przyczyn tego zjawiska są tzw. chciwe prace – stanowiska, które wymagają mobilności i dużego zaangażowania. Są one trudne do pogodzenia z życiem rodzinnym, dlatego kobiety, nawet te aktywne zawodowo, rzadziej mogą się na nie zdecydować.

Analizy prof. Goldin prezentują więc zaangażowanie kobiet w opiekę jako przyczynę nierówności kobiet i mężczyzn na rynku pracy. Obowiązki te prezentowane są nie jako zajęcia produktywne, lecz bariera zaangażowania w rynek pracy. Jednak przyznanie Claudii Goldin nagrody przez Bank Szwecji nie tylko pokazuje wkład kobiet w rozwój ekonomii, ale – jak zauważyła kierująca Institute for Women's Policy Research Heidi Hartmann – oznacza również, iż badanie ekonomicznej roli kobiet znalazło należne miejsce w dyscyplinie. ©

Autorka jest profesorką Instytutu Ekonomii, Finansów i Zarządzania UJ.

KULTURA OSOBISTA

Największe sukcesy polskich twórców i twórczyń, od Oscara po Nobla, nie mają nic wspólnego z polityką Ministerstwa Kultury pod obecnymi rządami. Przeciwnie.

PIOTR KOSIEWSKI

PIOTR GLIŃSKI TO NAJDŁUŻEJ URZĘDUJĄCY minister kultury w III RP. W ciągu ośmiu lat zmienił nie tylko sposób zarządzania kulturą i instytucje podległe bezpośrednio Ministerstwu, ale też to, w jaki sposób myśli się o polityce kulturalnej państwa. Znaleźliśmy się w nowej epoce. Ktokolwiek w kolejnym rządzie będzie pełnił tę funkcję, musi zmierzyć się z następstwami tych dwóch kadencji. A nie jest wykluczone, że tą osobą będzie nadal Piotr Gliński.

Funkcję objął w 2015 r., zostając jednocześnie wicepremierem – po raz pierwszy w historii szefowi Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego nadano tak znaczącą polityczną rangę. Jakby chciano podkreślić rolę, jaką kultura ma odegrać pod władzą Zjednoczonej Prawicy. Przetrwał zmianę premiera, a potem wszedł do rządu tworzonego przez prawicę po kolejnych wyborach. Przez rok odpowiadał także za... sport! Dopiero niedawno przestał być wicepremierem. Jednocześnie nigdy nie zbudował samodzielnej pozycji politycznej w Prawie i Sprawiedliwości. Zapewne dlatego tak długo utrzymał się na stanowisku.

Na bogato

Od czasów objęcia rządów przez Zjednoczoną Prawicę doszło do zna-

czego wzrostu wydatków na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego. W 2015 r., według raportu GUS-u, wyniosły one 1 964,8 mln zł (łącznie z dotacjami i subwencjami dla jednostek samorządu terytorialnego), w 2022 r. osiągnęły 3 696,4 mln zł. A udział ich w ogólnych wydatkach wzrósł z 0,62 proc. do 0,71 proc. Fundamentalne pytanie brzmi: jak Piotr Gliński wykorzystał swój czas, pozycję w rządzie oraz środki finansowe, którymi dysponował. Żaden z jego poprzedników nie miał takich możliwości.

Znacząco zwiększono środki na ochronę zabytków – z wyraźną preferencją dla obiektów należących do Kościoła katolickiego. Ważne są zmiany w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami wprowadzające dotkliwsze kary za ich niszczenie (choć niedawne orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przepisów o gminnej ewidencji zabytków jest dla Ministerstwa poważnym ciosem). Lepiej można teraz chronić architekturę z czasów PRL-u.

Dużym osiągnięciem jest sprawienie odzyskiwanie przez Polskę dzieł utraconych podczas II wojny, ale przede wszystkim ustawa o restytucji narodowych dóbr kultury, która ograniczyła możliwość przedawnienia roszczeń w przypadku utraconych





ALIK KEPLICZ / AP / EAST NEWS

obiektów. Nie można wreszcie pominąć inwestycji w instytucje kultury – budowę nowych i remonty już istniejących.

Gliński nie tylko kontynuował tu politykę poprzedników, ale też znacząco zwiększył wydatkowane na to środki – samo wzniesienie gmachu Muzeum Historii Polski ostatecznie kosztowało ponad 700 mln zł, realizacja ekspozycji pochłonie kolejnych 629 mln zł. Jednocześnie nadal nie wiadomo, skąd w przyszłości mają pochodzić środki na utrzymanie tych wszystkich instytucji. Ministerstwu nie udało się rozwiązać również, mimo podwyżek, problemu skandalicznie niskich wynagrodzeń w większości publicznych instytucji kultury ani też chronicznego niedofinansowania samych instytucji.

Zakup kolekcji Czartoryskich czy nabycie od spadkobierców zamku w Gołuchowie porządkowały sprawy własnościowe. Zakupiono kilka innych obiektów, jak Dom Hansenów w Szuminie dla warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej czy hotel Cracovia w Krakowie dla tamtejszego Muzeum Narodowego. Przede wszystkim zaś pojawiły się znaczące środki na zakupy dzieł sztuki do kolekcji muzealnych. Pozwoliło to na nabycie m.in. zbioru rzeźb Augusta Zamoyskiego dla Muzeum Narodowego w Warszawie czy powstałego na zamówienie ks. Stanisława Poniatowskiego obrazu Angeliki Kauffman, uznawanej dziś za jedną z najważniejszych malarzek w dziejach sztuki, do zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie.

Nie stworzono jednak przejrzystego systemu zakupów, co doprowadziło do bardziej niż wątpliwych, a bardzo kosztownych nabytków, jak późne prace na papierze Marca Chagalla dla stołecznego Muzeum Narodowego czy powstałe w większości w ostatnich dekadach twórczości dzieła Tamary Łempickiej dla Muzeum Narodowego w Lublinie. ➔

Piotr Gliński przed rzeźbą Diany, odzyskaną dla Muzeum Łazienek Królewskich w Warszawie, grudzień 2015 r.

Bez trybu

→ Piotr Gliński kontynuował wzorem swoich poprzedników tworzenie kolejnych specjalistycznych ministerialnych instytucji. Za jego rządów powstały m.in. Narodowy Instytut Architektury, Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków czy Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą – Polonika. Powołano także inne, które dublują już istniejące, jak Instytut Literatury powielający funkcje Instytutu Książki czy Instytut Dziedzictwa Solidarności konkurujący z Europejskim Centrum Solidarności. Trudno znaleźć powody ich utworzenia – poza politycznymi czy personalnymi.

Piotr Gliński powołał też – mimo istnienia Instytutu Pamięci Narodowej – nowe placówki zajmujące się przeszłością: Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, potem połączony z kolejnym tworem: Instytutem Solidarności i Męstwa (obecnie Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego) oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Instytut Pileckiego, kierowany obecnie przez Magdalenę Gawin, w latach 2015–2021 wiceminister kultury, otworzył już filię w Berlinie i zakupiono dla niego – za 120 mln zł – zabytkowy budynek dawnego hotelu Schwanen w szwajcarskim Rapperswilu.

Równoległe z tworzeniem nowych Piotr Gliński szybko zaczął zmieniać szefów kluczowych, istniejących już instytucji: Instytutu Książki, Instytutu Adama Mickiewicza, FilMOTEKI Narodowej i Narodowego Instytutu Audiowizualnego (które połączono) czy Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Przerywał ich kadencje, mimo że byli dobrze oceniani. Znacznie wolniej trwały zmiany w muzeach, galeriach, teatrach czy bibliotekach. Jednak dziś znaczna część z nich ma nowe kierownictwo. I jeżeli kolejni rządzący nie zdecydują się na ponowne przerwanie kadencji, jeszcze przez lata będzie ono kształtowało oblicze tych instytucji.

Część stanowisk objęły osoby kompetentne. Jednak Instytut Adama Mickiewicza czy Instytut Książki pod nowym kierownictwem są jedynie cieniem dawnej świetności. Były wreszcie nominacje, jak w Starym Teatrze w Krakowie czy Muzeum Narodowym w Warszawie, które doprowadziły instytucje na skraj upadku. W przypadku warszawskiej Zachęty czy

Muzeum Sztuki w Łodzi widać szybko postępującą ich marginalizację.

Problemem nie jest jedynie wybór osób – z ideologicznego klucza, bez patrzenia na kompetencje oraz doświadczenie – ale też sposób, w jaki się tego wyboru dokonuje. Niemal z zasady pomija się tryb konkursowy, choć samo Ministerstwo domagało się konkursów w przypadku instytucji prowadzonych przez samorząd – jak w przypadku Galerii Arsenał w Białymstoku czy Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. Przy okazji Arsenálu Piotr Gliński napisał nawet, że konkurs „stanowi najpełniejszą realizację konstytucyjnej zasady korzystania z praw publicznych. Jest to bowiem najbardziej transparentna i rekomendowana przez środowiska twórców metoda wyboru dyrektora instytucji kultury”. A jednocześnie nie powołał Dariusza Stoli na dyrektora Muzeum Żydów Polskich Polin, mimo wygrania przez niego konkursu.

Nie nasze

Za rządów Glińskiego doszło do pogłębienia nieprzejrzystej polityki personalnej w instytucjach publicznych – która wcześniej była też, delikatnie mówiąc, daleka od doskonałości. Co więcej, praktyka ministerialnych nominacji wiele mówi o stosunku obecnego kierownictwa Ministerstwa do procedur, zasad i reguł. Nie są one zmieniane, ale używane całkowicie dowolnie oraz naginane w zależności od okoliczności i politycznych potrzeb.

Jednak za polityką personalną stoją głębsze założenia: wyłączny podział instytucji na „nasze” i „wasze”, z „naszymi” i „nie naszymi” dyrektorami. Ta linia podziału decyduje m.in. o wsparciu finansowym. Agnieszka Morawińska usłyszała od ministra: „W pierwszej kolejności musimy zadbać o te nasze muzea”. Muzeum Narodowe w Warszawie – jedno z najważniejszych w kraju – do „naszych” się nie zaliczało.

Podział na „nasze” i „wasze” miał służyć uzyskaniu monopolu przez rządzących w obszarach, które są dla nich programowo najistotniejsze. Od samego początku Gliński przywiązywał wagę do instytucji kształtujących pamięć historyczną. Służyło temu powoływanie nowych, jak wspomniany już Ośrodek im. Pileckiego, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych w Warszawie czy Muzeum Getta War-

szawskiego, ale też uzyskanie pełnego wpływu na już istniejące. Udało się to w przypadku Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, za cenę jego prowincjonalizacji i pozbawienia międzynarodowego znaczenia. W przypadku Muzeum Żydów Polskich Polin czy Europejskiego Centrum Solidarności takie próby skończyły się niepowodzeniem.

Ministerstwo Kultury stało się narzędziem prowadzenia polityki tożsamościowej. Co prawda zapowiadana wielka hollywoodzka produkcja do dzisiaj nie doszła do skutku, a filmy historyczne, które miały promować narrację rządzących, okazały się co najwyżej przeciętne i nie uzyskały dużej publiczności. Jednak nie wolno zapominać, że to Gliński jest odpowiedzialny za dzisiejszy kształt dawnych mediów publicznych i przekształcenie ich w rządową telewizję i radio. To za jego rządów przygotowano projekt ustawy powołującej Radę Mediów Narodowych. I to on sprawuje nadzór właścicielski nad Polskim Radiem i TVP.

No to sobie porządę

Ten sam mechanizm przejmowania działał w przypadku instytucji zajmujących się kulturą współczesną. Najpierw teatrów, z czasem także instytucji odpowiedzialnych za sztukę, czego początkiem było powołanie w 2019 r. Piotra Bernatowicza na nowego dyrektora Zamku Ujazdowskiego. Już na starcie Gliński zapowiadał zmiany we wspieraniu twórców. Miało to służyć zwiększeniu pluralizmu oraz dowartościowaniu tych, którzy do tej pory, z powodów ideowych czy estetycznych, nie tylko byli mniej widoczni, ale – według opowieści powtarzanej także przez ministra – do chwili objęcia władzy przez PiS nieustannie wykluczani. W praktyce szybko doprowadziło to do ograniczenia różnorodności, a nie jej poszerzenia.

Co więcej, Ministerstwo miało stać się „dysponentem prestiżu” i wpływać na hierarchie artystyczne. Promować tych, którzy odwołują się do suwerennego myślenia o sztuce – jak Andrzej Biernacki, powołany w 2022 r. przez ministra na p.o., a potem na dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, jednej z najważniejszych instytucji w naszej części Europy. „Do wolności artystycznej – jak tłumaczył Gliński – a nie do uzależnienia się od różnych środowisk czy nacisków insty-

tucji światowych, gdzie te nowinki ideologiczne, głównie liberalno-lewicowe, były preferowane, wręcz forsowane, a niekiedy – za pomocą poprawności politycznej – wymuszane”. W rozmowie w Polsat News Gliński przekonywał, że konieczna jest zmiana elity w świecie kultury: „Grupy, które trzymały władzę, które realizowały swoje interesy i dominowały przez wiele lat w jakimś obszarze, to powoduje, że tworzy się oligarchia, skorupa, która uniemożliwia zmiany, mobilność, ta elita powinna się zmieniać”.

Jednak po ośmiu latach jego rządów nie odkryto nowych czy zapomnianych twórców, a ci związani z obecnie rządzącymi nie odnoszą spektakularnych sukcesów ani w kraju, ani tym bardziej za granicą. Więcej, sukcesy, jakie osiągnęli polscy twórcy i twórczynie, od Oscara oraz Nagrody BAFTA dla „Idy” i Złotej Palmy w Cannes dla „Zimnej wojny” Pawła Pawlikowskiego, przez Nobla dla Olgi Tokarczuk, po nagrodę specjalną dla „Zielonej granicy” Agnieszki Holland na Festiwalu Filmowym w Wenecji, nic nie mają wspólnego z obecną polityką Ministerstwa. Powstał natomiast alternatywny, rządowy obieg, w którym nagradzani, fetowani oraz wystawiani są artystki i artyści bliscy obecnej władzy. A jednocześnie nie udało się Glińskiemu zrealizować sztandarowego projektu, czyli ustawy o ubezpieczeniach dla artystów, która zasadniczo zmieniłaby realia życia wielu ludzi kultury.

Jednym z osiągnięć kolejnych szefów MKiDN, poczynając od Kazimierza Michała Ujazdowskiego, było odchodzenie od myślenia o ministrze jako mecenasie, od którego osobistych preferencji zależy polityka kulturalna państwa. Nawet jeżeli było to robione deklaracyjnie, to podejmowane przez poprzedników Glińskiego działania zmierzały jednak do wyjęcia całych obszarów spod wpływu politycznej oceny. Ocena merytoryczna, a nie kryteria ideologiczne ani związki środowiskowe czy personalne, miała stać się podstawą dla udzielania wsparcia.

Piotr Gliński nie tylko ostentacyjnie przekreśla te starania poprzedników, lecz całkowicie odwrócił logikę działania Ministerstwa: wygrana w wyborach daje zwycięzcy nieograniczony mandat do podejmowania decyzji, a finansowanie z ministerialnych środków jest równoznaczne z oczekiwaniem pełnego po-



ALIK KEPLICZ / AP / EAST NEWS

Polityka wobec instytucji publicznych opiera się na ich podziale na „nasze” i „wasze”, z „naszymi” i „nie naszymi” dyrektorami.

parcia dla rządzących. Piotr Gliński od samego początku podważa ciągłość instytucjonalną i od samego początku jedynie sobie przypisuje realizację projektów, które często były wynikiem starań także poprzedników, by wymienić jedynie Muzeum Historii Polski, które było powołane przez Kazimierza Michała Ujazdowskiego, a o jego obecnej lokalizacji zadecydowała Małgorzata Omilanowska.

Największe osiągnięcie

Taka polityka sprzyja budowie relacji klientelistycznych. Wyrabia też odruchy autocenzorskie, czego przykładem było odwołanie w 2022 r. przygotowywanej w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawy „Dante”, z dziełami dawnych mistrzów oraz pracami kluczowych współczesnych twórców. Nieoficjalnie podano, że powodem był pomysł pokazania łodzi uchodźców przywiezionej z Lampedusy – co mogłoby się nie spodobać rządzącym, chętnie odwołującym się do antyimigranckiej retoryki.

W ten sposób nie tylko podkopuje się zaufanie do samej instytucji, ale przede wszystkim osłabia poczucie wspólnoty. Doprowadziło to do podważania sensu dalszego istnienia Ministerstwa, a przynajmniej skali zaangażowania środków

publicznych we wspieranie kultury. Wzmocniło też jednak legitymizację instytucji pozbawianych wsparcia finansowego władzy lub atakowanych przez media i środowiska prorządowe. Spektakularnym przykładem była zbiórka na Europejskie Centrum Solidarności, która przyniosła ponad 6 mln zł.

Niektóre samorządy nie tylko wspierają zagrożone przez władze instytucje, ale zaczęły przejmować za nie odpowiedzialność. Warszawa najpierw wsparła finansowanie „Dwutygodnika” po tym, jak FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny pod nowym kierownictwem wycofał się z jego wydawania, a od tego roku samodzielnie prowadzi Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Niestety przypadek stolicy jest raczej wyjątkiem. Ostatnie 8 lat bowiem to coraz większa obecność MKiDN w samorządowych instytucjach kultury. Przejęło ono od samorządów szereg instytucji, m.in. Muzea Narodowe w Lublinie, Wrocławiu i Gdańsku, w innych – ponad siedemdziesięciu – zostało współprowadzącym. Dzieje się to za zgodą samorządów, które mają problemy finansowe. Jednak takie działanie, jak zauważają autorzy „Indeksu Samorządności 2022” Fundacji Batorego, „*de facto* ogranicza autonomię i władztwo samorządu nad instytucjami ważnymi dla lokalnej tożsamości” i pogłębia centralizację państwa. Czy Ministerstwo rzeczywiście powinno być współorganizatorem np. Muzeum Historyczno-Archaeologicznego w Ostrowcu Świętokrzyskim? Lepiej szukać sposobu zapewnienia przez państwo warunków funkcjonowania samorządu, który pozwoli mu na utrzymanie takich muzeów.

Znaczne, idące w setki tysięcy wsparcie uzyskały środowiska nacjonalistyczne – w tym fundacja założona przez faszystującego Roberta Bąkiewicza – z Funduszu Patriotycznego powołanego przy ministerialnym Instytucie Dziedzictwa Myśli Narodowej. Wsparto poglądy, które przez lata w głównym nurcie środowisk prawicowych czy tradycjonalistycznych były uznawane za niedopuszczalne lub przynajmniej spychane na margines. Co więcej, dziś stały się mainstreamem po prawej stronie i w znacznej mierze zaczynają definiować jej tożsamość. To może być najtrwalsze dziedzictwo Piotra Glińskiego i polityki przez niego prowadzonej.

© PIOTR KOSIEWSKI

Z innej Europy

MAGDALENA PYTLAK

Wśród znakomitych gości tegorocznej edycji Festiwalu Conrada jest pisarz, którego redakcja „Tygodnika” chciałaby szczególnie polecić czytelnikom.

W MAJU TEGO ROKU GEORGI GOSPODINOW odbierał nagrodę The Man Booker International, zapewne drugą po Noblu, jeśli idzie o prestiż. Jest to kolejna międzynarodowa nagroda bułgarskiego pisarza (wcześniej otrzymał m.in. Jan Michalski Prix, Premio Strega Europeo, Nagrodę Literacką Angelus), ale to dopiero Booker sprawił, że Gospodinowowi udało się poszerzyć mapę wyobrażonej Europy Środkowej, której granica przebiegała dotychczas gdzieś na Dunaju.

Bo choć Bułgaria pojawia się na przykład w znakomitej książce-eseju Claudia Magrisa „Dunaj”, to opowieści o niej zostały zamknięte tam w rozdziale o wiele mówiącym tytule „Niepewna kartografia”. Magris zaczyna swą narrację o kraju Gospodinowa w taki oto sposób: „W 1860 roku Guillaume Lejean, francuski uczony i podróżnik, wędrował wzdłuż Białego Nilu aż do Gondokoro i Nilu Błękitnego, sporządzając – jak mówią encyklopedie – jedną z pierwszych wiarygodnych map tego terenu. W latach 1857-1870 przemierzał on natomiast Półwysep Bałkański (...). Ale jego przyjaciel i wiedeński kolega Felix Philipp Kanitz przysięgał, podróżując po Bułgarii w 1875 r., że mapy geograficzne tego kraju są niedokładne, nieprawdziwe i przytaczają nazwy jakichś wymaginowanych miejscowości, nie oznaczając istniejących. Zgadzał się z profesorem Kiepertem, który uznał Bułgarię za najmniej znany kraj Europy Wschodniej”. Według Magrisa, przemierzającego kraj w połowie lat 80. zeszłego wieku, „Bułgaria pozostaje jeszcze dziś najbardziej tajemniczym ze wszystkich krajów wschodnich”. Czyli jednak Wschód?

W Bułgarii termin Europa Środkowo-Wschodnia funkcjonuje jedynie w odniesieniu do geograficznej Mitteleuropy, wyznaczanej przez granice dawnego im-

perium Austro-Węgierskiego. Nic w tym dziwnego, podobne lub nieco rozszerzone rozumienie Europy Środkowej, a potem Europy Środkowo-Wschodniej pojawia się wszak u najczęściej przywoływanych w tym kontekście autorów – Milana Kundery i Czesława Miłosza. U żadnego z nich, a potem u analizujących, omawiających czy dyskutujących z ich tekstami badaczy nie pojawia się Bułgaria (wyjątek stanowi Maria Todorova i jej „Bałkany wyobrażone”).

A jednak piśrstwo Gospodinowa wskazuje na specyficzny rodzaj powinowactwa z innymi krajami Europy Środkowej. Według Olgi Tokarczuk jest to wynik doświadczenia komunizmu, jego upadku i zmiany ustrojowej. Dla pisarki jest to dużo trafniejszy sposób myślenia o współczesnej Europie Środkowej. I faktycznie, literaturę naszej części świata, tworzoną przez pokolenie debiutujące w latach 90. ubiegłego wieku, cechuje nowa, wspólna jakość.

Czułość – całość

Gospodinow i Tokarczuk często opowiadają o swojej przyjaźni i specyficznym pokrewieństwie pisarskiego losu. Poznali się w Berlinie podczas jednego z festiwali literackich w latach 90. i choć oboje pamiętają to spotkanie jak przez mgłę, dało ono początek ważnej i mocnej relacji. Twórcy przez lata wspierali się w drodze – jak się okazało – na literackie szczyty. Bułgarski pisarz często powtarza, jak ważna dla niego była i jest świadomość, że we Wrocławiu lub w Nowej Rudzie w oknie stoi pisarka, która podobnie jak on zastanawia się nad światem. Ich relację cechuje tak widoczna w ich piśrwie (choć ostatnimi czasy pojawiająca się w obiegu już jako slogan) czułość, wyrażająca się we wzajemnym wspieraniu, czytaniu, dodawaniu otuchy.

Na pewno podobieństwo generacyjne i geopolityczne nie jest tu bez znaczenia. Bo poza wrażliwością Tokarczuk i Gospodinowa łączy podobny rodzaj doświadczeń, które znajdują bezpośrednie odbicie w ich twórczości.

Uformowani przez lata 80. i 90. minionego wieku nieustannie poszukują formy wyrazu; dorastając w świecie, w którym brakuje zaufania do rzeczywistości, każde na swój sposób zmagają się z tradycją realizmu. Zmienność, niepewność, rozchwianie czy płynność ponowoczesności, tak charakterystyczne dla współczesnego świata, w Europie Środkowo-Wschodniej miały jednak dodatkowy ładunek. W Bułgarii początek okresu transformacji to wielki kryzys ekonomiczny z inflacją sięgającą w połowie lat 90. ponad 300 procent.

Patrząc z perspektywy kilku dziesięcioleci doskonale widać, jak piśrstwo Gospodinowa rezonuje z sytuacją w kraju. Jego wydany w 1992 r. debiutancki tom wierszy „Lapidarium” to zbiór krótkich form stanowiących odbicie czasu, który nagle przyspieszył. Bułgarzy, w przeciwieństwie do innych krajów byłego bloku, nie spodziewali się końca komunizmu, pierwszy wolnościowy ruch społeczno-polityczny uformował się tam wiosną 1989 r. Ten nagły powiew wolności nie dawał czasu na budowanie wielkich narracji. Trzeba było pisać tu i teraz, już.

W czasie największej zapaści gospodarczej, w 1996 r., ukazał się przełomowy tom wierszy autora pt. „Drzewo czereśniowe pewnego narodu”. Gospodinow zajął się w nim mitami narodowymi, rodzimą tradycją literacką, własnym dorastaniem i samą bułgarszczyzną. Tu trzeba zaznaczyć, że jeśli psychologia narodu manifestuje się w jego poczuciu humoru, to w przypadku Bułgarów dominuje ambiwalencja: kochają się śmiać, ale najczęściej jest to śmiech przez łzy. Dominuje czarny i absurdalny humor. Zbiór poetycki (zawierający także bardzo krótkie prozy) był nim nasycony i szybko stał się legendą, a nazwisko jego autora – synonimem głosu młodego pokolenia. Smutkowi zaś autor poświęcił jedną z najbardziej cenionych swoich książek.

Swoją pozycję Gospodinow potwierdził „Powieścią naturalną” (1999, wznowienie polskiego przekładu Marty Hożewskiej-Todorow właśnie ukazuje się w Wydawnictwie Literackim). I znów Gospodinow



Georgi Gospodinow. Wenecja, 26 maja 2022 r.

przekracza granice gatunkowe, narracyjne, językowe. Po raz kolejny też w sposób ostentacyjny wręcz pisze w kontrze do monumentalizmu i patosu – narzucanych w czasie poprzedniego ustroju (warto dodać, że doktryna realizmu socjalistycznego oficjalnie utrzymała się w Bułgarii do końca rządów komunistycznych). Szczególnie mocno widać to w „małych historiach”, osobistych opowieściach, wprowadzaniu osób społecznie wykluczonych (m.in. bezdomnych) oraz najmniejszych istot (z muchą na czele).

Gospodinow lubi, pół żartem, pół serio, nazywać lata 90. w Europie Środkowo-Wschodniej latami 60. na Zachodzie. Podczas gdy „wielkie” kultury opowiadają historie zwycięzców, naturalnie niemal wybierając wielkie narracje, kultury stereotypowo postrzegane jako „mniejsze” czy wręcz „małe” mają do zapisania inne historie – małe, połamane, nieciągle. Czuła obserwacja i nazywanie tego, co ulotne, nieduże, pozbawione głosu, jest jak tworzenie całości z odłamków, pęknięć, okruchów codzienności.

Pisarz globalny

Przełomowa dla międzynarodowej recepcji jego twórczości powieść „Fizyka

Spotkanie
z **GEORGIM GOSPODINOWEM**
odbędzie się 25 października
o godz. 21 w ramach
Festiwalu Conrada
w Krakowie.

Bezpłatne wejściówki są
dostępne na stronie
Krakowskiego Biura
Festiwalowego.



smutku” (2011, pol. wyd. 2018) w dużej mierze opowiada o Bułgarii. Autor lubi jednak wracać do swoich spotkań z czytelnikami „Fizyki” w różnych zakątkach Europy i do tego, co od nich słyszy. Okazuje się bowiem, że historia porzuczonego dziecka z kluczem na szyi rozgrywała się nie tylko w latach 70. i 80. w blokach z wielkiej płyty, lecz także w toskańskim Grosseto czy zamożnym Zurychu. Uznawana za „lokalną wariatkę” kobieta czekała na Alaina Delona nie tylko pod bałkańskim kinem im. Wapcarowa, ale i na Sardynii. Przy-

kłady można by mnożyć, ale najważniejsze, czyli wspólnota doświadczeń, to element najczęściej pojawiający się w opiniach czytelników, niezależnie od kraju ich pochodzenia.

Jednocześnie Gospodinow doskonale porusza się po tekstach światowej kultury – od mitologii, przez filozofię, amerykańską poezję, po popkulturę z kinem i muzyką popularną na czele. Odwoływanie się do wspólnego dziedzictwa wzmacnia siłę gospodinowskiej twórczości, ale jej jądro tkwi w intymnej opowieści oraz języku – gęstym, niejednoznacznym, lecz bardzo obrazowym. Przykład: „Dzieciństwo i młodość pełne są czasowników. Nie możesz usiedzieć w miejscu. Wszystko w tobie rośnie, tryska, rozwija się. Później, w średnim wieku czasowniki stopniowo zamieniają się w rzeczowniki. Dzieci, samochody, praca, rodzina – rzeczywiste sprawy rzeczowników. Starzenie się jest przymiotnikiem. Wchodzimy w przymiotniki starości – powolni, bezbrzeżni, zamgleni, chłodni lub przezroczyści jak szkło”.

W najnowszej i najgłośniejszej dzięki międzynarodowemu uznaniu i Bookerowi powieści „Schron przeciwczasowy” narracja bezpośrednio nawiązuje →

→ do dzisiejszego świata, w którym z powodu braku wizji przyszłości coraz chętniej zaczynamy wracać do przeszłości. Wychodząc od próby przywrócenia komfortu i spokoju osobom, które tracą bądź straciły pamięć, bohater książki Gaustyn (skądinąd wędrujący po wszystkich utworach Bułgara, od „Drzewa czereśniowego...” począwszy, i dzielący z nim inicjał) tworzy sanatoria, w których poszczególne piętra odtwarzają wystrojem i atmosferą konkretne dekady XX wieku.

Dość szalony pomysł okazuje się atrakcyjny dla wielkiej polityki. Przywódcy krajów europejskich, nie mając swoim rodakom do zaoferowania widoków na przyszłość, postanawiają odtworzyć eksperyment na wielką skalę. W tym celu odbywa się referendum. Każdy z krajów ma wybrać ulubione dziesięciolecie z przeszłości. Brzmi jak dystopia lub *political fiction*, jednak dzięki strategiom pisarskim i nieustającej potrzebie eksperymentu literackiego Gospodinow po raz kolejny stworzył utwór niejednoznaczny, choć do bólu aktualny.

Socjologowie badający współczesny globalny świat zauważyli, że podział na centrum i peryferie jest niewystarczający do jego opisu. Proponują pojęcie globalizacji, które uwzględni różne formy przepływu między kulturami. Przewodnicząca Kapituły Międzynarodowej Nagrody Bookera, francusko-marokańska pisarka Leïla Slimani, uzasadniając wybór „Schronu przeciwczasowego” powiedziała: „Nagrodziliśmy książkę, która łączy to, co indywidualne, z tym, co wspólne. Intymność z doświadczeniem zbiorowym. Książkę, która zadaje pytania o świat wokół nas, ale poprzez swój język i odwołania literackie jest dziełem uniwersalnym”. Czyż nie brzmi to jak definicja pisarstwa globalnego?

© MAGDALENA PYTLAK

Jagna w deszczu

DK WELCHMAN:

Właśnie sobie uzmystowiłam, że podczas pracy nad „Chłopami” zespół składający się niemal wyłącznie z kobiet malował obrazy inspirowane dziełami wyłącznie mężczyzn.

KATARZYNA KUBISIEWSKA: „Girl power”, napis na Pani koszulce – to dla pokreślenia własnej mocy?

DK WELCHMAN: To punkt wyjścia do wszystkiego, co zaczęło się dziać z filmem „Chłopi”. Po siedmiu latach pracy nad „Twoim Vincentem”, codziennym obcowaniu z życiem i dziełem mężczyzny, oddawaniu mu twórczej energii, chciałam spojrzeć właśnie w te rejony.

Znalazła je Pani w powieści Reymonta?

Znalazłam tam złożone osobowości kobiecych bohaterek. Od Wójtowej i Dominikowej przez Hankę i Józkę po organiścińkę i Jagustynkę. A najbardziej mnie poruszał w tej opowieści wątek Jagny i czworokąta emocjonalnego, który tworzy się wokół jej postaci.

Przecież akurat tę postać pokazaną A.D. 2023 ominęły wszelkie ślady postulatów dzisiejszego feminizmu.

Moja Jagna nie była świadoma tego, że może się przeciwstawić regule, ustalonemu porządkowi i roszczeniowemu mężczyźnie. Stała się kozłem ofiarnym w swojej społeczności. Nie miała wyborów, które by realnie zmieniły jej sytuację. Oprócz jednego: ucieczki. I ja Jagnie daję tę możliwość. W powieści czeka ją inny koniec: postradała zmysły. Bo 120 lat temu dziewczyna, po wypędzeniu jej ze wsi, nie byłaby w stanie wziąć życia w swoje ręce. W mojej wersji „Chłopów” znaczenie ma to, że w finale deszcz obmywa jej ciało ubrudzone



gnojem. Mimo upodlenia wstaje z kolan o własnych siłach. W tym tli się dużo nadziei. Może to jest właśnie *girl power*?

Jak reaguje na tę scenę publiczność?

Po seansie „Chłopów” na festiwalu w Gdyni uczennica pierwszej klasy liceum powiedziała najpierw, że film tak bardzo ją zaniepokoił, że sięgnęła po powieść Reymonta. I postawiła pytanie: jakie są losy Jagny po wielkiej niesprawiedliwości, której doświadczyła? Co robi po tym, jak już ją obmyje ten deszcz?

Co Pani na to?

Może jedzie do Warszawy, gdzie zostaje aktorką, koleżanką Heleny Modrzejewskiej? Na pewno ma przyszłość, na pewno to nie koniec.

Ale w Pani filmie Jagna najpierw musi odańczyć na własnym weselu taniec. Jest w nim przekazywana z rąk do rąk – męskich. Zagubiona, skotowana, poddana.

Ta scena to cały mój film w pigułce. W powieści Reymonta Jagna tańczy z dziesięcioma mężczyznami. Ja się ograniczyłam do tańca z trzema, tymi, którzy mieli zasadniczy wpływ na bieg jej życia. Tańczy z Maciejem Boryną, który chciał za morgi kupić młodą i piękną żonę. Co też uczynił, nie zastanawiając się nad konsekwencjami: poświęceniem relacji z synem, w ogóle z całą rodziną. Jagna

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kamila Urzędowska i Robert Gulaczyk
w filmie „Chłopi”, reż. DK Welchman,
Hugh Welchman, 2023 r.

Hanka ma siebie rozpoznaną, wie, kim jest. Sądzę, że Hugh jest jak Hanka, a ja jestem jak Jagna.

Ciekawe!

Jagnę rozumiem na wielu płaszczyznach jej życia. Począwszy od tego, że jest artystyczną duszą, realizuje się poprzez sztukę. Tworzy wycinanki, którymi dekoruje chałupę z okazji ważnych uroczystości – to określa jej osobowość. Zachwyca się równie mocno przyrodą, jak i muzyką. Czuje, że nie pasuje do zbiorowości, w której żyje. Rozumiem też Jagnę poprzez jej miejsce w układzie rodzinnym, przez to, jak była faworyzowana przez matkę.

Czyli?

Jestem wychowana przez babcię – osobę, która wszystko podporządkowała dobru bliskich. Babcia i dziadek studiowali medycynę. Lecz to on ją ukończył, ona naukę przerwała. A to babcia była studentką wybitną, dziadek – studentem przeciętnym. Babcia poszła pracować w sanepidzie, a dziadek został lekarzem. Babcia prowadziła dom – skupiła się na wychowaniu młodszej córki i wnuczki, czyli mnie. Moja mama wyjechała do Austrii, ojca widziałam raz i nie było to dobre spotkanie. Ale babcia zapewniła mi bardzo dobre dzieciństwo – traktowała mnie jak opuszczone dziecko, więc dostałam podwójną dawkę miłości. Uwagę i czułość. Potem z Agatą poszliśmy w świat układać swoje życie. Z babcią miałam bliski kontakt, bardzo często rozmawialiśmy, przyjeżdżałam do Bytomia, lecz nie tak często, jak powinnam – mieszkalam w innych częściach Polski i byłam pochłonięta pracą.

Wyrzut sumienia?

Taki obraz do mnie wraca: to nie dziadek, ale babcia wykonywała w domu ciężkie fizyczne prace. To ona schodziła do piwnicy po węgiel. I to ona za PRL-u stała godzinami w kolejkach po przysłowiowy papier toaletowy. Ciężko mi o tym mówić, bo widzę ogrom niesprawiedliwości: kompletnie się nie docenia tej żmudnej, niewdzięcznej, przyziemnej pracy. Ona jest nieatrakcyjna, więc niezauważalna. Przeźroczysta. Nie powstają na jej temat

tańczy z wójtem, który Jagny pożądał i próbował ją wykorzystać. I jeszcze tańczy z kowalem, którym kierowała prosta motywacja: zazdrość o dobra materialne.

Pani ten cały układ międzyludzki dostrzegала już przy pierwszej lekturze „Chłopów”?

Niewiele pamiętam z licealnej lektury „Chłopów”. Do powieści wróciłam jako dorosła poprzez audiobook, którego słuchałam w trakcie pracy nad „Twoim Vincentem”. Poetycki rytm prozy Reymonta bardzo mi sprzyjał – mogłam odpływać i jednocześnie nie tracić koncentracji nad swoją dłubaniną. Ale zachęta do nakręcenia filmu przyszła od mojego męża, z urodzenia Anglika, a także współreżysera i współscenarzysty „Chłopów”. Przeczytał powieść Reymonta w tłumaczeniu Michała Dziewickiego – dość archaicznym, bo jeszcze z dwudziestolecia międzywojennego, a nie tym najnowszym i znakomitym autorstwa Anny Zaranko.

Przebrnął?

Mimo trudności z przekładem zachwylił się tą powieścią. Może też dlatego, że przeczytał ją na miesięcznym odosobnieniu, gdzie pił wyłącznie świeżo wyciskane soki i był potwornie głodny. A w „Chłopach” co rusz któryś z bohaterów zajada się świeżo utłuczonymi ziemniakami ze skwarkami, kapustą z grochem, mięsem gotowanym podawanym z prażoną ka-

szą jęczmienną, śledziami obtaczanymi w mące i smażonymi w oleju konopnym, racuszkami z gryczanej mąki z miodem zatartymi i w makowym oleju...

Ale serio, czym Anglika zachwyliła opowieść o polskiej wsi z końca XIX wieku?

Właśnie tym, że akcja toczy się na wsi. Oraz epickością, rozmachem i samą fabułą – opisem wciąż aktualnego mechanizmu zachowań grupy ludzkiej. Hugh najbardziej był zdumiony tym, jak świetne reporterskie oko miał Reymont, ile w tej fikcji jest autentyczności i realizmu. Nie mieściło mu się w głowie, że ostatnia adaptacja „Chłopów” – której swoją drogą nie oglądałam, by się niczym nie sugerować – dokonana została pięćdziesiąt lat temu. I jeśli jego zafascynowała przede wszystkim tematyka, to mnie malarskość, oczami wyobraźni natychmiast animowałam niektóre sceny. Mojemu mężowi podobala się szczególnie postać Hanki, która – wypędzona z domu przez teścia – przechodzi przemianę: początkowo jest stłamszona i zahukana, a potem bierze życie w swoje ręce, działa, nie poddaje się. Jest w niej ambicja, charyzma i wola przetrwania.

A Jagna?

Ona jest trudniejszą bohaterką – często coś czuje, ale nie wie, co to jest, skąd to się w niej bierze. Rozedrgana. Natomiast

→ opasłe książki, które można by postawić na półce.

To może film?

Planuję film, którym oddam babci hołd. Tyle mogę dla niej zrobić, babcia już go nie zobaczy. I to będzie film aktorski, fabularny. Chciałabym opowiedzieć o kobiecie, która przerywa w najlepszym momencie kariery zawodowej pływaczki. Ale w tej kobiecie jest ogromna siła, bo to suwerenna decyzja, ona zdaje sobie sprawę z tego, co traci. Umie zaryzykować. I oddaje się prowadzeniu domu. A ten dom powoli pustoszeje: najpierw, naturalnym biegiem spraw, opuszczają go dzieci, potem umiera mąż. Na końcu umiera ukochany kot. Zostaje kompletnie sama. Wtedy wchodzi do morza i zaczyna pływać... I tu wydarzają się nowe sytuacje. Chciałabym, by tę postać zagrała Dorota Stalińska – świetna aktorka i świetna pływaczka. W „Chłopach” wcieliła się w Jagustynkę – złośliwą, szydzącą, podjudzającą. Ale w sytuacjach kryzysowych stającą po stronie słabszego, choćby Jagny. Współczującą i sprawiedliwą.

Inne Pani duchowe pokrewieństwa z Jagną?

Wiem, jak to jest znaleźć się w sytuacji przemocowej. I jak to jest, gdy nie umie się stawiać granic. Moja babcia to był najukochańszy człowiek na świecie, ale nie rozmawiała ze mną na temat seksualności, cielesności, budowania relacji. Kiedy mówić „nie”, by nie dać się skrzywdzić. Sporo czasu musiało upłynąć i w kilka trudnych sytuacji musiałam się uwikłać, zanim nauczyłam się stawiać granice.

Zawodowy sukces w takich sytuacjach wzmacnia?

Środowisko filmowe jest mocno zmasculinizowane. A ja konsekwentnie używam feminatywów, mówię o sobie „reżyserka”, a nie „pani reżyser”. Puszczam mimo uszu ironiczne uwagi, że reżyserka to nazwa pomieszczenia. W sumie nie mam pojęcia, czy ta protekcyjność wynika z faktu, że jestem kobietą, czy raczej z tego, że nie ukończyłam Łódzkiej Filmówki. Ale jednocześnie 85 procent zespołu malarzkiego „Chłopek” to kobiety. I praca z nimi była wspaniała – wystarczały subtelne wskazówki. Gdybym w ten sposób na planie filmowym zwracała się do ekipy, tobym została zakrzyzczana.



MATERIAŁ PRASOWY

DK WELCHMAN (DOROTA KOBIELA),

ur. w 1978 r. w Bytomiu. Reżyserowała krótkometrażowe filmy animowane. Za „Małego listonosza” (2011) dostała nagrody na festiwalach w Los Angeles, Liège i Barcelonie. „Twój Vincent” (2017), pełnometrażowy debiut animowany, zdobył nagrodę za najlepszy film animowany Europejskiej Akademii Filmowej oraz na MFF w Szanghaju. Na ekrany kin wszedł właśnie jej najnowszy film pt. „Chłopi”, który będzie polskim kandydatem do Oscara w kategorii „najlepszy film międzynarodowy”.

Miały trudno?

Wyzwaniem było nie to, że długo siedziały nad kadrami i bolały je plecy, tylko rezygnacja z własnego stylu. W szkołach artystycznych podkreśla się, jak ważna jest twórcza osobowość. A w „Chłopach” artystki malowały pod dyktando, w ściśle określonej konwencji. Tu już nawet nie chodzi o ambicje, tylko przekroczenie tego, co zostało artystom wpojone przez nauczycieli.

I trzeba namalować realistyczny portret?

Nie robi się tego bez świetnej techniki. Farby należy kłaść w odpowiedniej kolejności. Nie mogą to być warstwy grube, tylko cieniutkie, zniuansowane, trzeba wydobyć ten błysk w oku. Nie każdy taki warsztat posiada, nawet jeśli ukończył Akademię Sztuk Pięknych. Dlatego przy „Chłopach” trudniejszy był casting na malarzy niż na aktorów.

I teraz uzmysławiam sobie, że zespół składający się niemal wyłącznie z kobiet malował obrazy inspirowane dziełami wyłącznie mężczyzn: Józef Chełmoński, Leon Wyczółkowski, Julian Fałat, Ferdynand Ruszczyc, Alfred Wie-

rusz-Kowalski, Włodzimierz Tetmajer. Mój ulubiony obraz to „Wschód księżycy” Stanisława Masłowskiego, jest też „Dziewczyna z wiadrem” Apoloniusza Kędzierskiego. Ludwik de Laveaux malował chłopki w polu ubrane w odświętne stroje – jakby nie szły do pracy, tylko na wesele. Te światy są wizją chłopstwa, ale na pewno odbiegającą od realiów.

Które sceny sama Pani namalowała? Żadnej.

Nie no, serio?

Nie miałam czasu, żeby wyjść na spacer z psem, a co dopiero malować. Non stop siedziałam przed komputerem i koordynowałam pracę stu malarzy w czterech studiach – w Polsce, Litwie, Serbii i Ukrainie. Prace nad filmem dwukrotnie przerwała pandemia koronawirusa. Kolejny próg: rosyjska inwazja na Ukrainę.

A sam plan zdjęciowy?

Różni się od klasycznego tym, że więcej scen gra się w studio, na green screenach. Aktorzy muszą użyć więcej wyobraźni. Dalej: montaż i podzielenie filmu na ujęcia i przeprowadzenie całego procesu animacyjnego. Przekazanie filmu malarzom: dwa lata pracy nad tłem, postaciami, poszczególnymi scenami. Cztery ostatnie miesiące liczę podwójnie – wszyscy pracowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie. W pięć lat zrealizowaliśmy prawie dwugodzinny film. 40 tysięcy klatek namalowanych techniką olejną. Samych obrazów powstało dwa i pół tysiąca.

Ma Pani jeszcze czas, by bezinteresownie stanąć przed sztalugą?

Ostatnio namalowałam portret ukochanego psa Seana M. Bobbitta – producenta „Chłopów”. Sean dostał ten obraz w prezencie urodzinowym. Często na niego patrzę, gdy siedzę w jego gabinecie. Przypomina mi o tym, jakim wspaniałym procesem jest malowanie. Może jeszcze będę to robić, ale wyłącznie dla siebie, w ramach czystego relaksu. I choć tęsknię za płótnem i pędzlem, skupiałam się na filmie, temu chcę się całkowicie oddać. A *girl power* cały czas się we mnie umacnia. Choć wiem, że przede mną sporo do przepracowania – kolejne lata terapii i kilka filmów do nakręcenia. Chyba jestem na dobrej drodze.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **SŁUPSK**, czwartek 19 października, spotkanie autorskie z ks. Andrzejem Dragułą wokół książki „Syn marnotrawny. Biografia ocalenia”, Klubksięgarnia „Cepelin” (ul. Krzywa 62), godz. 18.00
- **OSTROWIEC ŚWIETOKRZYSKI**, piątek 20 października, spotkanie autorskie z ks. Alfredem Wierzbickim wokół książki: „Między innymi o radości”, Klub „Kameleon” (ul. Sienkiewicza 55), godz. 18.00
- **LUBLIN**, czwartek 26 października, spotkanie dyskusyjne z Piotrem Jaconim oraz ks. prof. Andrzejem Szostkiem, „Jak rozmawiać o transpłciowości?”, Teatr Stary (ul. Jezuicka 18), godz. 18.00
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 30 października, spotkanie wokół książki Richarda Rohra „Uniwersalny Chrystus”, rozdział: „Chrystus to nie jest nazwisko Jezusa”, cykl „Wspólne czytanie” / online /

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata
Wisława Szymborska

26. Międzynarodowe
TARGI KSIĄŻKI
w Krakowie
26-29 października 2023

Kraków, ul. Galicyjska 9
ksiazka.krakow.pl

BILETY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Prenumeratę papierową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- poprzez dokonanie wpłaty na konto lub opłaceniu przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączzonej,
na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Ludzka bomba

ANITA PIOTROWSKA

Przed nami kino spod znaku „cierpliwego oka” – i tego samego wymaga od nas. Próżno szukać w nim ozdobników czy metafor.

WIERZYM W ZBAWCZĄ MOC OPowieści, ale coraz częściej się zdąrza, że więcej przeżyć czy przemyśleń może dostarczać skromny dokument. Tak było na początku tego roku, kiedy berlińską statuetkę Złotego Niedźwieźdza otrzymał Nicolas Philibert za „Adamant”. W zalewie wymyślonych i wymyślnych historii zadziałał pewnie ów głód non-fiction, lecz decydujące musiało być odkrycie, że można w taki sposób opowiadać o ludziach w kryzysie psychicznym.

Tytułowe miejsce kiedyś mogłoby być przedstawione niczym statek szaleńców – dziś to raczej statek ocalańców. Czyli bardziej arka Noego, a konkretniej barka. Bo właśnie na brzegu Sekwany zacumowała przed laty specjalna jednostka, gdzie mieści się dzienny ośrodek terapii zajęciowej dla tych, którzy na skutek rozmaitych zaburzeń i życiowych wydarzeń wypadli ze społecznych kolein.

Tuż obok toczy się intensywne życie paryskiej metropolii, pływają barki z towarami i turystami, tymczasem w ośrodku spotyka się regularnie grupa ludzi, by razem malować, pisać, muzykować, gotować, a przede wszystkim rozmawiać. Lub po prostu pomilczeć. Zajęciami kierują specjaliści, choć z początku trudno się zorientować, kto tu jest pacjentem, kto pracownikiem. Na tym właśnie polega fenomen tej placówki: na maksymalnym włączaniu wykluczanych i oddaniu im utraconej podmiotowości. Trochę wbrew powszechnej medykalizacji tego, co jeden z bohaterów nazywa swojsko „bałaganem w głowie”.



Filmowani pacjenci znajdują się oczywiście pod stałą opieką psychiatryczną, zażywają leki, zapewne wielu ma postawione diagnozy. Jednak reżyser skupia się na programie dodatkowym, który poprzez aktywność indywidualną i grupową pomaga w wyrażaniu trudnych emocji czy komunikowaniu się z innymi. Który stawia na kreatywność, uspołecznienie i bycie choćby przez moment kimś potrzebnym.

Już w 1997 r. Philibert nakręcił dokument „Najmniejsza ze wszystkich rzeczy” – o tym, jak w szpitalu psychiatrycznym La Borde w centralnej Francji pensjonariusze przygotowują inscenizację „Operetki” Gombrowicza. Sam trafił na barkę „Adamant” jako jeden z wielu gości zaproszonych przez tamtejszy dyskusyjny klub filmowy. Niemniej to, co oglądamy, wydaje się czymś więcej niż arteterapią. Duża część codziennego funkcjonowania instytucji – sprawy organizacyjne, papierologia, rachunki – spoczywa w rękach samych pacjentów. Czasem warsztaty i zwykłe bycie ze sobą zlewają się w jedno, a mechanizmy kontroli zostały zredukowane do minimum. I nie trzeba dodawać, jak istotne dla poprawy samopoczucia jest serwowanie w ośrodku dobrej kawy; dyskusje o niej słyszymy z ekranu kilkakrotnie. Nawet podejrzliwy wobec tego rodzaju instytucji Michel Foucault dałby kciuk w górę.

Twórca „Być i mieć” przypatruje się temu z boku, ale nie udaje, że go tam nie

ma. Samo wejście z kamerą do ośrodka na wodzie już stanowi ingerencję, dlatego z jednej strony reżyser stara się być niewidoczny, z drugiej zaś sporadycznie wchodzi w naturalne interakcje z bohaterami. Albowiem przez wiele tygodni przebywania tamże staje się częścią tego miejsca i chcąc nie chcąc wpływa na jego dynamikę.

Najważniejsze, że stojący osobiście za obiektywem Philibert i jego współscenarzystka Linda De Zitter nie narzucają się z określonym założeniem. Na tym polega ryzyko związane z przedstawianiem w kinie osób z problemami psychicznymi – prócz ciekawskiej egzotyzacji, równie łatwo zgrzeszyć estetyzacją, nadmierną czułościowością bądź wpisywaniem czyjeś zdrowia psychicznego we wszelkiej maści dyskursy.

Na barce trudno o wielkie uogólnienia. Przychodzą tu ludzie z różnymi problemami, z różnych klas społecznych, o różnym statusie majątkowym i przynależności etnicznej. Można spotkać byłego poetę, dekoratorkę wnętrz z saudyjskiego dworu i zwyczajną imigrantkę z Afryki. Jeden z pacjentów okazuje się synem uznanego reżysera filmowego, Gérarda Gozlana. A może to nieprawda, tak jak fantastyczna historia o byciu reinkarnacją van Gogha czy drugim Jezusem?

Podczas gdy w typowym filmie o „wariatkowie” takie historie byłyby przedmiotem anegdoty, w dokumencie Philiberta najważniejsze jest coś innego.



MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

ADAMANT

(*Sur l'Adamant*) –
reż. Nicolas Philibert.
Prod. Francja/Japonia
2023. Dystryb.
Aurora Films.
W kinach.

Nicolas Philibert
to francuski
dokumentalista,
z wykształcenia
filozof. Uznanie
przyniosły mu takie
tytuły jak „W krainie
głuchych” (1992),
„Być i mieć” (2002,
Europejska Nagroda
Filmowa), „Powrót
do Normandii”
(2007), „Nénette”
(2010) czy „Kocham
radio” (2013). Jest
mistrzem filmowej
obserwacji skupionej
na wewnętrznym
funkcjonowaniu
publicznych instytucji.

Na przykład samotność, bo przecież „umysłowo chorzy nie mają rodziny”, a w dodatku trwa jeszcze pandemia. Na szczęście świetlica na Sekwanie zadbała i o to, by wytłumaczyć swoim podopiecznym, podwójnie wyłączone i niepewnym w czas morowy, dlaczego szczepionki są potrzebne. I pewnie już tego nie pamiętamy, ale wówczas prawie wszyscy byliśmy potencjalnymi pacjentami barki „Adamant”.

W jednej z początkowych scen wspomniany wyżej bohater śpiewa z pasją piosenkę zatytułowaną „Ludzka bomba”. Mowa w niej o wielkim niekontrolowanym potencjale, jaki nosimy w sobie, dlatego tak ważne jest, aby nie pozwolić komuś ani czemuś, żeby przejął detonator. Tutaj każdy zdaje się być taką tykającą bombą, chwilowo wyciszoną i spowolnioną. Rozmowy brzmią czasami irracjonalnie, skojarzenia podążają dziwnymi drogami, lecz Philibert wierzy, że właśnie w takich ludziach kryje się jakaś prawda o nas wszystkich – zresztą ten podział na „onych” i „nas” bywa w filmie zatarty. Nie przypadkiem jego mottem są słowa Fernanda Deligny’ego, zasłużonego pedagoga specjalnego, który już w pierwszej połowie XX wieku postulował „uwolnienie” młodych podopiecznych spod kurteli tradycyjnej pedagogiki czy resocjalizacji. Przywołane przez reżysera szczeliny w systemie pozwalają zobaczyć nie tylko tych, którzy na co dzień z powodu swojej choroby pozostali niewidoczni i niesłyszalni.

Twórca filmu raczej nie ułatwia widzowi zadania. Przed nami kino spod znaku „cierpliwego oka” – i tego samego wymaga od nas. Próżno szukać w nim ozdobników czy metafor, może z wyjątkiem zapatrzeń na zmieniające się pory roku albo na wodniackie akcesoria typu siatka ochronna i koła ratunkowe. W „Adamancie” owo ratowanie odbywa się w sposób niezauważalny, na gruncie spotkania towarzyskiego czy wspólnych zajęć i tak też jest filmowane. Samym sposobem patrzenia udaje się raz jeszcze, podążając za prowadzącymi paryski ośrodek, unieważnić definicję tzw. normy, która często powoduje stygmatyzację.

„Miewam dobre chwile” – zwierza się w pewnym momencie jedna z pacjentek. Dokument o psychoterapii na rzece pokazuje, jak wiele można zrobić dla pomnożenia tych chwil. ©

Lektor: Córka i matka



■ Anna Kaszuba-Dębska,
PRZYSZESKA / PAJAKÓWNA.
GŁUCHY KRZYK
Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2023,
ss. 528.

TO BYŁA FASCYNUJĄCA LEKTURA: LISTY STANISŁAWY Przybyszewskiej, opublikowane w latach 1978-1985 przez Tomasza Lewandowskiego. Autoportret pisarki o chorobliwie niemal chłonnym intelekcie, ogromnych ambicjach i zdolnościach, za sprawą okoliczności, ale i niełatwego charakteru zmierzającej ku zatraceniu. Nawet sukces „Sprawy Dantona” nie odmienił jej losu. Zimny barak w Gdańsku, głód, alkohol, morfina, wreszcie śmierć w wieku niespełna 34 lat.

„Córka Przybyszewskiej” w książce Anny Kaszuby-Dębskiej jest przede wszystkim córką swojej matki. „Przyszła na świat 1 października 1901 roku (...) o pierwszej po południu pierwsze bóle, o 5.30 wieczorem pierwszy krzyk Dzidziusi” – zanotowała Aniela Pajakówna. Wykształcona w Krakowie, Paryżu i Monachium malarka, wzięta portrecistka, miała wtedy 37 lat. Przybyszewskiego poznała w lwowskim domu Pawlikowskich. Helena i Mieczysław Gwałbert Pawlikowscy z Medyki opiekowali się nią od dzieciństwa, dbali o jej rozwój i łożyli na jej naukę. Helena, która wspierała nadal „pannę z dzieckiem”, podpisywała listy do niej „pół matka”. Przybyszewski uznał swoje ojcostwo, jednak już ze zgodą na danie Stasi nazwiska były kłopoty, o ślubie nie wspominając. Dagny Przybyszewska już nie żyła, ale autor „Synagogi szatana” wdał się tymczasem w romans z Jadwigą Kasprowiczową, i to z nią później się ożenił. Aniela mimo skandalu nie chciała oddać córeczki, wycofała się z życia towarzyskiego, wyjechała za granicę. I zmarła w kwietniu 1912 r. w paryskim szpitalu, pisany na łożu śmierci list-testament kierując do wiekowej już „pół matki”.

Olbrzymi tom oparty jest na dokumentach z epoki, zwłaszcza obficie cytowanych listach. Powstał portret podwójny matki i córki, złączonych mocnymi więzami – Stanisława zachowała matkę w dobrej pamięci, jej nieliczne kontakty z ojcem były natomiast traumatyczne, a pierwsza fascynacja jego dziełem ustąpiła postawie zdecydowania krytycznej. To opowieść o dwóch twórczych kobietach i barierach społecznych, które je ograniczały. A także kilka wizerunków pięknych ludzi, którzy przychodzili im z pomocą. W ostatnich latach udostępniono niepublikowaną prozę Przybyszewskiej i rozpoczęto krytyczną edycję pism jej ojca – można lekturę poszerzyć. Może jeszcze ktoś przygotowałby wystawę monograficzną Pajakówny? ©

OLGA

Drenda:

Wyjechać do Teksasu



„GONE TO TEXAS” – TAKIE TABLICZKI ZOSTAWIALI NA SWOICH DOMACH AMERYKANIE PODCZAS KRYZYSU FINANSOWEGO W 1819 R. PÓŹNIEJ HASŁO O WYJEŹDZIE DO TEKSASU ZACZĘŁO KOJARZYĆ SIĘ NIE Z UCIECZKĄ PRZED DŁUGAMI, A Z OBIETNICĄ ROZPOCZĘCIA ŻYCIA NA NOWO, Z CZYSTĄ KARTĄ. JEST W TYM COŚ NIEODMIENNIE POCIĄGĄJĄCEGO – MÓC SIĘ REALNIE STAĆ INNYM CZŁOWIEKIEM, ZOSTAĆ PRZESZŁOŚĆ ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI.

Myślę o tym czasami, kiedy dowiaduję się o nowych opowieściach z nurtu „zwrotu ludowego”. Jako praktykująca absolwentka studiów etnologicznych, traktowanych często jako błahostka albo śmieszna cepeliada, cieszę się, że wreszcie doceniono kilometry spisanych rozmów, pamiętników i relacji z badań terenowych, które w etnograficznych archiwach czekały na swój moment. Jako człowiek mam więcej pytań niż odpowiedzi. Ludzie, chyba szczególnie często w moim pokoleniu, chcą wiedzieć więcej o życiu zwykłego człowieka na wsi, życiu – nie trzeba dodawać – niełatwym. Czasami traktują to jako niezbędne oddanie sprawiedliwości i dopisanie brakującego rozdziału do wspólnej historii. Czasami próbują przeprowadzać zbiorowe psychoanalizy albo dopowiadać sobie w ten sposób rozmowy, których nie mieli szans przeprowadzić ze swoimi bliskimi, z różnych przyczyn: nie zdążyli, nie ciekawiło ich to albo starsi nie chcieli na takie tematy rozmawiać.

Ta ostatnia możliwość interesuje mnie najbardziej, bo zachęca do refleksji nie tylko nad granicą prawa do pytania o czyjś życiorys i o zapełnianie białych plam, ale przede

wszystkim – prawa (by pożyczyć sobie terminologię RODO) „do bycia zapomnianym”. Być może, jeśli ktoś nie chciał mówić, to – ryzykowne stwierdzenie – trzeba się z tym pogodzić i oprzeć się pokusie deszyfrowania. Ktoś może nie chcieć opowiadać o trudnych doświadczeniach – i to wcale nie dlatego, że ma coś na sumieniu. Może uważać to za zbyt osobiste, ale także może z własnej woli uznać, że jest „gone to Texas”, a tamten rozdział zamknął i wyrzucił z pamięci. Kto wie, czy najuczciwszą rzeczą nie pozostaje wtedy zgłoszenie własnej ciekawości i niezakłócanie tej ciszy.

XX wiek wiele zniszczył, ale też umożliwiał rozpoczynanie od nowa, być może częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Ktoś zostawał zmuszony, bądź sam się decydował, na życie w zupełnie innym miejscu na ziemi. Ktoś inny mógł przerwać pokoleniowy łańcuch dziedziczenia identycznej pracy i podobnych obowiązków: iść do szkoły, wyjechać do miasta, kupić traktor, korzystać z elektryczności. Ktoś skorzystał z możliwości, by założyć rodzinę z kimś, kogo kocha, a nie z kimś, z kim tylko łatwiej razem przeżyć. Zdarzało się, że ktoś żył niemal w dwóch epokach cywilizacyjnych, z których ta pierwsza szybko zaczynała zachodzić mgłą. Gdy wzywało życie, nie było potrzeby rozpamiętywania.

Przyznaję, że ta strona ludzkich życiorysów ciekawi mnie najbardziej: co istnieje poza tragedią? Jest jakaś budująca nadzieja w tym, że nie trzeba być wiecznym więźniem trudnych doświadczeń, że to nie one muszą decydować na zawsze o tym, kim jesteś. Że można przeżyć wojnę czy biedę, ale później traktować to jako epizod, po którym przyszło kilkadziesiąt lat innego życia. Że to nie wpłynęło na twoje życie bardziej niż fakt, że uparłeś się zdać maturę, że zostałeś mądrym gospodarzem, dobrym rodzicem, że sam zbudowałeś dom, sadziłeś las, że nauczyłaś się grać na skrzypcach, poszłaś na studia, pomagałaś odbudować swoje miasto. Wtedy symboliczne odrzucenie przeszłości nie musi wynikać ze wstydu, a z prostego faktu, że masz już inne rzeczy do roboty.

Gdy etnomuzykolog Alan Lomax spotkał genialnego bluesmana Leadbelly'ego, ten ostatni odsiadywał wyrok więzienia. Lomax, pod wrażeniem nie tylko talentu muzyka, ale też promocyjnego potencjału opowieści o skazanym, który wyśpiewał sobie wolność, chciał ubierać swojego podopiecznego w więzienny uniform już po zakończeniu wyroku. Leadbelly nie zamierzał się na to zgodzić: w cywilnym życiu chciał nosić garnitur oraz grać jazz i folk. Tamtego człowieka, wraz z jego strojem i repertuarem, złożył symbolicznie do grobu (choć dla pełnego obrazu sprawy trzeba wspomnieć, że porywczy charakter niebawem wpędził go jeszcze raz za kratki). Ta historia też przypomina mi się zawsze wtedy, gdy natrafiam na rozmaite powroty, rekonstrukcje, lustracje. Czy mamy prawo nakłaniać kogoś do zakładania dawnego stroju? I co o nas samych może mówić to, że nie chcemy pozwolić komuś na to, by „wyjechał do Teksasu”? ©

„Daj mi nowe życie” – mogłby zaśpiewać Krzysztof Krawczyk



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Tożsamość cambozoli



„GDZIEŻ JEST TA wywalczona z mo-
zołem pogoda” – py-
tał Leopold Staff. Podob-
nie jak on 90 lat temu, czuję
w te dni, iż „jestem znów jak samotna,

przydrożna gospoda / do której się o zmierzchu wdarły rzezi-
mieszki”. „Bunt jesienny” – nazywa się ten utwór, polecam obok
tego, co na okoliczność października spisał kiedyś mową zręcz-
nie wiążaną Jan Brzechwa, wielki melancholik dla dorosłych, a
nie tylko geniusz (pozornie) dla dzieci.

Kiedy w nocy ziąb schodzi prawie do zera, można wreszcie
wystawić na taras gar z rosółem, żeby się wytrącił tłuszcz, bez
konieczności wywracania wszystkiego w lodówce – przynajmniej
to jest jakaś zaleta. Innych, gdy wspomnienie normalnych dla
człowieka temperatur lata jest świeżą raną, na razie nie widzę.
Zwłaszcza od kiedy zakazano w miastach palenia liści. Dym
z ich wilgotnej sterty zagnieździł się w moich węchowych zwo-
jach niczym perfumy pierwszej miłości. Proszę nie przysyłać
do redakcji bilecików z pocieszeniem ani zaproszeń na grzane
wino i dyniowe zupy, wkrótce wywalę do kosza tekturową ko-
ronę cierpiętnika. Tymczasem wraz z panem Leopoldem potę-
sknimy jeszcze za Włochami, był wszak jako tłumacz kapital-
nym pomostem między naszymi kulturami.

I ja, niegodzien, odebrałem właśnie, w taki dżdżysty dzień,
nagrodę jego imienia, którą grono wybitnych italianistów i pro-
pagatorów włoszczyzny zechciało wyróżnić książkę w pew-
nym sensie naszą wspólną, drodzy czytelniku i czytelniczko
– wybór tekstów z tej rubryczki. Choć was prawie wcale nie
znam, to tydzień w tydzień swoją obecnością dżgacie mnie,
był porzucił skrupuły, które mam za każdym razem, gdy pró-
buję was i naszą rzeczywistość kuchenną italianizować. Rację
bowiem miała kapituła, że choć formalnie jest to rubryczka ko-
smopolityczna, to ster ściąga zawsze w stronę klimatów wło-
skich. Ale jakim prawem tak czynię? – to pytanie stało na
pierwszym planie, gdy w czasie kameralnej acz mądrej (a może
dlatego mądrej) uroczystości przepytywano mnie o strukturę
tożsamości. Poprzerzywana i niecałkowita, chciałoby się rzec sło-
wami tym razem Leśmiana (i to z wiersza o maju, obyśmy do-
czekali). Na pewno nieautentyczna w rozumieniu teorii mo-
dnej dzisiaj po każdej stronie debaty – że każdy jest wyraziście
„kims” i jako taki może żądać fa-
worów albo winien czynić pokutę.

Włosi zresztą mają na to wła-
ściwe określenie. Sformułowali
je po angielsku, co dobrze oddaje
skarlenie ich obecnej kultury – za-



mienionej w naćpane tanim
prochem *rave party* na ru-
inach wspaniałego niegdyś
city – ale jest celne. *Italian
sounding*. Włosko brzmiący.
Tak w urzędowych doku-
mentach określa się arty-
kuły żywnościowe, które
choć nie udają wprost czegoś
o chronionej nazwie i nie ła-
mią unijnego prawa, to przez
wygląd opakowania i nazwę su-
gerują włoskie pochodzenie, od-
bierając „prawowitym” producentom
ogromną ponoć część rynku. Najgorzej jest
w Ameryce, ale i u nas tego sporo. Zottarella:

tu przynajmniej jest wprost niemiecka nazwa firmy,
o ile uważny klient ją kojarzy. Liczne kombinacje z końcówką
-secco na etykietach bąbelkowych sikaczy. Cambozola: bawarski
ser z niebieską pleśnią – oprócz udawania gorgonzoli pożyczka
kawałek nazwy od camemberta. 99 proc. butelek oliwy wpraw-
dzie hiszpańskiej, ale z kolorami włoskiej flagi i włoską nazwą
(nieprzypadkiem dramatyczny, drugi z rzędu spadek zbiorów
oliwek w Hiszpanii będzie skutkował jej drożyzną w Europie
– włoska produkcja zostaje w większości w kraju, o czym pisać
szerzej w nowym tygodnikowym newsletterze dostępnym dla
naszych patronów: więcej na powszech.net/patronite).

Oczywiście wiem, jak smakuje dobra gorgonzola. Nie taka
z paczki, która nosi wprawdzie urzędowy stempel, lecz bywa ja-
kościową obelgą dla zacnej nazwy. Ale dalej doceniam niebieski
ser z Bawarii i bywa, że kupuję, podobnie jak niektóre wybitne
polskie niby-parmezyany w rodzaju „emilgrany”. Rozpoznaję
różnice, warto je pokazywać, by rozumieć niuanse smaków.
Ten za Alpami to jednak trochę mój kraj – co bywa bolesne,
mam narzędzia poznawcze, by dostrzec, że za urodą życia i rze-
czy (tam nawet fotoradary są cackiem wzornictwa) kryje się
państwo chore i bez nadziei. To ożywcze być trochę Polakiem,
szczególnie w ostatnim tygodniu. Pozwólcie – droga kapituło,
wybacz – że pozostanę waszą cambozolą. © P

To wcale nie jest trudne, szukać przepisów-pomostów.
Tradycje różnych włoskich regionów, poza powszechnie
znanym mainstreamem, zawierają bliskie nam składniki,
takie jak np. gryka. A poza tym smaki ewoluują i Włosi
np. coraz częściej używają buraka. Choćby do takiej wspaniałej
wizualnie pasty: pieczemy ok. 400 g buraczków, studzimy,
obieramy, kroimy w kosteczkę. Delikatnie podsmażamy
przez parę minut posiekaną dymkę na oliwie, dodajemy
buraki, chwilę razem dusimy. Po przestudzeniu miksujemy,
przelewamy jedwabisty krem na dużą patelnię. Przerzucamy
do niej ugotowany makaron rurki, mieszamy na średnim
ogniu, dodajemy dwie łyżki gorgonzoli, uważnie mieszamy,
aż się wszystko dobrze połączy. Gasimy
ogień i dodajemy jeszcze trochę gorgonzoli
– do smaku, ale tak, by nie do końca się
rozpuściła. Posypujemy na wydaniu
siekanymi pistacjami lub czymś innym
zielonym.

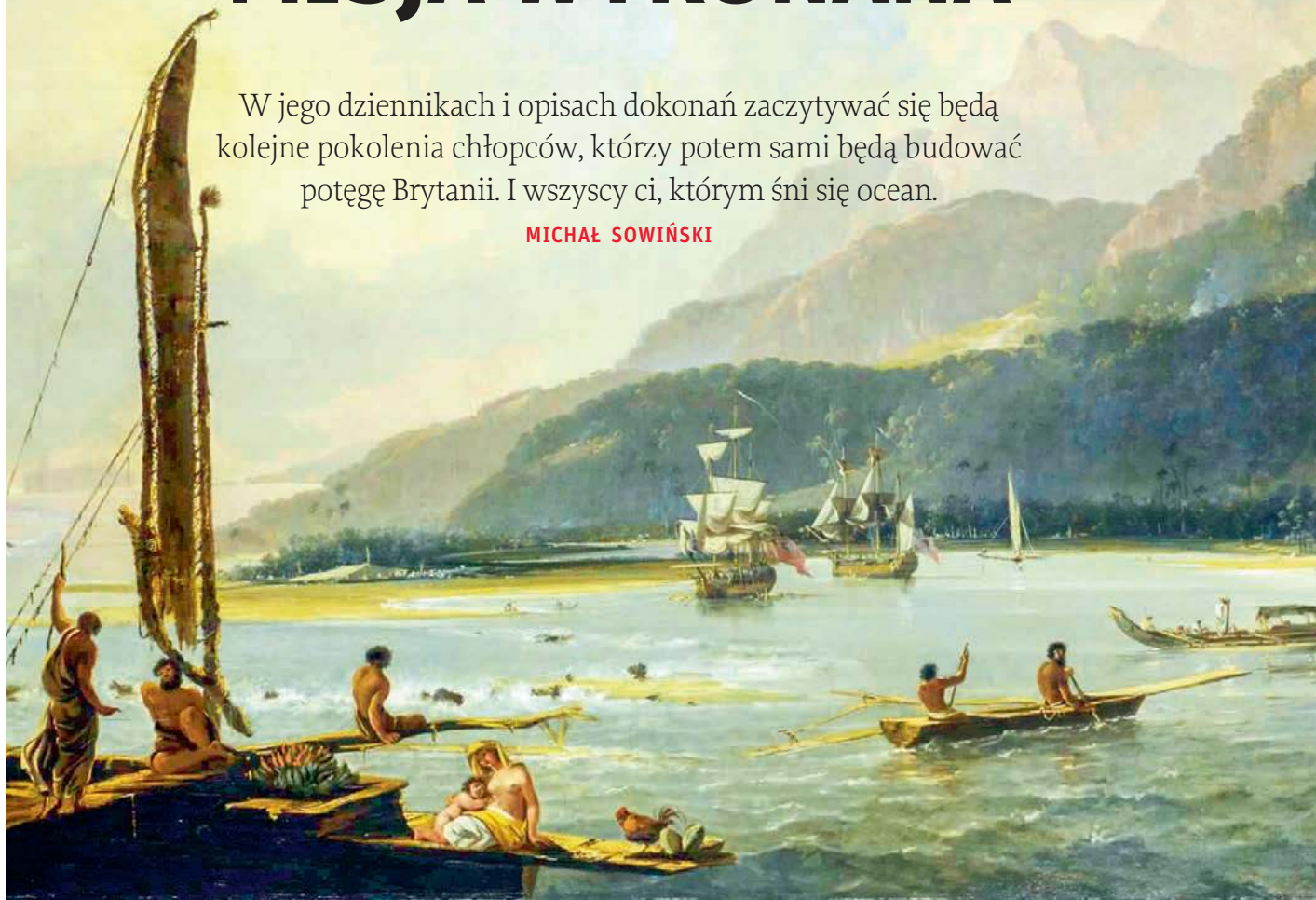
Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



MISJA WYKONANA

W jego dziennikach i opisach dokonań zaczytywać się będą kolejne pokolenia chłopców, którzy potem sami będą budować potęgę Brytanii. I wszyscy ci, którym śni się ocean.

MICHAŁ SOWIŃSKI



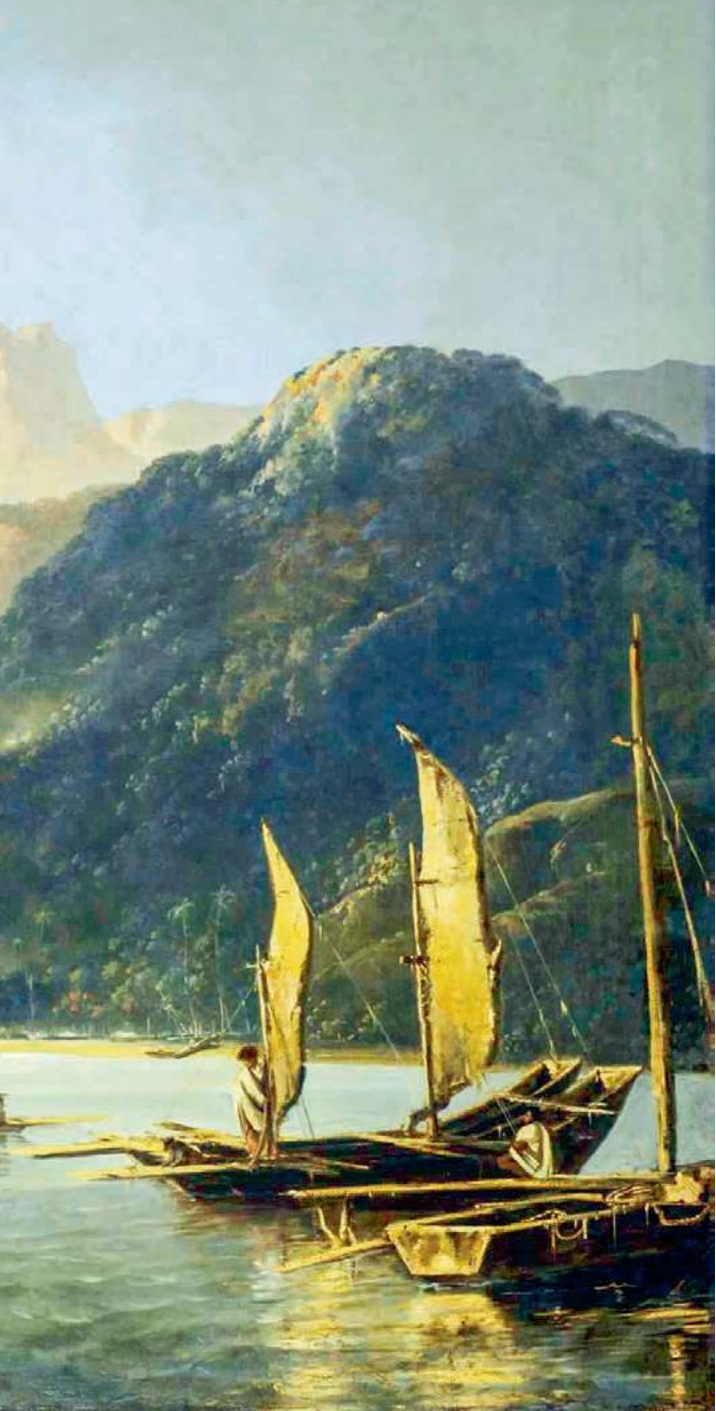
William Hodges, *Widok na zatokę Maitavie na wyspie Otaheite, Tahiti, 1776 r.*

W STYCZNIU 1774 R., W POŁOWIE DRUGIEJ WYPRAWY NA południowy Pacyfik, kapitan James Cook napisał w dzienniku: „ambicja zawiodła mnie nie tylko dalej, niż ktokolwiek z ludzi przede mną stanął, ale tak daleko, jak według mnie człowiek może dotrzeć”. To wyznanie, poczynione w okolicach archipelagu Tonga, po długich miesiącach spędzonych na morzach podbiegunowych, będzie przez kolejne stulecia wielokrotnie przytaczane i parafrazowane przez setki innych odkrywców i podróżników, nawet tych pozaziemskich.

Cook z pewnością zasłużył na miano największego odkrywcy w dziejach. Jako pierwszy człowiek opłynął trzykrotnie świat dookoła. Szacuje się, że w ciągu życia przeżegłował ponad 170 tysięcy mil, czyli siedmiokrotność długości równika.

Jak wyliczają jego biografowie, na pokładach statków spędził więcej czasu niż z żoną i dziećmi (jego małżeństwo trwało 17 lat, z których jedynie 4 lata był w domu). Odwiedził setki wysp na wszystkich oceanach świata, wiele z nich, jak choćby Hawaje, jako pierwszy Europejczyk. Zmapował też tysiące mil wybrzeża Ameryki Północnej, Australii i obu głównych wysp Nowej Zelandii.

Londyńskie elity oszalały na punkcie maoryskich i polinezyjskich artefaktów, które ze sobą przywoził. Nakład książkowej relacji z jego pierwszej wyprawy (choć była to *de facto* kompilacja dzienników kilku wyższych rangą członków załogi, dokonana przez sprytnego i czującego w tym dobry zysk redaktora) wyprzedził się w kilka dni. Gdy wyruszał na trzecią, ostatnią wyprawę, miał już w Europie status celebryty.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Sklepikarz

Urodził się w ubogiej rodzinie wiejskiej. Jego ojciec był już jednak beneficjentem zmian społecznych, związanych z nadchodzącą rewolucją przemysłową – zaczynał jako najemny pracownik rolny, aby później awansować na pozycję zarządcy gospodarstwa (typowa *success story* tamtych czasów).

16-letni James za wstawienictwem pracodawcy ojca zatrudnił się jako pomocnik lokalnego sklepikarza. Na przestrzeni XVIII wieku obroty handlowe Wielkiej Brytanii – zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne – zwiększyły się pięciokrotnie. Rosnące w siłę mieszczaństwo miało coraz większy apetyt na dobra importowane z kolonii. Herbatę, tytoń czy pomarańcze dostarczali coraz lepiej radzący sobie w handlu zagranicznym drobnicy kupcy.

Według legendy Napoleon, szykując inwazję na Wyspy Brytyjskie, miał nazwać Anglików „narodem sklepikarzy”. Niektóre określenia pomyślane jako obelgi okazują się na tyle trafne, że stają się dla obrażanego powodem do dumy – to właśnie ten przypadek. W XIX i XX wieku brytyjscy politycy, z Margaret Thatcher na czele, będą czerpać z tego pełnymi garściami. Cook też był z tego dumny.

Z wyuczonej za młodu zaradności i gospodarności korzystał także jako dowódca wielkich wypraw oceanicznych. Trzeba bowiem pamiętać, że podówczas na barkach kapitanów, nawet tych największych, służących w marynarce wojennej, spoczywał obowiązek dbania o wyposażenie i aprowizację okrętów. Budżety, nawet przy tak wielkich projektach jak kolejne wyprawy Cooka, były wyliczane bardzo oszczędnie, tak więc to od zdolności zarządczych kapitana zależało w dużej mierze powodzenie misji, jak i jego prywatny budżet. Drobne malwersacje, o ile nie kłuły w oczy reszty załogi, były dopuszczalne jako swoista premia do niezbyt wysokiego honorarium kapitana.

Równie dobrze jak wśród bieżących rachunków potrafił poruszać się w meandrach społecznych klas i hierarchii. Przez ojca był nauczony korzystania z możliwości, które daje sieć protekcji, znajomości i zależności, więc szybko piął się w górę. Ze sklepikarza awansował na praktykanta kupieckiego w Whitby, miasteczku w północno-wschodniej Anglii, już wtedy żyjącego niemalże wyłącznie z morza. Tu, pływając po Morzu Północnym i Bałtyku, nauczył się żeglarskiego fachu, który przed ludźmi jego pokroju otwierał olbrzymie możliwości.

Z zachowanych dokumentów i wspomnień wynika jasno, że Cook pokochał morze miłością szczerą i głęboką, której pozostał wierny do końca życia. Aby przypieczętować swój los, w 1755 r. wstąpił do Royal Navy.

Heroizm kartografii

Rok później wybuchła wojna siedmioletnia, konflikt europejski o supremację kolonialną, który, jako pierwszy w dziejach, rozgrywał się jednocześnie w różnych częściach globu. Cook brał udział w walkach brytyjsko-francuskich w Kanadzie, m.in. w udanym oblężeniu Louisbourga, twierdzy kontrolującej ważny rejon Zatoki Świętego Wawrzyńca. W czasie wojny za imponował dowódcom zdolnościami nawigacyjnymi, dlatego po jej zakończeniu powierzono mu misję dokładnego zmapowania kanadyjskiego wybrzeża Atlantyku.

Szybki postęp naukowy i upowszechnianie się precyzyjnych przyrządów pomiarowych sprawiły, że mapy odgrywały coraz większą rolę nie tylko w samej nawigacji, ale też w rozwoju gospodarczo-cywilizacyjnym imperiów. Dzięki przewadze kartograficznej, co pokazała właśnie wojna siedmioletnia, można było skuteczniej walczyć, ale też wydajniej eksplorować zamorskie kolonie. Tak więc aż do 1767 r. Cook ciepłe miesiące roku spędza u wybrzeży Nowej Fundlandii, na zimę wraca do Anglii, gdzie czeka na niego niedawno poślubiona żona Elizabeth. Młodsza od niego o 14 lat, zmarła jako 93-latką, przez ponad 50 lat żyjąc jako wdowa, oddana pielęgnowaniu pamięci o mężu.

Mapowanie wybrzeża w tamtych czasach było zadaniem trudnym i niewdzięcznym, szczególnie w przypadku północnego Atlantyku. Sumiennosc, z jaką Cook wywiązywał się ze swoich obowiązków, również mówi sporo o jego charakterze. ➔

→ Już wtedy wykazywał wszystkie cechy właściwe wzorowemu oficerowi marynarki, który bez zająknięcia, ale też z właściwą Brytyjczykowi rezerwą wykona każde zadanie – albo, co stało się potem w jego przypadku, umrze próbując je wykonać.

Cook był jednym z pierwszych wielkich brytyjskich marynarzy i oficerów, dla których heroizm był jednoznaczny z wykonaniem powierzonych im misji. Za zbiorowe epitafium, pokazujące przekrojowo wszystkie typy tego heroizmu i niewdzięcznej służby, można uznać całą prozę Josepha Conrada. Na marginesie – z perspektywy polskiego romantyzmu, którym w niestrawnych wręcz ilościach karmiono młodego Józefa Korzeniowskiego, trudno wskazać bardziej odmienny model bohaterstwa. Pod tym względem kulturowa transgresja Conrada nie ma sobie równych.

Euforia i rozczarowanie

26 stycznia 1769 r. opłynął przylądek Horn i wpłynął na wody Pacyfiku, by w ciągu kolejnych 10 lat nawiązać relacje handlowo-dyplomatyczne z mieszkańcami setek wysp i archipelagów. To ciekawe i znaczące, że właśnie ktoś jego pokroju, a nie arystokrata skoligacony z wierchuszką admiralicji, został tak ważnym ambasadorem zachodniej cywilizacji w tej części świata.

Niestety, jego spotkania z lokalnymi społecznościami Pacyfiku nie zawsze były udane. Brytyjczycy, wiedzeni doświadczeniem poprzednich pokoleń odkrywców, często zaczęli od demonstracji swojej przewagi militarnej. Salwa z dział albo muszkietów miała być ostrzeżeniem dla mieszkańców Polinezji, żeby nie próbowali niczego pochopnego. Polityka odstraszenia nie zawsze okazywała się skuteczna – zdarzało się, że nieporozumienia (z winy obu stron) eskalowały i ginęli ludzie.

Bo też trzeba podkreślić, że w epoce Cooka przewaga technologiczna i militarna Europejczyków nad ludami Pacyfiku wcale nie była jeszcze tak oczywista. Broń palna oczywiście robiła wrażenie, ale też dla bystrego obserwatora szybko stawało się jasne, że ma swoje ograniczenia – wymagała długiego przeładowywania, często się zacinała, a do tego była ciężka i nieporęczna. Gdy dochodziło do faktycznego zagrożenia, nie zdawała się na wiele.

Przykładem jest śmierć samego Cooka 14 lutego 1779 r. na hawajskiej plaży. Okoliczności, które do niej doprowadziły, pozostają niejasne. Relacje z mieszkańcami tej wyspy były napięte już od jakiegoś czasu, ale nic nie wskazywało na to, że spór o skradzioną szalupę (tego typu wydarzenia były na porządku dziennym) tak szybko przerodzi się w krwawą potyczkę, w wyniku której zginie kilkanaście osób.

Niektórzy biografowie sugerują, że podczas trzeciej wyprawy Cook bywał na zmianę nerwowo i apatyczny. Miał coraz gorzej znosić drobne nawet nieposłuszeństwa wśród załogi i przejawy braku szacunku ze strony lokalnej ludno-

Po Europie krążyły opowieści o wyspach przypominających rajskie ogrody, gdzie ludzie żyją w harmonii z naturą, **panuje powszechny dobrobyt oraz wolność seksualna.**

Na miejscu załoga Cooka odkryła ze zdumieniem, że legendy nie kłamały.

ści. Na drobne zmiany w jego osobowości zwracali uwagę coraz częściej podwładni. Inna sprawa, że na Hawaje zawinęli po kilku ciężkich miesiącach żeglugi po Morzu Beringa, gdzie w ciężkiej mgłę, lawirując między górami lodowymi, bezskutecznie szukali legendarnego przejścia północno-zachodniego, czyli żeglownego szlaku wokół północnego wybrzeża Ameryki.

W drodze powrotnej statek Cooka HMS „Resolution” został poważnie uszkodzony. Sam kapitan, podówczas już 50-latek, co jak na standardy Royal Navy było wiekiem sędziwym, musiał być zmęczony, może też nieco rozczarowany.

Udało mu się co prawda nanieść na mapę setki nowych wysp i archipelagów, ale ani na nowy kontynent, ani na rewolucyjny szlak morski widoków już nie było.

Kiszona kapusta i stalowe gwoździe

Do historii przeszedł dzięki swym niezwykłym zdolnościom przywódczym. Jego wielkim osiągnięciem było znaczące obniżenie śmiertelności wśród marynarzy, przede wszystkim dzięki wprowadzaniu innowacji związanych z dietą i higieną.

Za sprawą eksperymentów z kiszoną kapustą (pomysł podpatrzył jeszcze za młodu u Holendrów) udało mu się niemalże całkowicie pozbyć się skorbutu, choroby, która przez wieki dziesiątkowała załogi statków podczas długich rejsów. Osiągnięcie to uważane jest za kamień milowy w rozwoju żeglarskich technologii, wymieniane na równi z wynalezieniem przez Johna Harrisona chronometru, dzięki któremu można było w końcu precyzyjnie wyliczać na morzu długość geograficzną. Cook miał go na swoich statkach – był to w zasadzie dużych rozmiarów zegarek, który jednak zachowywał precyzję pomiaru czasu niezależnie od temperatury, wilgotności i falowania.

Jako urodzony buchalter, Cook dobrze też zarządzał „ekonomią moralną” na pokładzie – niechętnie wymierzał kary cielesne, dbając jednocześnie o stan ducha swoich ludzi, choćby poprzez przymykanie oczu na drobne odstępstwa od regulaminu, zwłaszcza podczas dłuższych postojów na rajskich wyspach. Choć był bez wątpienia człowiekiem wierzącym, uważał, że praktyki religijne powinny należeć do domeny prywatnej każdego człowieka, co wtedy było poglądem nietypowym – kapitanowie, zwłaszcza w Royal Navy, zwykle aktywnie dbali o życie duchowe załogi, np. poprzez regularne odprawianie nabożeństw na pokładzie. Na ile postępowanie Cooka wynikało z jego głębokich przekonań, a na ile miało charakter pragmatyczny – trudno ocenić, bez wątpienia było jednak skuteczne.

Możliwe też, że jako bystry obserwator nauczył się czegoś od mieszkańców południowego Pacyfiku. Gdy ruszał w pierwszą wyprawę, wiedza Europejczyków na temat Polinezji była szczątkowa, ale za to obrosła legendami. Kilka wcześniejszych wypraw sprawiło, że po Europie krążyły fantastyczne opowieści o wyspach przypominających rajskie ogrody, gdzie ludzie żyją w harmonii z naturą, panuje powszechny dobrobyt oraz – wisienka na torcie – całkowita wolność seksualna.

Na miejscu załoga Cooka odkryła ze zdumieniem, że legendy nie kłamały – a przynajmniej tak to wyglądało z ich perspektywy.

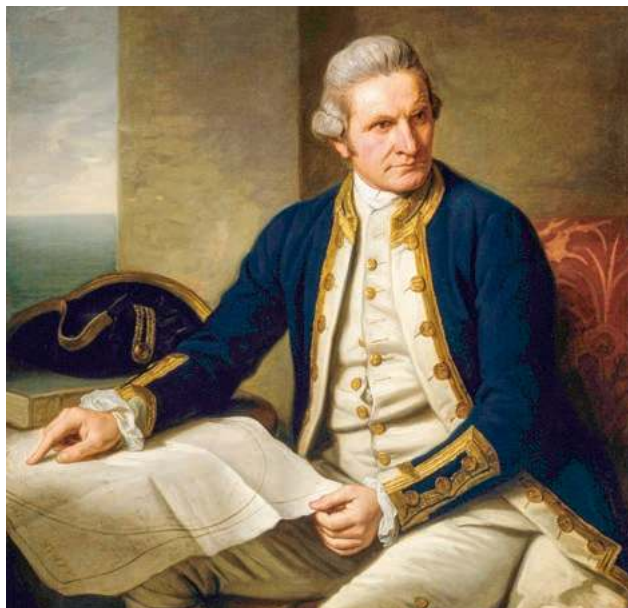
W rzeczywistości gościnność i otwartość (także seksualna) napotkanych na Tahiti plemion była wypadkową wielu czynników. Po pierwsze, lokalni wodzowie szybko zrozumieli, że dobre kontakty z dziwnymi przybyszami mogą być dla nich niezwykle korzystne. Ludy Polinezji praktycznie nie znały zaawansowanych technologii obróbki metalu, a więc stalowe noże, toporki czy nawet gwoździe, którymi Europejczycy ich obdarowywali, dawały olbrzymią przewagę – także w walce z innymi plemionami. Po drugie, seksualna otwartość kobiet nie wynikała oczywiście, jak podejrzewało podówczas wielu, z ich wrodzonej amoralności, tylko z zupełnie inaczej ustrukturyzowanych relacji społecznych, w ramach których praktyki seksualne symbolicznie zajmowały inne miejsce w porównaniu do standardów europejskich (no ale Bronisław Malinowski dotrze tam dopiero za półtora wieku). Po trzecie wreszcie, antropolodzy i etnografowie dopiero stosunkowo niedawno zwrócili uwagę na dość oczywisty fakt, że mieszkańcy Polinezji najprawdopodobniej pogrywali sobie z Europejczykami w podobny sposób jak ci z nimi. Szybko identyfikując seksualne frustracje i zabobony dziwnych przybyszów, z łatwością mogli nimi manipulować (albo po prostu dobrodusznie z nich sztydzić).

Faktem jest, że fantastyczne i pikantne doniesienia (Cook bezskutecznie próbował nieco cenzurować relacje o seksualnych przygodach swoich załóg) z drugiego krańca świata mocno rozpały wyobraźnię Europejczyków – w tym filozofów i pisarzy, których ta protoantropologia porównawcza kultur zainspirowała do wielu krytycznych i utopijnych pomysłów, kluczowych dla rodzącego się właśnie oświecenia.

Wielki ogrodnik Pacyfiku

Brytyjczykom zależało na budowaniu dobrych relacji z ludami Pacyfiku. Dumni byli bardzo, że ich model „kolonializmu z ludzką twarzą” różni się tak bardzo od hiszpańskiego i portugalskiego, bo jego celem nie tyle była dominacja militarna, co raczej budowanie coraz gęstszej sieci handlowych zależności między Londynem a nowo odkrywanymi lądami. Z dzisiejszej perspektywy wiemy oczywiście, że przemoc była zawarta już w samej asymetryczności tych relacji, nie wspominając o konkretnych „interwencjach” Royal Navy i jej marines w sytuacjach, gdy interesy Korony były zagrożone. Niemniej na przełomie XVIII i XIX wieku dominowało przekonanie o moralnej i racjonalnej przewadze Imperium.

Charakterystyczną cechą tej wczesnej fazy globalizacji był, używając określenia historyka Richarda Grove’a, „zielony imperializm”. Powszechnie uważano, że to rolnictwo (w modelu europejskim) jest kluczem do sukcesu cywilizacyjnego. Jeżeli więc uda się przeschęcić je do świata pacyficznego, zamieszkujące go ludy wejdą na właściwą ścieżkę rozwoju. Cook, czasem nazywany też „wielkim ogrodnikiem Pacyfiku”, był bardzo oddany tej idei – na wyprawy zabierał nasiona i sadzonki, którymi obdarowywał napotykaną plemiona. Szpinak, seler, marchewka, które dziś można znaleźć dziko rosnące w Nowej Zelandii, pochodzą właśnie od niego.



Nathaniel Dance-Holland, Kapitan James Cook, 1776 r.

W podróże zabierał także świny i kozy, które z kolei podrzucił tu i ówdzie w nadziei, że się rozmnożą i będą służyć kolejnym pokoleniom wyspiarskich społeczności.

Choć z dzisiejszej perspektywy tego typu transkontynentalne żonglowanie florą i fauną postrzegać można jako co najmniej problematyczne, wtedy, gdy współczesna botanika i inne nauki dopiero się rodziły, wydawało się to nie tylko strategicznie dobrym pomysłem, ale miało także swój wymiar moralny. Karol Linneusz, już wtedy guru wszystkich przyrodników, o świecie myślał jako o wielkim ogrodzie, który Bóg powierzył ludzkości, aby racjonalnie nim gospodarowała, kontynuując zadanie Adama.

Dlatego też „zielony imperializm” działał w obie strony – Europejczycy dzięki Cookowi, a także przyrodnikom i marlarzom, którzy towarzyszyli mu podczas wszystkich wypraw, odkryli nieznane wcześniej piękno świata. Zapanowała moda na egzotyczne uprawy, smaki i pejzaże, ale przede wszystkim zaczęła kielkować masowa ciekawość nowych miejsc i kultur, która już w następnych pokoleniach, na dobre i na złe, na zawsze odmieniła oblicze naszej planety.

Cook, podobnie jak inni odkrywcy nowożytności, nie ma dziś dobrej prasy. Jako że odgrywał rolę herolda brytyjskiego imperium, *post factum* obciążono go wszystkimi grzechami imperialnej polityki kolejnych dekad i stuleci. Nie czuję się na siłach, aby rozstrzygać, na ile taka logika jest uzasadniona. Jednak wrzucanie go do jednego worka z cynicznymi i brutalnymi politykami albo krwawymi konkwistadorami z pewnością jest dużym nadużyciem. Cook był do szpiku kości człowiekiem swojej epoki, ale jednocześnie miał ponadprzeciętną inteligencję i wrażliwość, z których korzystał zarówno jako dowódca okrętów, jak i ambasador zachodniej cywilizacji.

Rozmach i znaczenie misji, dzięki którym spotkały się ze sobą ostatnie wielkie cywilizacje, żyjące wcześniej we wzajemnej nieświadomości swojego istnienia, bez wątpienia pchnął historię świata na nowe tory. A przy okazji stworzył podwaliny pod etos morskiego życia, przez wielu ludzi – i to pod wszystkimi szerokościami geograficznymi – pielęgnowany do dziś.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: Były Gospodarz



PYTAJĄ TU I ÓWDZIE, CZY BĘDZIE STAN wojenny, powiadają niektórzy, ci najbardziej hardzi i krwiści – że dawno stanu wojennego nie było i by się bardzo przydał. Inni – popatrzmy – apelują, by wsadzać. Jeszcze inni powiadają także, że należałoby,

owszem, wsadzić, ale zgoda nie tego, tylko tamtego. Od bardzo dawna, na ziemiach polskich, zarówno tych sprywatyzowanych, jak i znacjonalizowanych, daje się zauważyć wiarę w rozwiązanie wyłącznie penitencjarne. Że gdy się porządnie powsadza, będzie cudnie. Wydaje się, że wiara ta jest mocniejsza niż tradycyjne, ugruntowane na tych terenach, jakoś sprawdzone, systemy wartości czy sposoby na radzenie sobie ze stresem.

Nie da się ukryć, że niedzielny wynik wyborów, wynik tego szalenie idiotycznego referendum, wysoka frekwencja, czyli wszystko razem, zaskoczyło najłagodniejszych i umiarkowanych pesymistów, do których się chętnie zaliczamy. Przez lata przywykliśmy do myśli, że jednak szczególnie w państwie rządzone przez Gospodarza i jego zdumiewających kolegów od kultury, pieniędzy, nauki, edukacji, medycyny, wizowania paszportów, pisanie książek i tych od publicystyki. Terminów tych używamy rzecz jasna z przyzwyczajenia, umownie, skrótowo, bo niemal na pewno poważni przyszli badacze ostatnich ośmiu lat wynajdą określenia właściwsze dla czynności wykonywanych przez tych jegomościów i ichmościnnie. Tak czy owak, jesteśmy bardzo zaskoczeni, że możemy dziś użyć sformułowania „były Gospodarz”. Otóż nawet jeżeli b. Gospodarz będzie próbował coś

wymyślić i wymyśli, by u władzy się jednak czarodziejsko utrzymać, to zaiste dodatek „były” będzie i tak aktualny i nie do zdarcia. W słowie „były” jest bowiem siła nieskończoności i trwałości. Byłym jest się na zawsze, od bycia *bywyszym* nie ma odrotu. „*Bywyszij Gospodin*” brzmi pięknie i pasuje.

Wróćmy jednak do absolutnie i trwale obecnego trendu penitencjarnego w myśli każdego Polaka, każdej Polki i każdej osoby polskiej. Trend jest trwały, bo jest atrakcyjny, a jest atrakcyjny, bo fantazjowanie na temat siedzącego w celi rodaka to jedna z rzeczy najmocniej zakotwiczonych w rzeczywistości. Jest to – popatrzmy – najlepsza z najlepszych wizualizacji dostępna dla każdego, mądrego, głupiego, bogatego czy ubogiego. Wizualizacja taka, wywołana w odpowiednim momencie spoczynku, fenomenalnie znosi stres, lepiej niżli liczenie baranów oddala czarne myśli, ułatwia zasypianie i przynosi podręcznikowo ukształtowaną fazę *Rapid Eye Movement Sleep* (REM), a jest to czas – jak wiadomo – najgłębiej relaksującej fazy snu człowieka. Każdego, nie tylko Polaka-katolika bądź Polaka-poganina. Osadzenie bliźniego w fantazji więziennej przynosi zatem relaks, którego nie da się przyrównać do żadnego innego wypoczynku, wzięwszy wczasy *all inclusive* w Egipcie, Sylwestera Marzeń w Zakopanem, wyjazd na Eurowizję dorosłą czy dziecięcą, wysłuchanie referatu o zamachu na polską rodzinę i jej obyczaje erotyczne, nie mówiąc o grzybobraniu w wykarczowanym lesie. Sąsiad w pierdlu to marzenie. Przeciwnik polityczny w nieśmiertelnej „Berezie” to marzenie ze sfery publicznej. Jednym słowem, mimo że jest nieźle, wydaje się, że lekko nie będzie, przynajmniej na poziomie oralnym.

Rzecz jasna, jeżeli nie będzie jakichś nadmiernych i nietypowych reakcji na prawdziwy wynik wyborów – którego zresztą wciąż, pisząc te słowa, nie znamy – to wypadłoby się zastanowić, które z zamiarów, poza penitencjarnymi, są do zrealizowania. Myślmy tu serio o pomysłach dotyczących kwestii, jakżeby państwo tutejsze miało wyglądać po zdjęciu pisowskich okularów i co będzie w nim słychać po wyłączeniu gigantofonów. Przekonamy się niebawem. Albo i nie.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



16 X 2023


Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

conradfestival.pl

**15. Międzynarodowy
Festiwal Literatury
im. Josepha Conrada**

**ROZMOWY I DYSKUSJE
WARSZTATY EDUKACYJNE
SEANSE FILMOWE
KONGRES KSIĄŻKI
WYSTAWA
SPACER LITERACKI
GALA NAGRODY CONRADA**

**Kraków
23 – 29.10.2023**

Sprawdź program



**Wejściówki
dostępne od 16.10 na
kbf: bilety
i w aplikacji kbf: plus**

organizatorzy



dofinansowanie



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

partnerzy strategiczni



allegro

partnerzy



patroni medialni



księgarnia festiwalowa



Tyle naraz świata
ze wszystkich stron świata

Wisława Szymborska

26. Międzynarodowe
TARGI KSIĄŻKI[®]
w Krakowie
26-29 października 2023

Kraków
ul. Galicyjska 9

ksiazka.krakow.pl

BILETY

